

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/480

1987



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

T. KLEMPSKI : **USTA PEŁNE GLINY,**
GŁOS STŁUMIONY PIĄSKIEM

J. W. GADOMSKI : **SMUTEK RUSIŃSKICH PUSTKOWI**

R. GORCZYŃSKA :

DWAJ PANOWIE NA "CHROBRYM"

ROZMOWA Z WOJCIECHEM GIEŁŻYŃSKIM

SPIS RZECZY

Tymoteusz Klempski:	<i>Usta pełne gliny, głos stłumiony piaskiem</i>	3
Józef Wojciech Gądomski:	<i>Smutek rusińskich pustkowi</i>	10
Renata Gorczyńska:	<i>Dwaj panowie na „Chrobrym”</i>	19
Pierre Grémion:	<i>K. Jeleński a Kongres Wolności Kultury</i>	31
René Tavernier:	<i>Konstanty Jeleński czy tajemnica przyjaźni</i>	35

WIERSE

Czesław Miłosz:	<i>Pan Anusewicz (1922)</i>	40
-----------------	-----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Kongres i władza wykonawcza w USA</i>	43
Robert Kostrzewa:	<i>Rozmowa z Ralfem Dahrendorfem</i> ..	48
Andrzej Krasiński:	<i>Europa środkowa</i>	55

WYWIADY „KULTURY”

Karol Podgórski:	<i>Rozmowa z Wojciechem Giełżyńskim</i> ..	67
------------------	--	----

K R A J

Witold Chałcamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	81
Ferdynand Ferdurke:	<i>Gombrowicz i cenzura</i>	86
—	<i>Polska Partia Niepodległościowa</i>	95

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Alain Besançon:	<i>Widzieć zło tam, gdzie ono jest</i>	95
M. Jarzyński:	<i>Wolność świeckich</i>	96
Jan Józef Lipski:	<i>O wizycie Papieża</i>	99
—	<i>Loranc w ZSSR jako przedstawiciel Kościoła</i>	102
Ks. St. Małkowski:	<i>Uważaj mnie za masona</i>	103

SPRAWY I TROSKI

—	<i>National Endowment for Democracy</i> ..	104
Jacek Kalabiński:	<i>„Między Waszyngtonem a Warszawą”</i> ..	105
—	<i>Pomoc finansowa dla NSZZ „Solidarność” z zagranicy</i>	108

SĄSIEDZI

Włodzimierz Małynowycz:	<i>Ukraina i Polska</i>	113
—	<i>Oświadczenie w sprawie zasad współpracy polsko-ukraińskiej</i>	115
Bohdan Osadczuk:	<i>Sprawa Tatarów Krymskich</i>	116
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	122
Witold Jacek Zahorski:	<i>600-lecie chrystianizacji Litwy</i>	129
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	130
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	133

WOLNA TRYBUNA

Bogdan Stasikowski:	<i>Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości</i>	137
---------------------	--	-----

(Dokończenie SPISU RZECZY na str. 176)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1987

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

S. M. Bala, San Rafael, CA (USA) — \$ 32,00	F. 196,00
Ewa Buch, Libertyville, IL (USA), po raz 9-ty — \$ 132,00 ..	F. 812,00
Wiesława Gołębiowska, Riverdale, IL (USA) — \$ 20,00	F. 123,00
Jerzy R. Krzyżanowski, Columbus, OH (USA) — zamiast kwiatów na trumnę Konstantego hr. Rostworowskiego, przyjaciela i kolegi, zmarłego w Mölln (RFN) — \$ 10,00	F. 61,50
Lech Krysiwicz, Montreal (Kanada) — \$ can. 30,00	F. 140,00
Tad De Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 12-ty — DM 50,00	F. 166,00
Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Adama Rudzkiego	F. 100,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 29-ty — \$ 27,00	F. 166,00
N.N., Paryż — dla uczczenia pamięci Kota Jeleńskiego	F. 200,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MAN (Kanada), po raz 22-gi — \$ US 200,00	F. 1.230,00
L. J. Rudnicki, Toronto, ONT (Kanada) — \$ can. 115,00 ..	F. 529,00
E. Salamoński, Philadelphia, PA (USA) — \$ 20,00	F. 123,00
S.P.K., Koło Nr 35 w Newarku, N.J. (USA) (nadesłał skarbnik J. K. Jordanowski) — \$ 100,00	F. 609,30
Paweł Szewchuk, Toronto, ONT (Kanada) — \$ US 20,00	F. 122,00
L. i M. Stauber, Hanau/Steinheim (RFN) — dla uczczenia pamięci Ludwika Hagera, przyjaciele z RFN	F. 500,00
L. i M. Stauber, Hanau/Steinheim (RFN) — zamiast kwiatów na grób dr Aurelii Baczko, zmarłej w Genewie	F. 200,00
Marek Tokar, Parsippany, N.J. (USA) — \$ 113,00	F. 695,00
Mieczysław Wiąckiewicz, Philadelphia, PA (USA) — \$ 10,00	F. 61,50
Wojciech Zalewski, Calgary ALTA (Kanada)	F. 55,00
Janusz Zembruski, Anglet (Francja) — po raz 47-my	F. 500,00
Norbert Zaba, Sztokholm — dziękuje prenumeratorom <i>Kultury</i> , znajomym i przyjaciołom za tak liczne życzenia i dary otrzymane z okazji 80-lecia (13 lipca) przekazując jednocześnie na Fundusz <i>Kultury</i> Krs 200,00	F. 190,00
Anonimowo z Paryża, po raz 23-ci	F. 160,00
Bezimiennie z Saltsjö-Boo (Szwecja) — Krs 100,00	F. 95,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

B.B., NYC (USA) — na opozycję polityczną — \$ 20,00	F. 123,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,00
E.M., Paryż — na rzecz przesładowanych w PRL	F. 200,00
Grupa Pomocy „Solidarności” w Cleveland, OH (USA) — sumę zebraną na comiesięcznych mszach świętych za Ojczyznę w kościele św. Kazimierza w Cleveland — na Żeby Polska była Polską — \$ 400,00	F. 2.460,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)

Usta pełne gliny, głos stłumiony piaskiem

...liczyliśmy mnogie imiona ludów startych
[przez Rzymian na proch
pochowanych bez chwały, które dla Liwiusza
nie godne były nawet zmarszczki stylu...

Zbigniew Herbert

Co oni widzieli ostatnim widzeniem, co uderzyli straszną gwałtownością myśli, w momencie gdy kula uderzała wzrok, słuch, myśl i kruchy mechanizm krwiobiegu? Ileż to razy przez wszystkie tamte lata zadawałem sobie pytanie o to i ciągle o to, mówiąc po cichu: „oni”, ale wchodząc tylko w jego wzrok, w jego świadomość. Ileż razy odprowadzałem go tam, nad krawędź nie mogiły, ale rowu wypełnionego byle jak rzucanymi jednym strzałem ciałami w szaro-zielonych mundurach.

Ma się w swoim życiu dwoje, troje, wyjątkowo czworo tych najbliższych i to jest ogromne szczęście mieć ich, są bowiem i tacy, może nawet liczniejsi, którzy nigdy nie mieli nikogo.

Więc właśnie wchodziłem w to jego widzenie i myślenie — gwałtowne, wzburzone strachem, rozpaczą, bezsilnym gniewem, bo on mi był kimś najbliższym. Dziś miałby lat 75 lub 76, ale może by tego wieku i tak nie dożył? Może zginąłby potrzebniej, albo zmarł naturalnie? Ale może właśnie by żył i nie musiałbym — za niego — próbować nieustannie tego odtworzenia chwili, tej chwili kiedy wszystko przestaje być.

Polacy mają w swej przeszłości wiele tego typu narodowych wspomnień. Bodaj czy nie najsłynniejszym było owo wyróżnienie nad Batochem wziętych do niewoli żołnierzy (a często po prostu rycerzy), o czym Legenda pokoleniami przyszłymi niosła owe okrzyki „Jezus, Maria”, którymi żegnali życie.

Więc może oni, może on...?

Czterdzieści siedem lat milczenia z jednej strony światowego parawanu politycznych racji i czterdzieści siedem lat słabych, ledwie dosłyszalnych głosów i ledwie dosłyszalnych gestów. Czap-ski, Swianiewicz, dokumenty, przewody, pomniki... wszystko na nic. Za lat kilka będzie pół wieku, to nawet przy naszym przedłużonym „statystycznym” życiu ogromny szmat czasu. Za lat kilka on miałby lat 78 i jednak mógłby się cieszyć dobrym zdrowiem, tak jak się nim cieszy na przykład cesarz Japonii — Hirohito.

Ostatnio pojawiły się w tzw. środkach masowego przekazu informacje, że ma rozpocząć działalność mieszana sowiecko-polska komisja dla ustalenia sprawy katyńskiej. Stronie polskiej przewodniczyć ma Kazimierz Kąkol. Nie pamiętam kto stronie sowieckiej. Nieważne.

Więc, zapewne, ma się urzeczywistnić ów prezent, który Chruszczow ofiarowywał Gomułce i który — jakież to jednak niezwykły przypadek „nieposzanowania starszego Brata” — nie został przyjęty. Po co właściwie zbiera się dziś ta komisja? By ustalić fakty? Ależ w gruncie rzeczy są ustalone już dawno. Oczywiście — ujawnienie tajnych dokumentów z archiwum KGB (czy może NKWD — nigdy nie mogłem uchwycić literowych finezji owej dziatwy Dzierżyńskiego) byłoby materiałem pasjonującym dla historyków. Jeszcze bardziej pasjonujące byłoby wskazanie przez stronę sowiecką, gdzie znajdują się jeszcze nieznane groby jeńców polskich z Ostaszkowa i Starobielska...

Ale przecież nie po to zbierze się komisja. Jej zadaniem będzie zmiana stalinowskiej tezy o niemieckich sprawcach wymordowania polskich oficerów wziętych do sowieckiej niewoli i dyskretne wprowadzenie nowej interpretacji do „publicznego użytku”. Tak właśnie: chodzić będzie o interpretację, mającą wyjaśnić polskiemu (a w jakimś małym stopniu i sowieckiemu) społeczeństwu, jak to było możliwe, że w „przodującym kraju robotników i chłopów”, że na tle „jutrzeńki świetlanej przyszłości” wystrzelano, prymitywnie ale skutecznie: kulą w tył czaszki — przeszło 14.000 oficerów armii, która z owym państwem nie była w stanie wojny, obywateli kraju, który jeszcze tak niedawno powiązany był ze Związkiem Sowieckim szeregiem porozumień gwarantujących nieagresję.

Kłamstwo stalinowskie od dawna było już martwym frazesem, którego nawet głośno już nie wymawiano. Zarys prawdy funkcjonował od dawna poza oficjalnym milczeniem. Nie chodzi więc o fakty, ale o ich wpasowanie w możliwie najwygodniejszą dla władz sowieckich formułkę, może już nie rozgrzeszającą sprawców, ale przynajmniej odpowiednio ceniującą to, o czym wszyscy wiedzą.

A nieprzypadkowo strona polska do owego „cieniowania”

wysunęła Kazimierza Kąkola, długoletniego (i niewątpliwie zasłużonego) kierownika resortu wyznań religijnych w MSW. Tenże Kąkol — pewnie obecnie już profesor, a w każdym razie do niedawna docent — utkwiał mi w pamięci z ostatniego okresu z dwóch wystąpień. Najpierw zapamiętałem jego udział w dyskusji, którą telewizja PRL zorganizowała po wyświetleniu lanżmanowskiego filmu „Shoah”. Brało w niej udział dobrane grono — Andrzej Wasilewski — dyrektor PIW i członek KC (ten, który walczył przyczynił się do zniszczenia ZLP), dyrektor Teatru Żydowskiego — Szurmiej i jeszcze kilku panów, między nimi zaś Piotr Grzegorzyczyk, którego dziwaczna ideowa droga zasługiwałaby na uwagę, gdyby Piotrem Grzegorzyczykiem w ogóle warto by się było zajmować.

Podczas tej pieczołowicie „wysterowanej” dyskusji Kąkol przedstawił się jako były żołnierz AK, nawet tak jakby się odwoływał do „kolegów z AK”. Było to tym bardziej niesmaczne, że przed TV zabrakło reprezentanta „Żegoty”, w jego zaś miejsce wstawiono partyjnego aktywistę.

Druga okazja to — opublikowany w całej prasie polskiej — artykuł wymierzony przeciwko tym, którzy usiłują czcić pamięć niemieckiego żołnierza rozstrzelanego w Polsce za dezercję — Ottona Schimka. Były AK-owiec grzmiał, że się próbuje otoczył szacunkiem dezertera, którego słusznie — z punktu widzenia praw wojskowych — stracono za niepodporządkowanie się rozkazom. Na tę obrzydliwą filipikę „profesora TV” replikował z godnością Osmańczyk w *Tygodniku Powszechnym*, sam siebie przedstawiając jako dezertera z Wehrmachu. A inna rzecz jakby *casus* Kąkol widział sąd wojenny AK, oczywiście gdyby działał współcześnie?

A więc sam już wybór przewodniczącego komisji doskonale objaśnia, o co właściwie chodzi w tej jaruzelskiej „pierestrojce”.

W epoce stalinizmu jeden z „pryszczatych” (z których później większość dość radykalnie odmieniła poglądy) napisał mniej więcej następująco: „Zapytaj o Katyń, a będziesz wiedział z kim mówisz: przyjacielem czy wrogiem”. W ten sposób te zbiorowe mogiły pomordowanych rodaków stawały się papierkiem lakmusem światopoglądowej prawowierności. Milczenie było oficjalnie urzędowe. Zgoda na prymitywne kłamstwo bywała rękojmnią lojalności.

Jakże łatwo wyrzekać się swoich, zwłaszcza gdy tak dalecy, zwłaszcza gdy ich czaszki od tak dawna już wypełnia glina i piasek. I trzeba koniecznie stwierdzić, że za słabym, niedostrzegalnym niemal, głosem sprawiedliwych tak niewiele powstało świadectw literackich. Gdyby nie Włodzimierz Odojewski okazałoby się, że sobie nawet na to „Przechodniu, powiedz...” nie zastrzegali. I jeszcze piękny, choć aluzyjny wiersz Bułata Okudżawy. I właściwie wszystko.

Oczywiście: w tamtych latach zbiorowych komór, zbiorowych mogił i indywidualnego, ale na miliony rozmnożonego okrucieństwa i męczeństwa tych kilkanaście tysięcy istnień to nawet nie tak wiele. I może tylko tacy jak ja, dotknięci bezpośrednią żałobą, pamiętają i zapominają nie chcą. I nie mogą.

Dlatego mnie wiadomości o tej jakiejś komisji, o tym jakimś być może uchyleniu skrawka prawdy o jednej z obrzydliwszych zbrodni stalinowskich nie interesują i raczej drażnią niż koją owym późnym „chlebem rzuconym umarłym”.

Fakt ten jednak ma nie tylko indywidualny wymiar psychiczny, ale sięga głębiej i dlatego wydaje mi się iż wart jest uwagi. Uwagi wszelako bliższej skupienia niż emocji. I dlatego piszę o tym, skupienie bowiem w moim przypadku jest stanem pozyskiwanym sobie samemu w wyniku przemyślenia i dopełnionej świadomości. I nie pytam nikogo, by poprzez tamte groby uzyskiwać o żyjących świadectwa. Wiem, że w moim stuleciu zawalono, zasypano piaskiem i gliną ogromną liczbę nie tylko męczenników, ale i konwencji. Tych pożytecznych konwencji, które służyły ludziom, ułatwiając społeczne kontakty w czasie i przestrzeni. W imię obłędnie pojętego postępu, w imię ideologii wywindowanych na miejsce opuszczone przez Boga, w imię przyszłości lecz z zapiekłą nienawiścią dla żywych, zburzono pomosty konwencji i otwały się przepaście, straszniejsze niż kiedykolwiek, pogłębione bowiem doskonalszą niż kiedykolwiek wiadomością dobrego i złego.

A więc pytanie podstawowe i może w ogóle jedyne, jakie można nad symbolem tamtych masowych mogił postawić: jak to było możliwe? Pytanie zarazem na pozór naiwne w świetle zyskanej dziś powszechnie świadomości ludobójstwa sowieckiego. 14, 15 czy 16 tysięcy? Zaledwie tysięcy w kraju, gdzie ofiary liczyć się musi w milionach? Jakież to ma znaczenie gdzie ich zasypano, skoro właśnie milionów nie da się odszukać w bezmiarach tego, co niedoszła ofiara katyńska — Józef Czapski — określił jako „ziemia nieлюдzka”.

Sądzę jednak, że tu znakomity malarz i pisarz popełnił pomyłkę — te sosnowe laski tłumiące huk strzałów — to była jednak ziemia ludzka, bowiem nie tylko zamieszkała „od zawsze” przez ludzi, ale i zarządzana przez osobników uważających się za ludzi. Dramat Katynia i tych innych nierozpoznanych mogił polega właśnie na tym, że powstały na ludzkiej ziemi.

I przestaje się liczyć cyfra, statystyka nie może zajmować miejsca zawalonych konwencji, nie przerzuci bowiem żadnych kładek nad przepaściami współczesności. Przestaje się też — w jakiejś mierze — liczyć przynależność ofiar, że był to, jeśli tak rzec wolno, kwiat narodu, bowiem kadra mogąca służyć i budować od nowa nową armię — symbol niepodległości. Wręcz odwrot-

nie: owa przynależność buduje jakby swego rodzaju uzasadnienie zbrodni: byli przecież przedstawicielami kraju, w którego rozszarpywaniu Związek Sowiecki brał tak podstawowy udział i byli właśnie instrumentem tej jego niepodległości, która była solą w oku władców Kremla. Tak: wymordowanie polskich oficerów było z sowieckiego punktu widzenia stokroć bardziej zasadne niż codzienna rutyna wymordowywania łagierników — tego tłum, gdzie wszyscy zostali zrównani w zbędności.

Jeżeli przyjęło się bowiem pewne zasady: że jednostka się nie liczy, a raczej — w wielu przypadkach liczy negatywnie, należy ją likwidować. Likwidacja polskich oficerów z takiego punktu widzenia nie budzi zdziwienia, byli oni nie tylko zbędni, jak miliony dogłodzonych do ostatka głodomorów, byli co więcej szkodliwi i to szkodliwi w szczególny sposób — gorsi od „kułaków”, którzy przecież ostatecznie mogli się nawet przydać jako siła robocza, gorsi też od „swoich”, bowiem obcy — społecznie, narodowo, państwowo.

W chuderlawych laskach białoruskich zasypano piaskiem, zalepiono gliną „obcych” — czyli że postąpiono zgodnie z „linią partii”. Tak właśnie uczył Lenin, który i niedorostki kazał likwidować, a w tym sensie Stalin był absolutną konsekwencją pierwszego „wodza rewolucji”. Czy ową konsekwencję należy cofać wstecz? Do teoretyków ideologii, do jej twórców? Sądzę, że tak, bowiem to oni uznali pewne moralne postawy, pewne etyczne kanony za konwencje, które — dla szczęścia ludzkości — należy właśnie zniszczyć.

Każda rewolucja jest zniszczeniem. Rewolucja bolszewicka przewyższyła wszystkie. Czy więc należy odrzucić wszelką rewolucję? Być może, ale takiego odrzucenia utożsamiać nie wolno ze zniechęceniem, ze skostnieniem. Samo życie w swej najgłębszej istocie jest ciągiem przemian. Rewolucje są w tej perspektywie nader często przyspieszeniem pozornym, zwłaszcza, że po eksplozji bardzo często zatrzymują się gwałtownie. Zburzywszy nie potrafią budować. I właśnie rewolucja sowiecka jest świadectwem tego co najgorsze. Ideologowie zbudowali bowiem utopijny porządek na zniszczonych podstawach etycznych, które wprowadziła funkcjonowały w minionym i początkach obecnego stulecia źle (m.in. ze względu na własne zatrzymanie się), na tyle jednak dobrze, iż ludziom powoli i w zbyt małych dawkach przynosiły wolność, a wraz z nią dalekie perspektywy poprawy doli najbardziej upośledzonych.

Budowniczo socjalizmu, jako ideologii społecznej, bardzo piękne założenia ustawili na fundamencie zburzonej, lub co najmniej zakłóconej, moralności. Chcieli stworzyć moralność nową, ale nie umieli pogodzić jej z faktem, że planowanie ustroju bazującego na nienawiści nie może dać się pogodzić z jakąkolwiek

etyką. I dlatego zbudowali konstrukcję, dla której ludobójstwo stało się tylko logiczną konsekwencją.

A więc groby katyńskie są prostą konsekwencją ideologii Marksa, wcielanej w życie przez Lenina i Trockiego, a konsekwentnie doprowadzonej do pewnego rodzaju syntezy przez Stalina, Mao Tse-tunga i pomniejszych Pol-Potów.

Czy może bowiem istnieć inne rozwiązanie problemu, który teoretycznie ma gwarantować równość, ale gwarantując ją przy pomocy dyktatury jednych nad drugimi, musi wytwarzać presje najdalej idące, a więc ludobójcze. I złudzeniem jest twierdzenie, że potworność stalinizmu wzięła się stąd, iż pierwsza rewolucja komunistyczna zrealizowana została w Rosji, w kraju jakoby przysposobionym psychicznie do niewolnictwa.

Jest to podwójna bzdura, skoro bowiem Rosjanie mieliby jakiegokolwiek niewolnicze predyspozycje, to nie wydaliby tych wszystkich wspaniałych ludzi, którzy życie poświęcali najwznioślejszym i ogólnoludzkim ideałom, od dekabrystów i Herzena poczynając a kończąc na współczesnej jakże na pozór drobnej, ale jakże w istocie wielkiej generacji tzw. dysydentów z całą ich mentalną i psychiczną różnorodnością. Drugi aspekt owej bzdury polega na „świętym” acz fałszywym przekonaniu obywateli państw zachodnich o ich cywilizacyjnej i humanitarnej wyższości w stosunku do „dzikiego” wschodu Europy. Należałoby im jednak przypomnieć, że to właśnie w owej najwyżej rozwiniętej części świata zamanifestowały się obrzydliwości dorównujące sowieckim. To przecież wśród solidnych Niemców rozwinęło się hitlerowskie ludobójstwo, zaakceptowane przecież większością „jednego narodu” poparcia dla „jednego wodza”. Mniej drastyczne formy przyjął włoski faszyzm, ale i on pobudził sumienia nosicieli śródziemnomorskiego humanizmu, spadkobierców Settembriniego. A ostatecznie to nikt inny tylko Anglicy u progu naszego stulecia dokonali wiekopomnego wynalazku obozów koncentracyjnych w dobie wojny burskiej.

Tak, to zapewne Rosjanie strzelali w potylicę polskich oficerów. Ale może byli wśród nich także Gruzini, Uzbegy, Turkmeni, nie mówiąc o Ukraińcach czy Żydach. Do polskich oficerów nie strzelali ludzie. Ci oprawcy — nawet jeżeli w cokolwiek „wierzyli”, nie zasługują na takie określenie. Strzelał do nich system zbudowany na „jedynie naukowej” bazie nienawiści, chciwości władzy nad ludźmi i strachu przed możliwością jej utracenia.

Wspominałem na początku o rzezi Polaków nad Batohem. Ale nie należy zapominać i o tym, że również Polakom zdarzało się zabijać wziętych do niewoli, bezbronnych już przeciwników. W pewnym sensie specjalistą w tym zakresie był hetman wielki litewski Radziwiłł — „Piorun”. Należałoby też przypomnieć na fakcie oparte opowiadanie Jana Józefa Szczepańskiego „Buty”.

Otóż to pewne sytuacje, pewne okoliczności tworzą z ludzi ludobójców i nie ma z tym nic wspólnego przynależność narodowa. Polacy w większości nienawidzą Rosjan, w mniejszości swoją nimi fascynację przetwarzają w służalczość, niejednokrotnie doprowadzoną do najobrzydliwszej zdrady. I dlatego uważałem za konieczne pisać o tamtych grobach, wskazać na prąźródło tego konkretnego ludobójstwa i zastrzec się, że nie piszę przeciwko Rosjanom, ani też przeciw żadnemu innemu narodowi włóczonemu w „Pax Sovietica”.

Kiedy bowiem dochodzi mych uszu to straszne „Jezus, Maria”, ze stepów nad Batohem, kiedy oczy moje dostrzegają nagle jego oczami to co jest już za krawędzią wykopu i życia, buntuję się — w niemal pół wieku po tym wszystkim — przeciwko temu co się stało przaprzączyną tego właśnie ludobójstwa. I gdy uczone komisje będą radzić na tym, w jaki sposób strzępkami prawdy raz jeszcze przekłamać historię każdego z nich, małą historię ludzkiego istnienia, będę musiał raz jeszcze odbyć z nimi, to znaczy — z nim, tę ostatnią drogę. I wiem że rozumiejąc, niczego jednak pojąć nie mogę.

Tymoteusz KLEMPSKI

Smutek rusińskich pustkowi

Były to czasy, gdy pukając do cudzego domu, wchodziło się z Panem Bogiem na ustach, wiedząc, że «bez Boga z dala od proga» — jak to mawiał kulawy Skupień ze Stołowego. Pozdrowieniem bożym wszystko się w górach rozpoczyna: narodziny i pochówki. Wśród skał i lasów cokolwiek się dzieje, ma powiew wieczności, a Pan to wieczność.

Cytat powyższy, postawiony jako motto, wyjęty został z najnowszej książki krakowskiego pisarza, Władysława Krygowskiego (ur. 1906 r.), „Wspinaczka po tęczy”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Autor, doskonale znany od półwiecza turystom polskim, przez wiele dziesięcioleci redagował rocznik *Wierchy*, napisał kilka przewodników górskich, setki artykułów z tego zakresu, przyczynki, mapy. Trudno sobie wprost wyobrazić, by ktoś chodzący po szlakach beskidzkich nie miał w ręku, choć przez chwilę, słynnego, czterotomowego przewodnika. Bez „Krygowskiego” nie szło się i nie idzie w Bieszczady, Beskid Niski, inne łańcuchy polskich Karpat. A nawet mniej znane pogórza nabierają dzięki temu opracowaniu barw lokalnych i pociągają osobliwościami. Poza tekstem stoi przecież ziemia, niemal każde słowo przewodnika można samemu sprawdzić. Najpierw się czyta, potem się wędruje, aby z obrazu świata wnioskować o bogactwie.

Co prawda, w kulturze pasterskiej — nawet w zamożniejszych zagrodach — odczuwa się zawsze osobliwe ubóstwo: zgromadzone tu akurat tyle dóbr, ile koniecznie potrzeba do bytowania. Prac domowych nie brakuje, toteż górale budzą się w lecie ze słońcem. Krygowski przypomina: „Kto z ptakiem nie wstaje, temu szczęścia nie staje” (str. 71).

Węch człowieka współczesnego, szczególnie mieszkańca miast, pozbawiony jest wrażliwości na bogactwo zapachów niesionych

przez wiatr: za dużo spalin, kurzu, dymów kuchennych i przemysłowych. Za dużo gwaru, pośpiechu, wrażeń. Osobnicy, potrafiący utrzymać niespieszny i głęboki rytm życia wewnętrznego, należą w mieście do wyjątków. Bodaj tylko w niedzielne poranki można poznać inne, niepochwytne oblicze Paryża, Monachium, Londynu czy Krakowa. Można zbliżyć się do przeszłości, bliżej przyjrzeć się temu, co dzieje się „obok”, „po drodze”, „przy padkiem”, gdy akurat zajęci jesteśmy czymś innym, co wydaje się nam rzeczywiście istotne i z punktu widzenia pragmatyki konieczne, nieusuwalne.

Krygowski od dzieciństwa wyjeżdżał z Krakowa w góry. W różnych rolach: jako badacz, jako przewodnik grup wędrownych, wreszcie — jako prywatny, samotny turysta. O tej ostatniej swej roli przez wiele lat pisał niewiele, dopiero w minionym dziesięcioleciu zdecydował się na opublikowanie w „Serii Tatrzańskie”, zainicjowanej przez Wydawnictwo Literackie, dwu książek o charakterze eseistyczno-wspomnieniowym: „Góry i doliny po mojemu” oraz „W litworowych i piarzystych kolebach”. Obecnie ukazuje się trzecia z tego zakresu publikacja, właśnie „Wspinaczka po tęczy”.

Jeśli przeżyło się, jak Krygowski, kilkadziesiąt lat w górach, już wiadomo, że „przeszłość umiera wszędzie i zawsze, ale jest też inna prawda, że przeszłość wciąż żyje” (str. 73). Autor „Wspinaczki po tęczy” próbuje przekazać czytelnikowi coś z tej najbardziej ulotnej trwałości. W górach najłatwiej wejść w wymiar tego, co w naszym życiu, w każdej egzystencji, objawia się jako niezniszczalne, wolne od przypadłości, nawet — zwycięskie, ponieważ wieczne. W tym sensie eseistyczne myślenie Krygowskiego zmierza ku temu, by odbiorcę — szczególnie młodego — uwrażliwić na to, co przeznaczone człowiekowi: nieśmiertelność, zbawienie. Bodaj nikt w polskim piśmiennictwie o górach nie dążył tej kwestii z równym uporem i skutecznością.

Wędrówki autora odbywały się w dwu głównych kierunkach: na południe od Krakowa, dolinami rzek lub grzbietami beskidzkimi aż do Tatr oraz na wschód, przez krainy Łemków, Bojków, aż do Huculszczyzny. Można dziś jeszcze weryfikować opisy z kierunku pierwszego, więc jechać koleją — jak to chętnie czyni Krygowski — wysiadać na małych, poaustriackich stacyjkach pomiędzy Suchą Beskidzką a Chabówką, zapuszczać się w bezimienne dolinki albo chodzić znakowanymi szlakami. Można, najlepiej poza sezonem, dojechać do Zakopanego i stąd poznawać Tatry, pieszo, bez pośpiechu, unikając wycieczek i najbardziej przedeptanych „ceprostrad”. Natomiast prawie niemożliwe jest dotarcie do Beskidów Wschodnich, w okolice Czarnohory i Gorganów, gdzie jeszcze podobno zachowały się znaki turystyczne, malowane przez działaczy Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

przed półwieczem. Gdzie starzy Huculi pamiętają turystów ze Stanisławowa, Drohobycza, Lwowa i odległego, legendarnego Krakowa.

Krygowski zaznajomił się bliżej z Karpatami Wschodnimi w 1928 roku, jako zapalony i niezmordowany turysta. Poznawał je we wszystkich porach roku, w upalne lata i w śnieżne zimy, bo tylko tak — poprzez stałe obcowanie — wchodzi się w głęboką zażyłość z górami. Na tamtych szlakach przez cały dzień można było wędrować samotnie, w przestrzeni nieucywilizowanej, nienaruszonej też w sensie ekologicznym. Zmieniał się w trakcie wędrówki język ludu w dolinach i na halach, a także objaśnienia na mapie. A więc szło się „drogami”, „ścieżkami”, w końcu zaś „płajami”. Od strony polskiej były „palenice”, tutaj zaś „pałanycie”. Zamiast „rzek” płynęły „riki”, jednakowo czyste, rybne, wykorzystywane przez Huculów do spławiania drewna.

Pomiędzy mową Huculów, dialektem ruskim a mową Polaków istnieje głębokie, prastawiańskie pokrewieństwo, sprawiające, iż można porozumiewać się bez trudu, przy odrobinie uwagi, kojarząc znaczenia i dźwięki. Jest to jakby odkrywanie korzeni własnego języka. W przedwojennej Polsce dialekty rozwijały się swobodnie, nie były zagrożone językiem mass mediów, a mniejszości narodowe — mimo krzywdzącej polityki rządu — pozostawały na swej ziemi, fizycznie nienaruszone, wrosnięte w glebę. Łemkowie gospodarzyli w Beskidzie Niskim i Bieszczadach, dalej na wschód byli Huculi, a każdy, kto wędrował górami, wspominał ogromną życzliwość tych ludzi, ich pracowitość i mądrość życiową. Dla Jerzego Stempowskiego Huculowie okazali się wzorem zrównoważenia i towarzyskości, a kultura pasterska stanowiła przykład harmonijnego rozwoju człowieka. Do swoich karpackich przemysłników tęsknił Hostowiec przez trzydzieści lat emigracji. Takich rozmówców i gawędziarzy nie znalazł nigdzie na Zachodzie.

Krygowski był przed tragicznym wrześniem 1939 roku obywatelem kresowej Rzeczypospolitej, sięgającej daleko na południe, aż ku słonecznej, starożytnej Rumunii. Przeżywano góry w ich jedność, łatwo przekraczając granice plemienne, świadcząc sobie codzienne grzeczności, dzięki którym utrwała się człowieczeństwo: „na stajach łemkowskich piłem mleko, a w kiernyciach wodę, gdy z wielkiej misy jadłem mamałygę, a z blachy owsiane kołacz” (str. 88). Fanatyczny nacjonalizm, pustoszący niziny europejskie w latach trzydziestych, wybuchnął tutaj, w Karpatach, z opóźnieniem ale i zjadłością pożaru trawiącego susz leśny. Podsycanie nienawiści leżało w interesie zarówno Sowietów, jak i później Niemców. Jak zwykle w stanie wojny, społeczność została zdominowana przez jednostki wojownicze, silne, ale też bezwzględne, łamiące bez skrępowania prawa ludzkie (więc i boskie).

Socjologia wskazuje na skuteczność działania „osobowości anarchicznych” w warunkach pewnej bezkarności i wówczas, gdy broń staje się zasadniczym elementem „dialogu” międzyludzkiego, a zbiorowość zaczyna się dzielić na „swoich” i „obcych” wedle najbardziej prymitywnych, stadnych kryteriów. Racje polityczne Ukraińców, słuszne i zrozumiałe, zaczęto egzekwować siłą, która coraz chętniej posuwała się aż do okrucieństwa. Przez Beskid Niski i Bieszczady przeszła w czasie drugiej wojny światowej niszcząca fala. W ten sposób terroryzm unicestwił to, co najcenniejsze: górskie osadnictwo łemkowskie. Bo kiedy doszły do głosu władze komunistyczne, dzieło zniszczenia doprowadzono do końca: górali bieszczadzkich wysiedlono na drugi koniec Polski, wedle wzoru Stalina. Wszelkich zaś „Ukraińców” zaczęto uważać za element politycznie podejrzany. Dla pułkowników komunistycznych, wychowanych na ideologii walki i wroga klasowego, likwidacja band UPA — i równocześnie niewinnych osad cywilnych — była oczywistością. Znieczuleni przez walki frontowe, często spustoszeni wewnętrznie, niezdolni do współczucia i ludzkiego działania, pacyfikowali Beskid Niski i Bieszczady metodami najokrutniejszymi, ogniem i mieczem. Do dziś olbrzymia większość społeczeństwa polskiego nie ma pojęcia o tym, co się działo w południowo-wschodnim zakątku PRL w pierwszych latach powojennych. Brak świadectw, dokumentów, brak przede wszystkim zadośćuczynienia. Tymczasem cierpienie niewinnych obciąża i przyszłe pokolenia, obciąża solidarność ludzi. Jak mówi Biblia: „ponieważ nie nienawidziłeś krwi, krew ma cię ścigać” (Ezechiel 35, 6).

Krygowski lata wojny spędził poza krajem. Gdy w 1947 roku wrócił, rozpoczął penetrowanie także i owej ziemi nieszczęśliwej, „zakątków strzeżonych przez łemkowskich świętych” (str. 103). Wiosną 1950 roku zapuszcza się w głąb Bieszczadów, bezludnych wówczas, na powrót zdziczałych, idąc przez „rozstrzelane w czasie wojny lasy” (str. 105). Dwadzieścia lat później takie widoki wciąż jeszcze spotykało się w pasie przygranicznym Beskidu Niskiego:

„Widzieliśmy strzępy tkanin, z których rozbiegały się myszy, jedyne stworzenia mieszkające w zawalonych resztkach cerkwi w Smereku. Co ludzkie, wyginęło od ludzi. [...] Leszczynami zarastały łąki, carynki zamieniały się w dżungle. Parę lat wystarczyło, by rośliny wchłonęły zagrody, załamały chałupy, wymościły kwiatami kamieniste wiejskie drogi. Całe dni włóczęgi wśród dzikiej zieloności, gdzie jeszcze parę lat temu chodzili ludzie, modlili się, kochali, siali i umierali. Ku łące górskiej — pamiętam — szły woły, na pastwiskach rżały konie, na brzegach lasów snuły się dymy ognisk. Jeździło się do Lutowisk na targi końskie, na odpust do Leniny Wielkiej, by się ukorzyć w cerkwi przed Sądem Ostatecznym, do Ławrowa, gdzie śpi na cmentarzu ruski książę Lew Daniłowicz. Śpiewało się wieczorami, siedząc na przyzbie, piło w karczynie baligrodzkiej po wygranej lub przegranej w sądzie” (str. 116).

Krygowski, jak całe pokolenie turystów pamiętających II Rzeczpospolitą, nie potrafi wyrzec się Bieszczadów, choćby były — jak w początkach lat 50-tych — górami niebezpiecznymi. Nie chce zapomnieć swych dawniejszych przyjaciół, Łemków, szuka ludzi, zabudowań, dostrzegając najdrobniejsze ślady zniszczonej wspólnoty. Bo przecież wsie bojkowskie, łemkowskie i huculskie trwały przez stulecia, zgadzały się z żywiołem polskim, handlowali tam Żydzi, docierali ze swymi towarami ciemnoocy kupcy ormiańscy. Osadnictwo górskie było i jest dobitnym świadectwem wiekowej współpracy plemion i różnych kultur.

Symboliczną budowlą pozostaje dla nas cerkiew łemkowska, lub szerzej — rusińska. Świątynie te wznoszono z drewna, którego pod dostatkiem rośło w lasach Karpat Wschodnich, i sadowiono zazwyczaj w centralnym, „osiowym” miejscu osady. Otaczano murem z kamienia polnego lub łupków, rzadziej drewnianym płotem. Jak we wszystkich wsiach, pozostawiano miejsce na pochówek tuż przy świątyni, w ziemi poświęconej. Już niedaleko Krynicy, w Mochnacze Niżnej lub w Tyliczu, można obejrzeć cerkiewki, tym się odróżniające od kościołów drewnianych, katolickich, że wprowadzają element bizantyjski do architektury: nad drewnianym zrębem świątyni, nad dachem ułożonym z gontów wykwitają gętko modelowane kopuły, również pokryte rzędami deszczulek i zwieńczone krzyżem — jak to mówią — „rusińskim”, podwójnym, nierzadko przekreślonym u spodu na skos, wedle wzoru prawosławnego. Ludowy cieśla pracował na ogół bez planów, na wyzucie, dostosowując kształt cerkiewki do otoczenia i do pewnego schematu, utrwalonego w budownictwie. Kopuły winno być co najmniej trzy, jak są trzy Osoby w Trójcy Przenajświętszej. Każda kopuła wspiera się na osobnym segmencie budynku i wieńczy piramidalnie wstępujący ku górze rytm drewnianych okapów. W tym dźwiganiu się ku niebiosom dachy cerkiewne przypominają o pagodach chińskich; zresztą niewykluczone, że idea schodkowego dachu wywodzi się, *via* Bizancjum, z głębi Azji. Kopuła główna mówić ma — jak zwykle w architekturze chrześcijańskiej — o „spełnieniu”, „pełni czasów”, doskonałości Chrystusa. Zbawienie dokonuje się poprzez Ducha Świętego, toteż ponad kopułą otwiera się ku światłu arkadowa latarnia, znowuż okryta od góry foremnym okapem drewnianym, a nim wyrośnie krzyż, jeszcze na głównej oś wieży są nanizane dwie pomniejsze „cebulki”. Skojarzenie z rośliną jest tu jak najbardziej uzasadnione, bo właśnie bulwa cebuli i czosnku — znanych od czasów przedhistorycznych — stanowi niewątpliwie pierwowzór rozwiązania architektonicznego. Cebulaste hełmy wieżowe dotarły na kresy dawnej Rzeczypospolitej poprzez ziemie żywej Ukrainy a także, szlakami wędrownych cieśli, poprzez płaje Karpat Wschodnich. Cerkiewka stanowi więc dla nas, dziedziców wielonarodowości ojczyzny, przykład budow-

nictwa przenikniętego głęboką myślą teologiczną, ponieważ głosi chwałę Trójcy Świętej i to przy użyciu materiału tak „ciepłego” i wonnego, jak drewno. Kontemplacja cerkiewki z zewnątrz zajmuje uważnemu obserwatorowi wiele kwadransów, wypełnionych treściwym myśleniem.

Podobnych świadectw kulturowych nie znajdziemy na ziemiach Niemiec czy Francji. Sakralne budownictwo Bawarii przejęło zaledwie cebulaste hełmy wieżowe i to inną drogą: wzór bizantyjski, poprzez Rawnę czy Wenecję, rozprzestrzenił się w Italii, przeniknął nawet łańcuch Alp na północ. Z drewna jednak budowano przede wszystkim w Europie wschodniej i to głównie w górach, gdzie ostały się najtęższe starodrzewie. Miron Białoszewski, wędrując po Beskidzie Niskim w początku lat 1950-tych, urzeczony był cerkiewką łemkowską. Temu spotkaniu poeta poświęcił jedną z najwybitniejszych wierszy, „Stara pieśń na Binnową”. Wielką rolę gra w utworze śpiew aniołów, szczególnie zaś ich naczelnik i dyrygent w boskim chórze, św. Michał, patron Rusi i chyba najważniejszy święty unicki.

Władysław Krygowski w swoich powojennych, śmiałych peregrynacjach po ziemi łemkowskiej nie raz wynurzał się z zielonego żywiołu, widząc nagle cerkiew, otoczoną starymi, milczącymi drzewami. W opisach podróżnika, oprócz poezji, znajdziemy wiele rzeczowych, istotnych informacji:

„W bocznej dolince, z której właśnie przyszliśmy, na łasce boskiej trzymała się w gałęziach drzew drewniana cerkiew, czarna i zielona, z dachem jak sito. Przez to sito sięgały deszcze na gnijącą podłogę, z dziurami zlejącymi butwiele. Na środku podłogi, gdy zająłem do wnętrza przez wyrwy w ścianie, leżała drewniana figura świętego czy świętej, a obok obrócone do góry dnem, nikomu niepotrzebne bydlęce koryto” (str. 110).

Kościół pozbawiony wiernych, których pognano na niziny, przede wszystkim na Pomorze, skąd wcześniej przepędzono Niemców. Autor „Wspinaczki po tęczy” zatrzymuje się na popas w starej Wołkowyji, zalanej później wodami Jeziora Solińskiego. Nie znajduje tu ani jednej rodziny łemkowskiej, znanej sobie sprzed wybuchu drugiej wojny światowej. Wszędzie te same, złowrogie ślady:

„... szliśmy wyniszczoną ziemią, na której wszystko, co ludzkie, znikło, przemieniło się w swąd czarnych, wypalonych belek, popiół strzech, w gruz dawnego życia. Na Chryszczacie ktoś nadział na wysoki pręt leszczyny czaszkę ludzką. Bieleje ich sporo w lesie nad Rabem, na Magurecznem dziki rozorały groby tonące w trawach; na skraju lasu w Górzance roztrzaskany krzyż przydrożny...” (str. 115).

Czy po czterdziestu latach zmieniło się coś w Beskidzie Niskim i Bieszczadach? Szczątki ludzkie pobierali bogobojni ludzie i gdzieś je pogrzebano, może na zapomnianych przycerkiewnych cmenta-

rzach; tablice nagrobne przemawiają dostojnymi słowami, utrwalonymi w cyrylicy. Fundamenty chałup łemkowskich zarosły bujnym zielskiem i wysokimi pokrzywami, towarzyszącymi człowiekowi na halach i pastwiskach. Wiele cerkwi unickich — prawdziwych arcydzieł ciesielki — niszczy w słońcu i upale. Czcigodne ikony rozkradziono, a czynili to i czynią także ludzie ochrzczeni, uważający się nawet za katolików. Obrazy wywożono do miast, gdzie nimi zwyczajnie handlowano, nie zdając sobie sprawy, co to znaczy: deska lub płótno święcone. Część ruchomego wyposażenia cerkwi przejęły parafie rzymskokatolickie, nie zawsze z należyтым zrozumieniem funkcji i symboliki przedmiotu. Co najmniej kilkanaście bezcennych budowli drewnianych podpaliła ręka fanatyka, bluźniercy zarazem. Konserwatorzy nie wykluczają, że robił to podżegacz najemny.

Są ludzie, którzy chcieliby „poprawić” historię i z dziejów piastowskiej, „czystej” polskości wykreślić element rusiński. Przy końcu lat 70-tych z kręgów administracji partyjnej wyszedł pomysł zmieniania nazw miejscowych, ruskich, na dowolnie wybrane nazwy polskie, przeciwko czemu protestowali zarówno pisarze, jak językoznawcy. Najbardziej barbarzyńskie działania na razie powstrzymano. Nazwy miejscowości, podobnie jak imiona własne, są najcenniejszymi relikami mowy; ich naruszanie — powszechne w Rosji porewolucyjnej — uważać trzeba za równie niebezpieczne, jak burzenie kościołów, zespołów klasztornych, wycinanie kilkusetletnich drzew, przetrzebienie starożytnej zabudowy miasteczek i wsi, podpalanie bibliotek i rozpędzanie gminnych, zasłużonych szkół. Wszystkie te klęski przeszły przez Ziemię Przemyską, Sanocką, Dukielską. Toteż i dziś jeszcze w połemkowskich wsiach spotyka się taki obraz, jaki ujrzał Krygowski w 1953 roku:

„...kościół był zamknięty i niedostępny. Ściany miał rozstrzelane pociskami, dach przedziurawiony i z jednej strony odłupany węgiel. Odrzwia zaryglowane podwójnie, bo na klucz, i zagrodzone bujnym krzewem z progu, a raczej w jego kamiennej szczelinie. Z dala wyglądał jak grzesznik, któremu zabroniono wstępu do wnętrza, póki się nie oczyści. Już raz w tych stronach widziałem taki krzew u wejścia, na progu cerkwi w Chmielu, i powtórnie tutaj, w wołkowyjskim kościele” (str. 111).

W opuszczonych sadach rusińskich kwitną na wiosnę jabłonie, śliwy i czereśnie. Karpackie wiatry od południa przynoszą zapach młodego wina, z Siedmiogrodu. Turysta może się do woli pożywić dojrzałym, słodkim owocem. Na miedzach trzymają się dziczki, których drobne, twarde i cierpkie gruszki nieść można w plecaku przez wiele dni, aż do Dunajca, Raby i Skawy. Niewygaśła gościnność Rusinów.

Wysiedleńcy nie zapomnieli o ziemi przodków. Dzieci Łemków — wychowane na niżu Polski — wracają niekiedy, po osiągnięciu dojrzałości, na ziemię ojców. Chcą odbudować od podwalin daw-

ne gospodarstwa, modlić się na powrót w drewnianych cerkiewkach, przed ikonostasem. Dopiero w ten sposób może zagoić się rana, otwarta w czasie wojny, która tutaj trwała do początku lat 50-tych.

Czy duchowieństwo rzymskokatolickie potrafi zrozumieć i pomóc księżom unickim? Najstarsza generacja, dziś najbardziej wpływowa pośród hierarchii, okazuje się często nietolerancyjna wobec unitów (pamięć o własnych krzywdach, o fanatyzmie Ukraińców; zatrucie świadomości przez jady nacjonalistyczne, myślenie kategoriami endeckimi: „rdzenny szczep piastowski”). Młodzi księża, o ile nie czytają książek z historii najnowszej, ulegają totalitarnym stereotypom, rozpowszechnianym przez mas media. Są jednak nieliczni, doceniający znaczenie unii dla katolicyzmu, wagę tradycji pluralistycznej, a przede wszystkim znaczenie unitów właśnie jako unitów. Sens tej liturgii, architektury, religijności. Kościół greckokatolicki przypomina nieustannie o jedności Kościoła Apostolskiego. Jest zarazem pomostem przerzuconym w kierunku prawosławia, o którym Polacy współcześni winni zacząć myśleć bez uprzedzeń i pogardy.

W biografii Krygowskiego istnieje wielki i ważny obszar, odcięty przez historię. Pamięć pisarza obejmuje trzy odrębne formacje polityczno-ekonomiczne: Galicję cesarsko-królewską, okres międzywojenny, czterdziestolecie komunizmu w PRL. Po roku 1945 — wyznaje autor:

„...na Howerlach, Popadiach i Hnitesach już być nie mogłem i nie byłem. Toteż młodość w Gorganach, na Połoninach Czywczynskich i Hrynawskich zapadła w przeszłość inaczej i nawet czasem wątplię, czy była, czy nie wymyśliła jej wyobraźnia” (str. 123).

A jednak, mimo olbrzymich utrudnień administracyjnych, w doliny huculskie i dziś jeszcze dochodzą pojedynczy, przedsiębiorczy turyści polscy; co prawda bez zezwolenia władz miejscowych, ryzykując — w razie wykrycia przez policję sowiecką — co najmniej natychmiastowym odstawieniem do granicy, a prawdopodobnie więzieniem. Jeden z mych rozmówców, posługując się przedwojennym przewodnikiem po Huculszczyźnie, dotarł skrycie do Jaremca i nie bez zdumienia stwierdził, że wielu najstarszych mieszkańców żyje i serdecznie wspomina czasy polskie. Wymienieni w książce gospodarze lub ich rodziny nadal zajmowali sędziwe, drewniane zagrody. Przewodnik pisze: tu wydawano obiady, tam turyści mogli przenocować, poprzez lasy wiodą takie a takie szlaki. Po upływie półwiecza wszystko to można było stwierdzić. Huculi, słysząc polską mowę, wzruszeni do łez, próbowali w ciągu kilku letnich wieczorów opowiedzieć dzieje powojenne — strach przed terrorem sowieckim, zniknięcie niektórych ludzi, upadek gospodarki rolniczej i handlu, ogromne zubożenie górali. W pięk-

nej Czarnohorze wykryto podobno złoża uranu, ogromne połacie lasów odrutowano, a w samej kopalni mają pracować więźniowie, narażeni na promieniowanie i skazani tym samym na męczeńską śmierć. Opowiadano o tym szeptem, w największym zaufaniu, jakby potwierdzając zasadę Józefa Mackiewicza: „nie trzeba głośno mówić”.

Niezwyczajnie pojemna jest pamięć Władysława Krygowskiego. Nie odrywa się ani na chwilę od ziemi, przekazuje nam setki nazw miejscowych, które dla doświadczonego turysty mają swą własną barwę i zapach. Górską ojczyznę pisarza rozciąga się na przestrzeni setek kilometrów: od źródeł Wisły do Huculszczyzny. „Wspinać po tęczy” to nie tylko krajobraz, opisy wspaniałej przyrody, ludzi, religii. Także ocalenie wnętrza schronisk, chałup, cerkwi i kościołów. Skrzypiące, drewniane schodki, wiodące na pięterko. Izby i korytarze w chatkach, werandy, szum deszczu po łupanych gontach, trzaskanie okiennic przy jesiennym wietrze. Wreszcie noclegi w stodołach, w zapachu siana i lasu — każdy postój inny, każda stodoła po swojemu tajemnicza. I przebudzenia:

„... spałem naprawdę, na pustym stryszkach, z garstką siana pod głową. Obudziłem się późno, gdy słońce zaświeciło mi prosto w oczy przez wycięte serduszko. Skoczyłem na równe nogi, bo zdawało mi się, że dookoła pożar. Otworzyłem drzwi i ujrzałem znajome mi kopce Łopiennika, a nad nimi płonące jasnością niebo” (str. 100).

Józef Wojciech GADOMSKI

Styczeń - czerwiec 1987

PRO ARTE

Nowy kwartalnik poświęcony polskiej sztuce poza Krajem w języku polskim i angielskim. Luksusowe wydanie ograniczone do 400 numerowanych egzemplarzy, 48 stron. Pierwszy numer — lato 1987 zawiera artykuły o malarzach E. Żaku, Z. Menkesie, rzeźbiarzu L. Kozakiewicz oraz jako stałą pozycję, wywiad ze współcześnie działającym polskim artystą na Zachodzie oraz dwie jego sygnowane oryginalne grafiki. Kronika odnotowuje ceny polskich dzieł sztuki i antyków na rynkach międzynarodowych.

Wojtek FIBAK — wydawca

Z. Michael LEGUTKO — redaktor

Roczna prenumerata 130 \$. Pojedynczy numer 40 \$.

Zapewniamy pełną gwarancję.

Zamówienia prosimy kierować do:

PRO ARTE

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA

Dwaj panowie na „Chrobrym”

RZECZ O CZESŁAWIE STRASZEWICZU
I WITOLDZIE GOMBROWICZU

Dwudziestego pierwszego sierpnia 1939 roku ja na statku Chrobry do Buenos Aires przybywałem. [...] Ze mną Czesław Straszewicz, towarzysz mój, kajutę dzielił, bo obaj jako Literatki żal się Boże mało co opierzone na tę pierwszą nowego okrętu podróż zaproszeni zostaliśmy;

[...] Aż tu Czesław do kajuty naszej (bo wciąż na statku mieszkaliśmy) z gazetą wpada: „Wojna dziś, jutro, wybuchnąć musi, nie ma Rady! Owóż Kapitan rozkaz wydał, aby jutro statek nasz wypłynął, bo choć do Polski już się nie przedostaniemy, to pewnie gdzieś do Anglii, Szkocji brzegów dobijemy!”. Gdy to wyrzekł, ze Łzami w objęcia sobie padliśmy i zaraz na kolana padliśmy, pomocy Bożej wzywając i Panu Bogu się ofiarowując. A tak klęcząc powiadam do Czesława: — Płyniemy, płyniemy z Bogiem!

[...] Ożwał się, a już bardzo zafrasowany: — Nie chcesz z nami? Tu wolisz się zostać? Ale ty do Poselstwa naszego pójdziesz, tam się Zamelduj, żeby Cię za dezertera albo i co gorszego nie ogłoszono. Pójdziesz do Poselstwa, pójdziesz? Odpowiedziałem: — Co sobie myślisz, pewnie że pójde, przecież wiem co jako Obywatel powinienem, już się o mnie nie bój. Ale lepiej nikomu nie mów, może jeszcze Zamiar swój odmienię i z wami odpłynę. Dopiero wtenczas z klęzek powstałem, bo już najgorsze przeszło, a Czesław pocziwy, ale i Zafrasowany nadal serdeczną mnie darzył przyjaźnią (choć jakby Tajemnica jakaś między nami była).

Na tym w *Trans-Atlantyku* historia żegna Czesława Straszewicza, czy raczej „Czesława Straszewicza”. Cudzystów wydaje się niezbędnym po to, by odróżnić realną postać o tym samym imieniu i nazwisku od postaci literackiej, wymodelowanej przez autora. Gdy bohater-narrator, „Witold Gombrowicz”, z „Przekleństwem od Okrętu się odwróciwszy, do Miasta wstąpił”, jego towarzysz podróży już się więcej u jego boku nie pojawił, z czego wnosić należy, że na pokładzie „Chrobrego” popłynął z powrotem do Europy. Dla wielu młodych czytelników *Trans-Atlantyku*

„Czesław poczciwy” jest jedynie epizodyczną postacią fikcyjną, pierwszym konterfektem z galerii typów polskich w powieści. Ten przypadkowy zwiastun apokalipsy i niechętny spowiednik grzechu obojętności „Witolda Gombrowicza” wydaje się dla słabiej obznajmionego z literaturą emigracyjną odbiorcy tworem wyobraźni autora, bytem mniej realnym w książce niż Pykał czy Ciunkała. Jego pierwowzór — oraz jego twórczość — zatarły się w kapryśnej pamięci pokoleń. „Czesław Straszewicz”, rycerski Polak, dla którego powrót stanowi niekwestionowaną powinność, zdaje się służyć jednemu tylko celowi: stworzeniu antytezy dla „ja” powieściowego. Ci dwaj tworzą jedną z licznych par gombrowiczowskich będących w ciągłym zwarcu dialektycznym: prostolinijny Czesław i pokręcony Witold, ochotnik i dekownik, patriota i kosmopolita, śmiałek i tchórz. Wykonują razem kilka *pas* poloneza „Pożegnanie z ojczyzną” i z ukłonem rozchodzą się na dwie różne strony. W *Trans-Atlantyku* już się nie spotkają, ale życie potrafi być niekiedy bardziej przewrotnym pisarzem nawet niż Gombrowicz. Czesław Straszewicz, tym razem już bez cudzysłowu, zatoczył wielki łuk, by wrócić pod koniec wojny do Ameryki Południowej, z takim pośpiechem opuszczonej we wrześniu 1939 roku. Zamieszkał wtedy w Montevideo, stolicy Urugwaju, kilkaset kilometrów w linii prostej od Buenos Aires, z którego Gombrowicz nie ruszył się przez następne dwadzieścia cztery lata. Gdy autor *Trans-Atlantyku* wiosną 1963 roku płynął z powrotem do Europy („Czymże jest ta jazda, jeśli nie jazda w śmierć?...”) — zapisał wtedy w *Dzienniku*, na Straszewicza czekała już łódź Charona, by pozostać przy zbliżonej symbolice. Umarł 10 września 1963 roku. Los nie obszedł się zbyt łaskawie z Gombrowiczem, to pewne, szczególnie w latach jego argentyńskiej izolacji, ale ze Straszewiczem obszedł się jeszcze gorzej. Oczekiwanie sprawiedliwości od losu może okazać się zgubną w skutkach utopią, w postaci na przykład mrzonek o sprawiedliwości społecznej lub innych herezji. Po to jednak mamy pamięć, by skrajne nadużycia losu nieco korygować. Pisarz może przeżyć zapomnienie za swego życia, ale nie przeżyje zapomnienia po śmierci. To nie paradoks; gotowa jestem upierać się przy prawdziwości tego stwierdzenia. Korygujmy zatem, by pokazać figę losowi.

Podróż statkiem (żaglowcem, arką) przez morza należy do najstarszych *topos* literatury, nie trzeba o tym przypominać. Są jednak autentyczne, nie fikcyjne podróże statkiem, odnotowane w kilku zdaniach dziennika okrętowego lub pamiętnika, działające na wyobraźnię niekiedy bardziej, niż wymyślone odyseje. Przynajmniej na moją wyobraźnię. Podam dwa przykłady. Oto pierwszy: w 1909 roku z Bremy odpłynął w kierunku Nowego Jorku parowiec, na pokładzie którego znaleźli się Sigmund Freud

i Karl Jung. Rejs trwał siedem tygodni. Obaj pasażerowie spotykali się codziennie i nawzajem, godzinami, analizowali swoje sny, co już samo w sobie jest komiczne albo fascynujące, zależnie od punktu widzenia. Ciekawe jest dopiero, co nastąpiło dalej: otóż Freud tak się oburzył zbytnią dociekliwością młodego kolegi analizującego metodą freudowską jego sen, że doszło między nimi do ostatecznego zerwania. I wtedy Jung... Koniec dygresji. Kto chce, niech sobie tę opowieść odszuka w pismach Junga. Ma ona wiele wspólnego z jego teorią archetypów. A zatem czas na przykład drugi. Tu już nie wyciągnę królika z kieszeni, bo ciągle mi po głowie chodzi ów losem brzemienisty rejs „Chrobrym”. Zapisał Gombrowicz w *Dzienniku* (1961-1966) w drodze powrotnej do Europy:

Och, co to właściwie było, tych lat dwadzieścia i cztery, z czym ja płynę do Europy? Ze wszystkich spotkań, jakie mnie oczekiwały, jedno było najkłopotliwsze... musiałem się spotkać z jednym białym statkiem... który wypłynął z polskiej Gdyni w drodze do Buenos... z którym więc miałem spotkać się nieuchronnie za jakiś tydzień na pełnym oceanie... Był to „Chrobry”. „Chrobry” z roku 1939-go, z sierpnia, ja na nim byłem i Straszewicz i Rembieliński, senator, i minister Mazurkiewicz, rozbawione grono... tak, wiedziałem, że spotkać się muszę z owym Gombrowiczem, płynącym do Ameryki, ja, Gombrowicz, dziś odpływający z Ameryki. Jakaż ciekawość żarła mnie wtedy, potworna, odnośnie losu mojego, czułem się wtedy w losie moim jak w ciemnym pokoju, gdzie pojęcia nie masz o co nos rozbijesz, ileż bym dał za najniklejszy promyk rozświetlający zarysy przyszłości — i oto dzisiaj nadpływa ja tamtemu Gombrowiczowi, jako rozwiązanie i wyjaśnienie, jestem odpowiedzią.

Więc tam Freud i Jung, para która wstrząsnęła światem XX wieku, a tu inny znów tandem, może nie aż takie olbrzymy, Literatki ledwie co opierzone, dzielące kabinę na statku, który był szczególnego rodzaju mutacją „Titanika”, z tą różnicą, że to nie on zatonął podczas dziewiczego rejsu, lecz zatonął cały kontynent, wraz z całym ich dotychczasowym życiem. Z podróży przemieniali się w emigrantów, nawet o tym nie wiedząc. Choć może Gombrowicz i to przewidywał... O czym wtedy rozmawiali? O przeczuciach wojny? O Schopenhauerze? Czy opowiadali sobie sny? Który z nich chrapał, który cierpiał na bezsenność? Jakim Straszewicz był dla Gombrowicza partnerem w z takim kunsztem przez niego uprawianej prowokacji intelektualnej? Nie ma odpowiedzi.

Bo wydawali się wtedy sobie równi. Byli rówieśnikami, urodzonymi w tym samym 1904 roku, jeden w Małogoszczy, drugi w Białymstoku. Pochodzili z tej samej szlacheckiej sfery, z rodzin kresowych; Gombrowicz był może odrobinę lepiej notowany w herbarzu i miał zasobniejszą rodzinę. Obaj studiowali na tym samym Warszawskim Uniwersytecie w tych samych latach: Straszewicz — filozofię, Gombrowicz — prawo. To nie koniec

paraleli. Obaj wydali w tym samym 1933 roku debiutanckie zbiory opowiadań. Obaj należeli wtedy do najbardziej obiecujących prozaików młodego pokolenia, choć najwnikliwszy krytyk ich generacji, Ludwik Fryde, od razu tę analogię nam zakłóci, kiedy przyjdzie zacytować jego ocenę, pochodzącą z 1938 roku:

Młodzi pisarze usiłują sprostać wymaganiom romantycznej formy poezyjowej, ale nie umieją jej podołać. Znamiennym przykładem może być *Zazdrość i medycyna* Michała Choromańskiego. [...] Inny przykład: opowiadania Czesława Straszewicza biorą czytelnika egzotyką tła, jaskrawością tematu, rozmachem fabuły, stylem pełnym energii; i w nich jednak sceny i postaci, przerysowane w konturze i w geście, z demonicznych stają się niezgrabne jak w szopce ludowej. [...]

Na tle rozproszonych wysiłków i problematycznych eksperymentów utworów Gombrowicza *Ferdydurke* stanowi rewelacyjną niespodziankę. Bez wahania uznajmy go za najwybitniejsze osiągnięcie młodej prozy. Przede wszystkim jest to wybitny czyn intelektualny: poznawczy i etyczny. [...]

Kaden — programowy antyhumanista, wychowany przez wojnę, uwielbia bałwochwalczo materię, zmysłową cielesność, jak Tuwim [...]. Takimi samymi bałwochwalcami materii są jego uczniowie, Choromański, Straszewicz i w ogóle poszukiwacze „nowego dreszczu”, „patosu”, „siły”. Gombrowicz jest inny; [...] W pisarstwie Gombrowicza dochodzi do głosu prawdziwa inteligencja, na dwadzieścia lat wyświecona z kultury jako szkodliwy, „niewspółczesny” przesąd.

A zatem widać od razu jak los, słowami Frydego, już zmienia szale Gombrowicza i Straszewicza: cóż można zrobić, gdy jeden pisarz jest inteligentniejszy od drugiego? To cecha przyrodzona, modlitwą i pracą niczego się nie zmienia. Sam Straszewicz skomentował swoją przedwojenną twórczość z dystansem i na pół serio w szkicu autobiograficzno-polemicznym „Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi” w *Kulturze* z 1952 roku:

Męskie samopoczucie zbiegło się u Straszewicza z „Wystawą Bogów”. Tę wystawę w trzech tysiącach egzemplarzy lekkomyślnie mu wydał Mortkowicz, a to ze względu na jedno opowiadanie, które nazywało się „Na śniegu dojrzewa ryż”. [...]

Potem Straszewicz wysiadywał w Konstancinie w willi „Kaprys” nad bardzo grubą „Przekłątą Wenecją”. Znacznie później złapał się na nią Rój, czyli Kister i Gebethner, czyli Wat. O tej Wenecji Bohdan Suchodolski pisał, że ją spermą o stają czuć.

[...] Pisząc „Gromy z Jasnego Nieba”, — Straszewicz starał się, dla Matki swojej, być lepszy.

Po „Gromach” pojawiły się „Kukułki z łasku Vizile” i ostatnia, na manewrach pod granicą bolszewicką robiona Straszewicza lepszego „Litość”.

Na zakończenie życiorysu trzeba oddać głos Gombrowiczowi, który rondem w *Kulturze* opisał ocean i Trans-Atlantyk, Chrobrego i Straszewicza. Witold to opisał, mało kłamiąc.

Litość, dodać trzeba tytułem przypisu, powieść osnuta na tle wojny domowej w Hiszpanii, sprawiła, że jej autor dostał się na czarną listę Gestapo, o czym wspomina Miłosz w swojej *The History of Polish Literature*, i gdyby udało mu się we wrześniu

roku pamiętnego wrócić mimo wszystko do Polski, jego szansa przeżycia byłaby jeszcze mniejsza. Punktami koła, jakie Straszewicz zatoczył były jednak Francja i Anglia. We Francji zgłosił się do armii polskiej, został ciężko ranny (przejechany przez czołg, leżał wiele miesięcy w szpitalu), a po wkroczeniu Niemców w 1940 roku, przerzucono go do Anglii. Tam począwszy od wiosny 1942 roku do schyłku roku 1944 pracował w radiostacji „Świt”, nadającej z miasteczka Bletchley koło Londynu kilkunastominutowe programy, mające uchodzić za audycje podziemnej radiostacji w okupowanej Warszawie. Okres ten wspomina Straszewicz w ważkim, choćby ze względu na walor świadectwa i zakres stawianych pytań szkicu zatytułowanym „O ‘Świcie’” (*Kultura* nr 10/72 — 1953 r.):

Często gęsto wentylowało się temat, jak to kiedyś w przyszłości będzie: czy my, którzy przez angielski mikrofon dwa razy dziennie podszywamy się pod Polskę walącą i odstukujemy na maszynie naszą chrobrość — czy my, gdy „Świt” się szczęśliwie skończy, chwalić się będziemy, żeśmy w nim byli, czy też zamknijemy usta?

W roli pracownika radiostacji „Świt” — autora i spikera — musiał Straszewicz dotkliwie zdawać sobie sprawę z wyborów moralnych i wszelkich innych związanych z codziennym jej funkcjonowaniem. Wedle Anglików, założycieli rozgłośni, miała ona pierwotnie „tylko podsycać polską rezystencję”, ale w nieuchronny sposób stała się rozgłośnią *par excellence* polityczną i nie mogło być inaczej. Wprawdzie Anglicy — pisze Straszewicz — niezmiennie rzadko odwoływali się do zakazów cenzuralnych w odniesieniu do audycji dotyczących oblicza Nowego Alianta, to jednak autor szkicu podejrzewa ich o dalece bardziej złożoną grę polityczną: „Mielśmy tylko wrażenie, może mylne, że owe mordercze teksty, nadawane z Anglii przez angielską aparaturę — przez inną angielską aparaturę były starannie zagłuszane”. Straszewicz nie może sobie bowiem racjonalnie wytłumaczyć jednego: „Nikt chyba nie powie, że prawa ręka Goebbelsa albo prawa ręka Stalina nie wiedziały, skąd idzie ‘Świt’?”. W ogóle cały okres pracy w „Świcie” musiał dać Straszewiczowi wiele do myślenia — i to wcale nie w kategoriach abstrakcyjnych — na temat pojęcia „lojalność” i jego praktycznego zastosowania w życiu przez większego alianta względem mniejszego:

W okresie Powstania na temat Sowietów mówiło się wszystko co gorzka ślina na język przyniosła, przy smętnym potakiwaniu Anglików. Z prawdziwym przerażeniem słuchaliśmy wówczas polskich audycji „Głosu Ameryki” (czy jak się to wówczas nazywało) w których Powstanie Warszawskie, zgodnie z komunikatem Tassa, było całkowicie ignorowane. Jak dziś pamiętam, kiedy padło Stare Miasto a my oklapliśmy — ówczesny „Głos Ameryki”, który mówi do jednego z narodów sprzymierzonych” wesolutkim głosem przez 15 minut słuchaczom swoim w Polsce opowiadał, jak to Magda ze wsi Pysie wykiwała gestapowca nazwiskiem Müller.

Człowiekowi czułem na kwestie wartości etycznych praca w „Świcie” dostarczała też tematów do rozważań nad odpowiedzialnością za słowo, które miało tendencję do natychmiastowego przemieniania się w krew. A na dodatek Straszewicz jako uczestnik wojny ideologicznej w eterze, w narzuconym przez sytuację kamuflażu, wcale nie czuł się bohaterem. Postępował w masce, ale ciągle go ona uwierała. Zespół „Świtu” znajdował jednak natychmiastowe rozgrzeszenie u kurierów i innych „autentycznych ludzi z Polski”, którzy po wyjawieniu im tajemnicy, odpowiadali, że „w nowoczesnej wojnie jedni muszą strzelać, a drudzy siedzieć na d.... i hukać”. Zatem hukął.

Likwidacja „Świtu”, przypomina Straszewicz, nastąpiła — bynajmniej nie zbiegiem okoliczności — tuż przed konferencją jałtańską. Wkrótce potem współpracownik rozwiązanej rozgłośni został wysłany do Montevideo w charakterze *attaché* prasowego przy poselstwie RP. Funkcję tę pełnił niedługo, niespełna rok. Zresztą i same poselstwa wędły w oczach. Na jedenaście lat Czesław Straszewicz zarzucił twórczość literacką. Podjął ją na nowo, zachęcony przez Jerzego Giedroycia, którego list cytuje czy raczej parafrazuje na wstępie swojego szkicu o strachu. Do końca 1955 roku był też kierownikiem lokalnej radiostacji polskiej w stolicy Urugwaju. To i tam mówią po polsku? Wspomina też o kiosku z papierosami na terenie portu, gdzie pracował; przyjmijmy, że był to niezły punkt obserwacyjny dla literata i dziennikarza. Po Październiku podjął współpracę z Radiem Wolna Europa. Może teksty jego gawęd istnieją w czeluściach archiwów? Jeśli ocalały, warto by je odnaleźć i ogłosić drukiem, choćby wybór. Tym bardziej, że dorobek emigracyjny Czesława Straszewicza nie jest pokazny: ogłoszona w tym samym co *Trans-Atlantyk* 1953 roku, powieść *Turyści z bocianich gniazd*, przez tego samego wydawcę, Instytut Literacki; niedokończona powieść (miała jakoby nosić tytuł *Klips*), z której znamy dwa rozdziały drukowane w *Kulturze*, w roku 1955 i 1957, dziejąca się w urugwajskim slumsie i na salonach skorumpowanych do szpiku kości dostojników, no i wspomniane wcześniej szkice. Straszewicz w sierpniu 1939 roku podążał na „Chrobrym”, żeby zebrać materiały do powieści z życia Polaków w Brazylii. Bohaterowie jego prozy nie przypominają jednak późnych wnuków Pana Balcera, i to z wielu powodów.

Co wiem o Urugwaju? Nic prócz tego, że państwo o takiej nazwie istnieje w Ameryce Południowej i że ma ustrój zaprowadzony na wzór Szwajcarii, ale co jest wart ustrój szwajcarski bez Szwajcarów? Szwajcaria nad Atlantykiem, na skraju Wielkiego Nic, i zamiast owczarków z Góry Świętego Bernarda — aligatory. Myślę, że dla polskiego literata jest to miejsce niemal doskonałej w swoim okrucieństwie alienacji, wysysającej próżni,

jeśli nie liczyć zaczepienia o kulturę katolicką. Montevideo jest pustym dźwiękiem dla wyobraźni, która nie podsuwa żadnego obrazu. Buenos Aires, Priapolis dla Gombrowicza, cieszy się przynajmniej opinią najbardziej europejskiego miasta na kontynencie, zna się je z kryzysów politycznych, gwałcenia praw człowieka, z telewizji i ze współczesnej literatury argentyńskiej. A także z *Dziennika* Gombrowicza. Jedynym pisarzem z Urugwaju jakiego znam jest Czesław Straszewicz. Podejrzewam, że Montevideo u emigranta budzi natychmiastowe objawy choroby sierocej i że piekielne upały rozgotowują mózg. Nawet faktu istnienia Polonii urugwajskiej nie uważam za zbytnią pociechę. Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego Czesław Straszewicz tam właśnie zdecydował się pojechać, powtarzając trasę nieszczęsnego rejsu „Chrobrym”, i dlaczego nie starał się stamtąd wydostać. Może zresztą próbował, tyle że bezskutecznie. Lektura jego spuścizny emigracyjnej potwierdza tylko moje najgorsze obawy: nie jest to ziemia obiecana. Straszewicz cierpiał na wysuszającą samotność drażącą organizm od środka jak choroba tropikalna, choć i tak był wdzięczny losowi za towarzyszkę życia, Panią z Kiosku, opisaną z taką czułością, lekką kreską jak na rysunku japońskim, w *Turystach z bocianich gniazd*. Ów proces chorobowy odnotował z dużą autoświadomością, bez sentymentów, w rzeczowym szkicu „Pióra w ukropie...”, do którego wypada nie raz wrócić. Tym bardziej, że jego przedmiotem nie jest w istocie dola emigranta. To druga część tytułu, „Strach nami rządzi”, wskazuje na główny zakres rozważań autora. A Straszewicz ma ten temat wpisany we własne nazwisko.

Jest to strach nie tyle w kategoriach psychologicznych czy biologicznych, co ontologicznych. Zainteresowanych odsyłam albo do oryginalnego tekstu, albo do zwięzłej sylwetki Czesława Straszewicza pióra A. J. Rembielińskiego w zeszycie *Kontaktu* z września 1986 roku, zaopatrzonej w liczne cytaty. Do uwag Rembielińskiego dodam tylko w tym miejscu, że Straszewicz wskazując na powszechność strachu, który jest tym dla ludzi, czym pragnienie i łaknienie, siebie z tej kondycji nie wyklucza. Wręcz odwrotnie, można odnieść wrażenie, że bał się bardziej od innych i że wzmożone poczucie lęku ma coś wspólnego z bardziej wyostrzoną zmysłowością i wyobraźnią artysty — każdego artysty. W jego pojęciu musimy jednak nazwać swój największy strach: czego się bardziej boimy — śmierci na wojnie, więzienia, nędzy, bezimienności, czy utraty twarzy. Tu jednozdaniowa dygresja: jednym z głównych powodów samobójstw w Japonii jest przeświadczenie o utracie twarzy. Straszewicz należy do kategorii ludzi, wcale licznych, którzy najbardziej lękają się własnego sumienia: skrupulatnych potrafi ono powoli zaszczuć. Jego spowiedzi dziecięcia wieku nie należy traktować jako doraźnej pole-

miki na ogłoszone, jeszcze przed wydaniem książkowym, ustępy *Trans-Atlantyku* w *Kulturze*, ani w ogóle jako polemiki *stricto* literackiej, choć padają tam nazwiska i Miłosza, i Światopełka Karpińskiego, i Bolesława Miczińskiego, i wielu innych. Sprawa jest poważna, do dziś nie rozstrzygnięta, i próżno szukać jednoznacznych wskazań. Straszewicz zresztą nie stara się przedstawić w opozycji wobec kolegów po piórze, którzy przedsięwzięli pewne środki ostrożności, mające zapewnić im przetrwanie. I jego groza, nie tylko groza przed kataklizmem historycznym, ale i groza przed całym porządkiem świata, nie ominęła. Straszewicz ma podobnie tragiczną świadomość co Gombrowicz i Miłosz. Jeśli pyta w swoim szkicu o prawo artystów do ochrony swoich talentów, to nie z pozycji zwycięzcy i bohatera, lecz pokonanego. Bo wprawdzie usłuchał swojej „matki strachu”, jak to określa, i poszedł za jej wskazaniem, to znaczy że w trwodze przed osądem własnego sumienia wykonał odpowiednią ilość czynów określanych mianem patriotycznych, no i co? Los nie darował mu z tego powodu ani ojczyzny wolnej, ani nie zagwarantował lojalności Sprzymierzonych, ani nie dał długiej, owocnej kariery pisarskiej. Odwrotnie, użył go i odrzucił jak wyciśniętą cytrynę. Zgoda, ale tu nie ma pola do żadnego manewru z losem, nie można powiedzieć, że pójdę losowi na rękę, jeżeli otrzymam odpowiednią gratyfikację. Szukamy trwałych wartości etycznych, a nie zależnie od okoliczności. Więc choć Straszewicz wiał w tropikach urugwajskich, wiedział też, że inaczej by nie mógł postąpić. Wzywając czytelników na świadków, niczym chór w tragedii antycznej, w trakcie tragikomicznych wywodów zadaje śmiertelnie poważne pytanie: kto ma rację? Ten, kto talentu swego trwożnie strzeże, czy ten, co poddaje się konieczności, a potem już nawet pisać porządnie nie potrafi? A więc jednak szuka w działaniach losu logiki i śladów sprawiedliwości...

W gruncie rzeczy, co najbardziej Straszewicza boli to intelektualne sofizmaty i racjonalizacja strachu. Chciałby, żeby nazwać wreszcie rzecz po imieniu, ale nawet i on znajduje się pod władaniem wszechobecnej Formy, więc wywód swój przybiera w skomplikowaną miejscami stylizację; za dużo dekoracji w tym dramacie egzystencjalnym. Autor szkicu semantycznie poddał się do pewnego stopnia potężnej indywidualności Gombrowicza, pastiszując w tym tekście styl *Trans-Atlantyku*, który sam już przecież jest pastiszem gawędy szlacheckiej. Jednakże szkic ten, czytany po latach, jest zarazem jeszcze bardziej dramatyczny dziś niż wtedy gdy został ogłoszony. Bo wychodzi na to, że rację miał autor *Trans-Atlantyku*, choć on sam czuł się po lekturze „Piór w ukropie...” trochę niezręcznie. W *Dzienniku* pisze o swoich ówczesnych wyborach zdecydowanie w tonie apologetycznym:

Może nie tyle bałem się wojska i wojny, ile tego, że mimo najlepszej woli nie mogłem im sprostać. [...] Czy myślicie, że jeśli patrioci tacy, jak Mickiewicz czy Szopen, nie wzięli udziału w walce, to jedynie z tchórzostwa? Czy może raczej dlatego, że nie chcieli się zbliżnić?

Na miejscu Gombrowicza nie rozwijałabym tego wątku, bo wtedy prawa etyczne podlegałyby tym samym zasadom co prawo karne w krajach anglosaskich: opierałyby się na precedensach. Rację ma natomiast Gombrowicz w planie pragmatycznym: im wyżej znajdujemy się w opinii potomnych, tym mniej podlegamy normom etycznym. Ale nie o to przecież mu w tym miejscu chodziło. Wypowiadał się na dobrą sprawę za porządkiem feudalnym, gdzie jest kasta wojowników i kasta artystów, myślicieli, zaprzątą innymi sprawami. Bo Gombrowicz był bardzo odważny, jeżeli chodzi o własną wizję artystyczną.

O tym, że Straszewicz dotknął swoim esejem centralnego nerwu, świadczy też pośrednio o wiele późniejszy zapis Gombrowicza we *Wspomnieniach polskich*, pod datą 27. II. 61:

Ja się bałem w Polsce. Wprawdzie nie wtedy konkretnie nie zagrażało, granice państwa były ustalone, polityka zagraniczna spokojna, sprawy wewnętrzne jako tako ułożone, rządy Piłsudskiego na nowej podstawie oparte — długodystansowe, a jednak siedziało się na beczce prochu. Mówię o sobie.

W innym miejscu, wspominając wycieczkę w Tatry, relacjonuje Gombrowicz odpowiedź górala-przewodnika na jego uwagę o lęku przestrzeni: to się u nas nazywa mieć boja.

Pisze i Straszewicz: „Żyłem pod znakiem strachu mego. Pisałem pod znakiem strachu mego. Ze strachu mego urodziła się miłość moja — i Mojesz — i Chór Gładkowa i Litość”. To aluzja do jego twórczości literackiej. Miłość do ludzi, o jakiej wstydliwie, półgębkiem wspomina, bierze się też z uniwersalnego poczucia grozy. Świat w żadnym wypadku nie jest taki, jaki powinien być. Właściwie zupełnie nie nadaje się do życia. Jedyne antidotum pozostaje wątła tkanka odruchów człowieczeństwa, czyli właśnie sfera uczuć.

Zatem *Turyści z bocianich gniazd*, powieść powstała po jedenastu latach milczenia, z nieco odmiennym obrazem *imbroglio* polskiego w Ameryce Południowej niż w *Trans-Atlantyku*. Nie należy jednak traktować ich jako: a) wyzwania rzuconego przez Gombrowicza, b) reakcji Straszewicza. Obie powstały niezależnie od siebie, niedaleko (jak na tamte odległości) od siebie, w tym samym mniej więcej czasie. Romand Ziman w zagajeniu pamiętnej sesji IBL-u o *literaturze źle obecnej* w 1981 roku, rozpoczął swoje uwagi od przytoczenia fragmentu odpowiedzi Konsultanta Jeleńskiego na swój list: „W liście Pańskim nie widzę ulubionych przeze mnie pisarzy emigracyjnych [...] Czesława Straszewicza (*Turyści z bocianich gniazd* — najlepsza chyba

powieść o Polakach — kraj i emigracja) oraz Zygmunta Haupta, najlepszego artysty prozy emigracyjnej”. Do Haupta wypada wrócić w oddzielnym szkicu, a przytoczona opinia Jeleńskiego każe jeszcze raz sięgnąć po książkę wydaną trzydzieści cztery lata temu i od tego czasu nie wznawianą. Omawia ją także bardzo przychylnie Czesław Miłosz w *The History of Polish Literature*. Już sama jej kompozycja nasuwa pytanie, czy jest to powieść, czy raczej dwa opowiadania — „Katedra Sandwiczów” i „Kociołek na Ziemowita”, luźno ze sobą powiązane drugoplanowymi postaciami. Akcja pierwszego rozgrywa się w urugwajskim porcie Punta Chata na początku lat pięćdziesiątych, a drugiego — w Gdyni, kilka miesięcy później. Część pierwszą od drugiej oddzielają więc morza i ocean, albo, jeszcze inaczej, żywioł wody, która jeśli nawet nie symbolizuje wolności, to uchodzi za jej surogat. Powieść o marynarzach, ich wrogach i przyjaciółach, można by określić, mianem „rodzajowej”. Obie jej części są silnie nasycone kolorytem lokalnym, tu latynizmy, tam rusycyzmy i w ogóle dużo neologizmów; na realistycznie odtworzonym tle poruszają się ludziki, często pokraczne, na ogół nieodparcie komiczne, ale oglądane z dobroliwą sympatią. Są mali, bo niczym specjalnym się w życiu nie wyróżniają, ale sprawia to również perspektywę. Narrator, można przyjąć, ogląda wycinki łądu, na którym się kręczą, z wysokości bocianiego gniazda.

Postacią centralną pierwszej części powieści jest młody marynarz Kostek Napierski, jak wszyscy marynarze istota dwoista, ziemno-wodna, nie potrafiąca zagrześć dłużej żadnego miejsca. Marynarz zatem uosabia współczesnego *Everymana*, wyrwanego z naturalnego podglebia, pędzonego wiatrami historii i natury. Ale to wszystko jest w domyśle. Narrator *Turystów z bocianich gniazd* nie medytuje, lecz opowiada. Akcja powieści zawiązuje się w momencie, gdy do Punta Chata zawijają Kostek i jednocześnie z polskiego statku schodzi trzech marynarzy, by ratować się przed zemstą ubecji za „figiel z portretem na ss. Feliks Dzierżyński”. Miejscem centralnym akcji jest Bar Tango i przyległy kiosk, pełniący rolę portowego konfesjonatu i poradni zdrowia psychicznego. Kostek wydaje się kolejnym wcieleniem literackim *Łazika z Tormesu*, ale ten szelma ma swój nienaruszalny kodeks honorowy, a kluczem do jego charakteru jest wyryte w pamięci wspomnienie o wielomiesięcznej wędrówce z zesłania w Rosji do Polski i śmierć w drodze siostrzyczki. Hieratyczną stałość w tym ciągle zmiennym tyglu obieżyświatów reprezentuje Księga, atrybut Kostka. Jest nią polska książka kucharska i jej właściciel, kucharz doskonały, ciągle na nowo stwarza sobie ojczyznę w garnku lub na patelni. Tu mogłabym wejść w dłuższe dywagacje na temat zwyczajów kulinarnych, które na tle zmieniających się *mores* ewoluują najwolniej, a także powołać się na autorytety

takie jak Fernand Braudel lub Claude Lévy-Strauss czy inni strukturaliści, by dowieść trafności nienaukowych spostrzeżeń Czesława Straszewicza. Nie tylko pieśń gminna lecz i talerz zupy jest naszą arką przymierza między dawnymi a nowymi czasami. Zacytuję znowu Gombrowicza, choćby po to, żeby nie stracić z oczu owej pary Literatków z m/s „Chrobry”: „Emigranci polscy rozrzućeni po świecie dokonali gorzkiego odkrycia: kuchnia nasza jest jedną z najlepszych i po niej już nic naprawdę nie smakuje” (*Wspomnienia polskie*). Nic więc dziwnego, że znaczną część akcji w „Katedrze Sandwiczów” pochłania opis przyrządzania potraw. Istnieje też wiele wątków pobocznych, które się ze sobą krzyżują, ale ilekroć ma dojść do dramatycznej konfrontacji, adwersarze odstepują i dają sobie na jakiś czas spokój. Zwycięża jeśli nie litość, to zaniechanie. Poczucie wspólnoty, czyli *blat* pozwala jakoś to wszystko przeżyć, póki marynarze nie odpłyną w różne strony. Urok „Katedry Sandwiczów” polega na tym, jak wszystko to zostało opowiedziane, bo fabuła jest nieistotna i składa się ze scen, epizodów, oglądanych przez narratora z dobroliwym rozbawieniem.

Co dziwniejsze, narrator nie zmienia tej perspektywy, gdy akcja przenosi się do Gdyni epoki stalinowskiej, a postacią centralną opowieści staje się Zenon Bijas, naczelnik UB w randze majora. „Kociołek na Ziemowita” jest pastiszem powieści szpiegowsko-sensacyjnej i dochodzenie prowadzone w UB jest główną jego osią. Organy ścigania, łapiąc na próbie ucieczki marynarza na statku szwedzkim, postanawiają rozpracować rzekomą siatkę. Temat taki, podjęty przez literata na emigracji, powinien być przybrać ton złowroźno-apokaliptyczny. Straszewicz poszedł wbrew prądowi i pozbawił bazyliżka jego złych mocy, podsuwając mu lustro. Nie oddał pokłonu złu, lecz je ośmieszył. Te działania biurokratyczne zmierzające do skazania na karę śmierci lub dożywocie paru Bogu ducha winnych ludzi! To dopatrywanie się cech przestępstwa w każdej myśli, mowie i uczynku obywateli! Narrator stoi pozornie po stronie aparatu władzy, ale taki to aparat. Jego części składowe są tępe, ogarnięte trwogą przed zwierzchnikami i naczelstwem rosyjskiej proweniencji. Naczelstwo z kolei cierpi na rodzaj nieszcześliwego romansu z Polakami, którym by przecież włos z głowy nie spadł, gdyby byli powolni. Naczelnik Bijas jest w domu sentymentalnym pantoflarzem, znającym na pamięć Sienkiewicza (por. „Jest ONR-u spadkobiercą Partia”), drżącym o przydziałowe nieruchomości. Jakże zastrachani są ci kaci ustawieni w hierarchiczną, chybotliwą piramidę. Strach nimi rządzi. Straszewicz dziecinny ruchem wypuszcza powietrze z balona. I znów, choć krwawe starcie wydaje się nieuniknione, nikt w „Kociołku” nie ginie, co najwyżej ucieka. O losach podejrzanych decyduje *blat*.

Owa opowieść zawiera zastanawiająco dużo realiów polskich tamtych lat, a styl raportów i meldunków jest wręcz niezrównanie cienko przez Straszewicza spastiszowany. Nieznana z autopsji rzeczywistość powojenną autor odtworzył z ogromną dozą prawdopodobieństwa. Przypuszczam, że w sukurs przyszło mu doświadczenie pracy w radiostacji „Świt”. Wtedy także musiał wcielać się w postać reportera i wyobrażać sobie inne życie. Straszewicz jest pisarzem, dla którego nadrzędnym zmysłem jest słuch, stąd skłonność raczej do dialogu niż statycznego opisu.

Po przeczytaniu *Turystów z bocianich gniazd*, dwie opowieści składają się w całość, są jak awers i rewers tego samego złego szeląga, świata. Ale co robić? Rzucać przekleństwa ginącemu światu, jak „Witold Gombrowicz” w *Trans-Atlantyku*? Chłostać szyderstwem polską gębę i domagać się, by coś w końcu pojęła? Czy obserwować z bocianiego gniazda niezmienną naturę ludzką, nie starając się ludzi naprawić i zbawić przed nimi samymi, a co najwyżej między wierszami przypominać o *sztamie*, *blacie* i okrucinach dobroćliwości, sławić Panią z Kiosku, anioła stróża wszystkich pomieszanych?

Nie wiem. Nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale chcę wsłuchać się w drugi głos, dochodzący słabiej niż tamten, z lśniącego białą farbą kadłuba m/s „Chrobry” na pełnym morzu.

Renata GORCZYŃSKA

LIPERT GALLERY

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA

Tel.: 718 383 4429

Obrazy wybitnych polskich malarzy na sprzedaż: Michałowski, Orłowski, W. Kossak, Pankiewicz, Wyczółkowski, J. Malczewski, Waliszewski, Tarankiewicz, Rudzka-Cybis, J. Cybis, Muter, L. Gottlieb, Eleszkiewicz, Tukan-Wolski oraz inni.

Duży wybór starych polskich rycin i map.

Nasza następna aukcja: listopad 1987 — stare polskie obrazy, ryciny, mapy, antyki, monety oraz książki. Katalog na żądanie.

Z. Michael LEGUTKO — właściciel

RÓWNIEŻ KUPUJEMY DZIEŁA POLSKIEJ SZTUKI.

Konstanty Jeleński a Kongres Wolności Kultury

Konstanty Jeleński zmarł w Paryżu 4 maja 1987. Pisarz, krytyk sztuki, tłumacz, był utalentowanym pośrednikiem między Polską i całą Europą środkową a Francją, oraz między Francją a światem anglosaskich. Czesław Miłosz i René Tavernier pisali o Jeleńskim jako o człowieku, przyjacielu, twórcy. Niechaj mi będzie wolno oddać hołd Jego pamięci przypominając, z jakim talentem prowadził akcję, która mu leżała na sercu, mianowicie sprawę Kongresu Wolności Kultury.

Konstanty Jeleński był dyskretnym, wpływowym i bardzo czynnym członkiem tej organizacji antytotitarnych europejskich intelektualistów. Dwukrotnie zwracano się zresztą do niego z prośbą o napisanie historii Kongresu, po raz pierwszy koło roku 1960, po tym jak opublikował w Londynie — pod tytułem *History and Hope* — zbiór tekstów z międzynarodowego kolokwium, zorganizowanego przez Michaela Polanyi. Polanyi uważał, że Kongres spełnił swoje zadanie i nadszedł czas podsumowania. Chciał więc, by przedstawiono w książce sylwetki umysłowe głównych działaczy Kongresu i poprosił Jeleńskiego o zastanowienie się, jak to zrobić (koniec końców nic z tego projektu nie wyszło). Dwanaście lat później zwrócono się do niego ponownie w tej samej sprawie. Okoliczności były już zupełnie inne. Przygoda Kongresu Wolności Kultury skończyła się w 1966 roku w zamieszaniu, popłochu i goryczy, po tym jak prasa amerykańska ujawniła, że działalność Kongresu finansowała CIA za pośrednictwem rozmaitych specjalnie w tym celu stworzonych małych fundacji. Liczni pisarze i naukowcy, którzy uczestniczyli w działalności Kongresu (nic oczywiście nie wiedząc o tych zakulisowych źródłach pieniędzy) ponieśli duże szkody moralne. Jeleński zgodził się opisać dzieje Kongresu, postawił jednak jako waru-

nek dostęp do archiwów, aby móc wyświetlić te ukryte mechanizmy. Ponieważ nie uzyskał wymaganych gwarancji, nie podjął się tej pracy.

Konstanty Jeleński wszedł do Międzynarodowego Sekretariatu Kongresu Wolności Kultury w 1952 roku na prośbę swych przyjaciół z *Kultury*, Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego, którzy dwa lata wcześniej wzięli udział w zakładaniu Kongresu w Berlinie. Jego wejście do Sekretariatu nie obyło się zresztą bez oporów i trzeba było interwencji Raymond Arona, by pokonać zastrzeżenia Mikołaja Nabokowa.

Natychmiast po przyjeździe do Paryża Jeleński zajął się nawiązaniem kontaktów z okupowaną przez ZSSR częścią Europy. Próbował zorganizować komitet pisarzy na wygnaniu, ale mu się to nie udało. Lepiej mu się powiodł projekt francuskich audycji radiowych przeznaczonych dla Europy środkowej. Potem nastąpiło przełomowe spotkanie z François Bondy. Kilka miesięcy wcześniej, w 1952 roku, François Bondy udało się przekształcić pismo Kongresu *Preuves* w samodzielne czasopismo. Spotkanie tych dwóch ludzi dało początek wieloletniej przyjaźni i zdecydowało o obliczu politycznym i stylu *Preuves*.

W chwili, kiedy powstał Kongres, consensus co do metod, jakimi należało przeciwstawiać się naciskowi sowieckiemu i zwalczać urok, jaki komunizm wywierał na intelektualistów europejskich (zwłaszcza we Francji i Włoszech) był bardzo chwiejny. Różnice zdań w tej materii ukazały się oczom wszystkich przy okazji konfliktu między Arthurem Koestlerem i Ignazio Silone. Koestler walczył o zorganizowanie masowego ruchu zmierzającego do otwartej wojny ideologicznej z międzynarodowym ruchem komunistycznym. Silone się z taką koncepcją nie zgadzał i optował raczej za organizowaniem ośrodków, do których mogliby skierować swe kroki intelektualiści wahający się lub rozczarowani do komunizmu. Sytuacja była niepewna i Bondy, chcąc utrzymać *Preuves*, musiał jednocześnie pokonywać sceptycyzm Raymond Arona, który był przeciwny zakładaniu czasopisma (za to popierał pomysł tygodnika: rok wcześniej Claude Bourdet i Roger Stéphane wyłansowali *L'Observateur*) i ścierać się ostro ze zwolennikami strategii Koestlera (na przełomie lat 1950/1951 Paryż był poligonem, na którym wypróbowywano ruch odpowiadający życzeniom Koestlera). Wejście Jeleńskiego do Sekretariatu Międzynarodowego pozwoliło Bondy'emu na decydujący krok — zdecydowane oderwanie pisma od ludzi Koestlera i przycumowanie go do ludzi *Kultury*.

Z bliskiej współpracy François Bondy'ego i Konstantego Jeleńskiego narodziło się pismo świetne, najbardziej otwarte na Europę ze wszystkich pism wydawanych po wojnie w Paryżu: żadne mu dotąd nie dorównało. Konstanty Jeleński wydrukował

w *Preuves* ponad sto tekstów, artykułów i not o sztuce, literaturze i polityce. Opracował kilka numerów specjalnych. Jego działalność nie ograniczała się jednak do intensywnej współpracy z *Preuves*, choć bardzo się przyczynił do sukcesu i oryginalności pisma. W 1955 roku Jeleński podjął inicjatywę w kierunku „drugiej Europy”. Rok 1955 zaznaczyły wypadki poznańskie, powrót Gomułki do władzy, rozkwit pierwszej fali rewizjonizmu. Jeleński dostrzegł wyłom i zorganizował w Zurychu wespół z Ignazio Silone spotkanie redaktorów pism literackich i społecznych ze Wschodu i Zachodu. W wyniku tego zjazdu zorganizowano komitet wzajemnej pomocy pisarzy, który kilka miesięcy później przyjął formę szwajcarskiego stowarzyszenia. Jeleński był do końca duszą tego komitetu.

Poprzednio Kongres Wolności Kultury koncentrował się na działaniach na rzecz uchodźców z Europy wschodniej (za pośrednictwem funduszu pomocy i projektu uniwersytetu, z którym wystąpił Czapski). Utworzenie szwajcarskiego stowarzyszenia miało dwa cele: zdystansowanie się — w chwili, kiedy ustał klimat zimnej wojny — od stylu działania Kongresu i nawiązanie więzów na nowej podstawie z pisarzami, artystami i naukowcami z Europy środkowej i wschodniej. Pierwszą akcją stowarzyszenia było sporządzenie — z inicjatywy Jeleńskiego — listy wydanych na Zachodzie książek z dziedziny nauk społecznych i politycznych. Listę tę przetłumaczono na wszystkie języki Europy wschodniej, żeby tamtejsi filozofowie, socjologowie i historycy mogli sobie zamawiać odpowiednie tytuły. Następnie książki te wysyłało. Z czasem można było sobie zaprenumerować czasopisma literackie i naukowe, potem udzielano stypendiów, wspomagano młodych nonkonformistycznych malarzy z Europy wschodniej, organizowano im w Paryżu wystawy.

W roku 1966 komitet pisarzy rozwiązał się, a na jego miejsce stworzono Fundację Wzajemnej Pomocy Intelektualistów Europy. Do fundacji przystąpił Pierre Emmanuel i obaj z Jeleńskim pracowali odtąd w ścisłej komitywie. Pierre Emmanuel również zresztą należał od 1959 roku do Sekretariatu Międzynarodowego Kongresu i zajmował się tam programem pomocy opozycji kulturalnej w Hiszpanii i Portugalii. Działalność na Półwyspie Iberyjskim opierała się na funduszach zdobytych przez Jeleńskiego. Pierre Emmanuel i Konstanty Jeleński podjęli się realizacji ambitnego projektu, postanowili mianowicie wydać po francusku serię antologii poezji. Ladislas Gara wydał najpierw antologię poezji węgierskiej, po czym Jeleński zabrał się do pracy nad antologią polską, a Pierre Emmanuel jugosłowiańską. Nawiązano też kontakty w Związku Sowieckim i Czechosłowacji, ale rozwój wydażeń udaremnił realizację tych projektów.

Kiedy rozwiązano Kongres Wolności Kultury i na jego miejsce

utworzono Międzynarodowe Stowarzyszenie na rzecz Wolności Kultury (finansowane całkowicie przez fundację Forda), Konstanty Jeleński i Pierre Emmanuel odnaleźli się ramię w ramię w tej kolejnej organizacji, zarówno aby nie zawieść nadziei, jakie pokładali w nich przyjaciele z Półwyspu Iberyjskiego i Europy wschodniej, jak i po to, aby utrzymać autentyczne więzy intelektualne, na których im obu zależało. Czasy się jednak zmieniły. Niekoncząca się wojna amerykańska w Wietnamie, inwazja na Czechosłowację, ponowna „ideologizacja” znacznych warstw inteligencji zachodniej i zwyczajna pokoleniowa zmiana warty utrudniały tego typu działania i odtworzenie podobnych instytucji. *Preuves* też przeszły w inne ręce, zanim zmieniły charakter i zniknęły ze sceny.

Pozostała na placu boju przynajmniej Fundacja Wzajemnej Pomocy Intelektualistów Europejskich. Po zamachu stanu w Polsce 13 grudnia 1981 Fundacja zorganizowała m.in. kolokwium na temat specyfiki i dynamiki społeczeństwa polskiego. Wygłosili nań referaty Bogdan Cywiński, Wojciech Skalmowski, Krzysztof Pomian, Leszek Kołakowski, Aleksander Smolar i naturalnie Konstanty Jeleński, który mówił o paradoksach polskiego nacjonalizmu. Czesław Miłosz i Pierre Emmanuel przemówili wraz z Jean Marie Domenachem ostatniego dnia, na sesji publicznej. Wszystkie referaty z kolokwium zostały wydane w książce pod tytułem „Solidarité persiste et signe”.

Po Solżenicynie Paryż uznał wielkie postaci Kongresu Wolności Kultury, Raymonda Arona czy Borysa Suwarina. *Preuves* nie skorzystało z tego przewartościowania powojennej historii umysłowej. Konstantego Jeleńskiego to irytowało. Zasugerował mi, że warto by wydać antologię tekstów z pisma. Umarł za wcześnie. Nie dożył realizacji tego projektu.

Pierre GRÉMION

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYŚ)

Konstanty Jeleński czyli tajemnica przyjaźni

Rodzina Konstantego, jak rodzina Miłosza, pochodziła z pogranicza Wielkiego Xięstwa Litewskiego i Królestwa Polskiego — z ziemi żołnierzy i poetów, marzeń i niedoli. Z kresów Europy, ale Europy bardzo dawnej i wielce osobliwej.

Niełatwo mi odnaleźć w pamięci dokładne daty. W każdym razie znajomość z Kotem zawdzięczaam Kongresowi Wolności Kultury. Biura tej międzynarodowej organizacji, stworzonej po drugiej wojnie światowej, w latach straszliwego ciężarzenia stalinizmu i żdanowizmu nad spustoszonej i bezradnym światem, mieściły się pod numerem 104 bulwaru Haussmana.

„Szefami” Kongresu byli Mikołaj Nabokow, malowniczy kompozytor, kuzyn Włodzimierza, o którego był bardzo zazdrosny, wychowanek paryskich salonów sprzed 1939 roku i Michael Josselson, odpowiedzialny za intendenturę, potężna osobowość, przed którą drżeli współpracownicy, choć odznaczał się gołębią sercem. Obu pomagał amerykański pisarz John Hunt. Przewodniczący (raczej z nazwy) tej organizacji, Denis de Rougemont, filozof, twórca personalizmu i apostoł Europy, rywalizował niekiedy w ciągu owych lat z Raymondem Aronem, który demaskował „opium intelektualistów”. Wokół nich spotykało się Manesa Sperbera, Ignazio Silone, Stephena Spendera, Edwarda Shilsa, Michaela Polanyi, Herberta Passina, Sydneya Hooka, Irvinga Kristola. Całą tę błyskotliwą ekipę — a wiele ważnych postaci zapewne pominałem — wzmacniali redaktorzy wielkich pism politycznych i społeczno-kulturalnych Kongresu: Melvin Lasky z *Encountera*, François Bondy z *Preuves*, Nicola Chiaromonte z *Tempo Presente*, Julian Gorkin, który kierował publikacją hiszpańską, i nie pamiętam już kto z niemieckiego *Der Monat*.

Niekiedy składali nam wizyty „ważni goście”: Richard

Crossmann, Adlai Stevenson, Kyo Konatzu, o którym mówiono, że był pierwowzorem bohatera „Doli człowieczej”, André Philip, Carlo Schmidt, André Malraux, Robert Oppenheimer, wynalazca bomby atomowej, Dionisio Ridruejo, Guido Piovene, Boris Souvarine... Skupiający intelektualistów, uczonych, poetów, powieściopisarzy, socjologów, polityków, w tym wielu wygnańców z nowych państw satelickich — Kongres chciał być europejski, pro-amerykański, liberalny, przychylny wobec dekolonizacji, antymarksistowski i antykomunistyczny, ale z sercem na lewicy, po stronie socjalizmu o ludzkim obliczu.

Niewiele było ważnych regionów, gdzie Kongres nie prowadził walki o wolność: środkowy Wschód, Grecja, Portugalia Salazara, frankistowska Hiszpania, dyktatury w Ameryce Łacińskiej, Indonezja Sukarno, Indie (Nabokow kokietował zwłaszcza dyplomate i historyka Panikkara). Czarna Afryka zaczynała wśród złudzeń wyzwalać się i zdobywać chwiejną niezależność. Do gaullizmu odnoszono się z pewną podejrzliwością... Wyprawa na Suez zbiegła się fatalnie z wkroczeniem sowieckich czołgów do Budapesztu.

Tak wygląda, pośpiesznie i skrótowo naszkicowany, portret Kongresu Wolności Kultury. Jego działalność nie ograniczała się do czasopism. Organizował uroczyste „szczyty” w Paryżu, a później w Berlinie, kolokwia, dyskusje, wystawy, spotkania międzynarodowe. Najbardziej spektakularną z tych manifestacji był Festiwal XX wieku w Paryżu. Kot odegrał w nim istotną rolę. Igor Strawiński dyrygował „Oedipus rex” ze słowami przełożonymi na łacinę przez Jeana Danielou i recytacją Cocteau. Po raz pierwszy wystawiono w Théâtre des Champs-Élysées operę Albana Berga „Wozzeck”. Alice B. Toklas była na sali, gdy Virgil Thomson dyrygował swą operą „Four Saints in Three Acts” do tekstu Gertrudy Stein. Balety Balanchine’a i liczne arcydzieła muzyczne świadczyły o żywotności „wolnego” świata, podczas gdy wspaniała wystawa obrazów zgromadzonych przez J. J. Sweeney’a uwydatniała nowatorskie bogactwo naszego wieku w dziedzinie sztuk plastycznych. Odpowiadałem za stronę literacką Festiwalu z udziałem Williama Faulknera, K. A. Porter, Rogera Caillois, Alfreda Döblina, Jakuba Wassermana, Ilyasa Venezisa, J. Farrelli, Wystana Audena, Louisa MacNeice, Cecil Day Lewis, Carla Levi... A Kot utrzymywał stosunki zarówno z Iwaszkiewiczem, jak ze Słonimskim, i patronował początkom galerii Lambert.

W tym nawale poczynił udział Konstanty Jeleński, acz dyskretny, był bardzo ważny i bynajmniej nie ograniczał się do Polski. Urzędował w niewiarygodnie zagraconym pokoju, gdzie zwały się książki i wydawnictwa groziły zawaleniem się. Zza tych książek, pogrążony w półcieniu, bacznie i przenikliwie obserwo-

wał nie tylko nowe stosunki w Polsce, ale cały system stalinowskiego panowania. Choć jednak znakomicie orientował się w sprawach politycznych i uważnie śledził przemiany społeczne, Konstanty był również, a może nawet przede wszystkim artystą, wrażliwym jak różdżka na prądy telluryczne. Tajemnicą Kota była przyjaźń dla dzieł twórców, co nie obywało się bez wyrzeczeń i cierpień. Zwłaszcza że Kot, choć najbardziej tolerancyjny z ludzi, nie okazywał bynajmniej pobłażliwości i umiał być nieprzejednany, gdy chodziło o to, do czego słusznie przywiązywał wagę.

Konstanty, Polak i określający się tak właśnie, był również — co chciałbym podkreślić — obywatelem świata, ciekawym wszystkich kultur i różnych środków wyrazu. Europejczyk w każdym calu, związany z historią tego starego kontynentu płodnego dzięki swym podziałom, Kot był wrażliwy na to, co mogło się zdawać jego przeciwieństwem. I tu trzeba podkreślić rolę Italii: sposobu bycia, różnorodności, sprecznej tajemnej siły geniuszu włoskiego, o której świadczyła wieloznaczność jego uśmiechu, zniewalający urok spojrzenia.

Jak w kilku słowach wspomnieć Leonor Fini i to, czym była dla Kota: ogniskiem licznych przyjaźni, dziwnych przygód, niezwykłych przepychów, obrazem święta, religią wzajemnej więzi. Kot z głęboką radością uległ całkowicie temu czarowi.

Czy osobliwa dwoistość polskiego sposobu bycia — jeśli wolno mi o tym mówić, choć nigdy nie byłem w Polsce — nie jest czymś sięgającym bardzo głęboko i szczególnie wzbogacającym?

Oto Polska szlachecka z jej dziejami zasobnymi w chwałę i w klęski, w podboje i okaleczenia — jedna z najdawniejszych ziem w Europie i jedyna zapewne, z którą Królestwo Francji nigdy nie było w stanie wojny. Z tym polskim eposem bohater-skim łączy się wiara religijna, walka z najeżdżącymi germańskim i barbarzyńskim Scytą. A zarazem, od rozbioru do rozbioru, Polska samounicestwia się, ułatwiając swymi wewnętrznymi podziałami zakusy sąsiadów. Wielokrotnie ponawiane męczeństwo Polski nadaje jej narodowi swego rodzaju wymiar nadprzyrodzony: skazuje go zarówno za najwyższe osiągnięcia, jak za błędy, za wielkość zarazem nieszczęsną i niezwykłą.

Gdy byłem dzieckiem, pochłaniałem opowieści Sienkiewicza, mniej „Quo Vadis”, a bardziej epickie walki przeciw wschodnim sąsiadom. Później słuchałem, nigdy tym nie znudzony, dzieł polskich kompozytorów, które współbrzmiały z tym, co wrażliwość francuska ma najlepszego. Romantyzm polski jest po części i nasz. A Polska pozostaje dla każdego z nas przejmującą melodią.

Tak oto dokonuje się przejście od Polski przeżywanej w histo-

rii do Polski wymarzonej przez jej mieszkańców, ale również przez wszystkich, którzy czytają jej pisarzy i poetów i słuchają jej muzyków, a dziś słyszą słowo przychodzące z Rzymu i święte nawet dla niewierzących.

Jakże wielka była ma radość, gdy dostałem artykuł *Kultury* podpisany przez Konstantego Jeleńskiego, w którym przyznawał mi tytuł *Tabernarius Amicus Poloniae*.

Jeśli jednak byłem i czułem się przyjacielem tej Polski bliskiej i nieznanej, to tylko dlatego, że dzięki Kotowi poznałem Czesława Miłosza, Artura Międzyrzeckiego i Julię Hartwig, Juliusza Żuławskiego, Zbigniewa Herberta, Kazimierza Brandysa, Krzysztofa Pomiana, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego i jego siostrę, Jerzego Giedroycia.

Ponieważ współpracowałem z Kotem przy „Antologii poezji polskiej” ogłoszonej przez Seuil i ponownie kilka lat temu przez L'Age d'Homme, ponieważ powierzył mi również wiersze Miłosza do jego wspaniałego tomu, czułem się — bezpodstawnie — niemal zdolny do zrozumienia polszczyzny, choć przecież „cała jej przeszłość sprawia, że polszczyzna obca jest duchowi języka francuskiego”.

Godny podziwu wstęp Miłosza umieszcza w historii poezję bogatą, wieloraką i oryginalną, a zarazem przypomina jeden z jej naczelných problemów: problem emigracji. Pokazuje nikłość związków poezji polskiej z poezją rosyjską i sowiecką. „Oszczędność środków, ironia, prostota” — oto znamienne cechy współczesnych poetów polskich. To również cechy Jeleńskiego, którego rozumienie tłumaczenia i adaptacji było zarazem wymagające i skuteczne. On również chciał, by na apel historii odpowiadało zachowując człowieczeństwo. Taki jest sens jego długotrwałej współpracy z *Kulturą*, o czym inni mogą mówić lepiej niż ja... Wypada tu przypomnieć, że wraz z Pierre Emmanuelem otrzymał za swe przekłady poezji polskiej na francuski nagrodę polskiego PEN-Clubu. Był z niej zasadnie dumny...

A teraz trzy przypomnienia:

— Zebranie zorganizowane przez PEN-Club w Hôtel de Massa, po zamachu stanu generała Jaruzelskiego, na wniosek Kota i dzięki pomocy, której mi udzielił, a bez której niczego byśmy nie zrobili; wzięli w nim udział Roman Polański, Józef Czapski — ucieśnienie szlachetności i odwagi — Daniel Olbrychski, Suzanne Flon, Czesław Miłosz...

Były to dwie godziny przejmującego napięcia... Przybliżenie ducha polskiego Francuzom.

— Wizyty w Nonza na północy Korsyki. Od przyjaciół, u których mieszkaliśmy, Solange Farquelle i ja, schodziliśmy po stromych zboczach pokrytych krzakami i spadających stromo do morza, do ruin starego klasztoru, gdzie mieszkała Leonor ze swym

dworem. Wieczorami biesiadowaliśmy w kaplicy, której dach zawałił się wspaniale, ozdobionej gałęziami, kwiatami, tkaninami. Świetne jedzenie i dużo aromatycznego wina. Letnia noc śpiewała wraz z morzem.

— Nasza niedawna wizyta w Saint-Dye, gdzie Solange i ja ku zdumieniu Leonor nawiązaliśmy osobiste stosunki z niektórymi spośród jej licznych kocich gości.

Loara płynęła majestatycznie, woda w basenie była ciepła i łagodna, kwiaty zdobiły trawnik, przyglądało się nam ponad pięćdziesiąt kocich żreń, a Kot uśmiechał się. Był uważny, jak one. Z wykwintną i szlachetną gościnnością.

— Nie muszę mówić, że we francuskim PEN-Clubie był naszym najważniejszym doradcą, gdy tylko trzeba było występować w obronie prześladowanych polskich pisarzy: Adama Mickiewicza, Bronisława Geremka — czyż nie powinienem tu pozdrowić innego wielkiego mediewisty, przyjaciela Geremka, Jacques'a Le Goff? — Czesława Bieleckiego. Przyjmowaliśmy z nim w Paryżu naszych warszawskich przyjaciół: genialnego poetę Herberta i jego żonę, Artura i Julię... I rozmawialiśmy o Zagajewskim, któremu PEN-Club przyznał Nagrodę Wolności za rok 1987.

Tajemnicą Kota była przyjaźń. Chłonność przyjaźni, która nie przeszkadzała mu bynajmniej być krytycznym... Odkrył Gombrowicza, co inni opowiedzą lepiej, był blisko zaprzyjaźniony z Mary McCarthy, z Nathalie Sarraute, z hrabiną Mimi Piovene, z Jeannine i Pierre Emmanuel. Była to przyjaźń zawsze obecna, nigdy nie znużona, zawsze pokrzepiająca za sprawą taktu, subtelności, inteligencji. Był to najbardziej uduchowiony kosmopolityzm.

Tego ranka obudziłem się nagle: byłem w jakimś kościele i uklękłem na podłodze. Chłód kamienia, głos Kota, uścisk jego ręki wyrwały mnie — błędnego — ze snu. „Co tu robisz płacząc? Prosiłem, byś nie ronił łez”. — „Ależ, wyjąkałem, skreśliłem sobie stopę...”. — „Daj spokój, powiedział Kot, nie wierzę ci, wstawaj”. Wstałem. Był to ostatni raz, gdy mówił do mnie Kot Jeleński. Odtąd muszę stać prosto, choćby tylko przez wierność jego pamięci.

Jego przykładowi, urokowi, jaki zeń promieniał i jaki nadal promieniuje z wspomnienia o nim. Pokój tobie, apostołe przyjaźni, kochany, bardzo kochany Kocie.

René TAVERNIER

Nie dla Anusewicza Nina. Patrzcie jak chodzi.
 Kołysze się z boku na bok niby marynarz.
 Cały rok w siodle, w ułańskim mundurze.
 Taka to i z niej panna na wydaniu.

Co w niej znalazłeś, panie Anusewicz,
 Że taki romansowy? Udawateś grafa,
 Pewnie i ją ubrałeś w swoje fantazje.
 I rzeczywiście twoje śmieszne uszy,
 Prawie przezroczyste, z czerwonymi żyłkami,
 Ruszają się, a w oczach jakby przerażenie.

Żył był raz Anusewicz. Żyła była raz Nina.
 Jeden raz od początku aż do końca świata.
 Ja teraz łączę ich, późno, w ceremoniale zaślubin.
 A naokoło mnie przegowane, szmaragdo-okie zwierzęta,
 Damy z żurnalów mody, szamani zgubionych plemion,
 To znów poważna, z uśmiechem sekretnym, siostrica,
 Jawią się pośród obłoków, asystują.

Czesław MIŁOSZ

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

PAN ANUSEWICZ (1922)

Anusewicz chce Niny. Dlaczego? Dlaczego?
 Ryki wyprawia, beczy kiedy popije.
 Nina śmieje się. Bo czyż nie komiczny?
 Tłusty a cały w nerwach, ma duże uszy
 I rusza nimi, zupełny stoł.

Granatowa chmura stoi nad San Francisco
 Kiedy jadę wieczorem wzdłuż Niedźwiedziego Szczytu
 I za Złotą Bramą, daleko, błysnął ocean.

Aj, moi dawno umarli! Aj, Anusewicz! Aj, Nina!
 Nikt was nie pamięta, nikt o was nie wie.

Anusewicz gdzieś w Mińszczyźnie miał swój majątek,
 Który potem został w Bolszewii, więc teraz chodzi po Wilnie.
 Kiedy był młody, mama pozwalała mu się wyszumieć,
 Hulał z szansonistkami, udawał wielkiego pana,
 Depesze wysyłał: „Prijeżdżaj s damami
 Wstreczat' muzykoj trojkami i szampanskom”
 I podpis: „Graf Bobrinskij”.

Szansonistki. Jakbym widział ich satynowe balki
 I czarne majtki z koronką. Piersi, za małe, za duże,
 Zmartwienia dotykań się w lustrze, spóźnionego periodu.
 Potem z nich były siostrzice w oknach szpitalnych pociągów
 (Na czołach opiętych zawojem znak czerwonego krzyża).

39. Frankfurter Buchmesse 39th Frankfurt Book Fair 39^e Foire du Livre de Francfort
7.-12. Oktober 7-12 October 7-12 octobre

1987



KSIAŻKI POLSKIE
WE FRANKFURCIE NAD MENEM

INSTYTUT LITERACKI / KULTURA PARYŻ
(INSTITUT LITTERAIRE / KULTURA)

HALLE 4. 1 STOCK
STAND NR L 926

POLONIA BOOK FUND LTD.

HALLE 4. 1 STOCK
STAND NR L 924

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWA Z POLSKI
(INDEPENDENT IMPRINTS FROM POLAND)

HALLE 4. 1 STOCK
STAND NR N 943

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIEGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Archiwum polityczne

Kongres i władza wykonawcza w USA

Artykuł ten piszę 29 lipca 1987 roku. Za fasadą widowiska, które od przeszło trzech tygodni rozgrywa się na kolejnych sesjach Komisji Kongresowej, kryje się niezmiernie ważny problem. Postać ppłk. Olivera Northa i gwałtowna eksplozja jego popularności sygnalizują pewne sprawy, które nie dotarły jeszcze do opinii publicznej. Albowiem to, o czym Oliver North daje pośrednio znać swoimi wystąpieniami — to głęboki kryzys systemu demokratycznego w Ameryce.

Już po raz drugi w przeciągu krótkiego czasu władza wykonawcza w Stanach działa potajemnie i wbrew Kongresowi, czyli nielegalnie i niekonstytucyjnie. Wynika stąd, że proces demokratyczny — jeśli chodzi o harmonijne, a w każdym razie nie przeszkadzające sobie wzajemnie działanie władzy wykonawczej i ustawodawczej — jest nie do utrzymania. Ten proces demokratyczny trzeba w wielu sytuacjach omijać, przeprowadzając pewne sprawy bez wiedzy instytucji parlamentarnych. Jest wielkim nieporozumieniem, że opinia liberalna widzi w tym tylko karygodne łamanie prawa przez administrację, którego sprawcy powinni być ukarani i usunięci, a nie dostrzega głębokiego kryzysu całego systemu. W realnej sytuacji, jaka trwa od szeregu lat w Stanach, ujawnione przed komisją kongresową fakty działania bez wiedzy Kongresu nie są defektami ustroju. Przeciwnie, są jego kłopotami bezpieczeństwa, które otwierają się w pewnych krytycznych momentach. Takich krytycznych momentów będzie coraz więcej, zwłaszcza przy rozszerzającej się konfrontacji z Sowietami i ich sojusznikami. Brzmi to paradoksalnie, ale w konkretnych amerykańskich warunkach, żeby zachować system jako fundament ustroju, trzeba go do czasu do czasu omijać, żeby nie rzec po prostu — gwałcić. Okazuje się że demokracja, która nie jest w stanie

bronić samej siebie na własnym terytorium, a na świecie — swych najżywoźniejszych interesów, zaczyna mieć wątpliwą wartość. Wiedzieliśmy o tym od dawna. Churchill, gdy nazwał demokrację parlamentarną systemem bardzo złym, ale najlepszym z istniejących, nie miał na myśli w szczególności Stanów. Rzecz jednak w tym, że demokracja amerykańska funkcjonuje jeszcze gorzej od brytyjskiej lub francuskiej, ponieważ swymi fundamentami tkwi w wieku XVIII, kiedy naród drobnych kupców, myśliwych i rzemieślników stworzył system praw jak na owe czasy niezmiernie postępowy. Poprawianie amerykańskiej konstytucji jest rzeczą arcytrudną i wymaga latami trwającej procedury. Dlatego metoda jej cichego gwałcenia, które potem staje się głośnie, okazuje się czasem jedynym środkiem, żeby neutralizować absurdalne konsekwencje amerykańskiej demokracji.

Nienależycie działający wymiar sprawiedliwości i niewydolność policji, hamowanej surowymi restrykcjami, uwzględniającymi przede wszystkim prawa obywatelskie Amerykanina, paraliżują ich działanie i zmuszają obywateli do przejmowania funkcji pewnych organów publicznych w swoje ręce (tzw. *vigilanti*)*. Tak samo mają się sprawy na centralnym szczeblu zarządzania. Sprzecznosc między demokracją przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi a istotą demokracji, która tę obronę utrudnia, doprowadza do coraz ostrzejszych konfliktów w samej Ameryce. Coraz wyraźniej widać, że to właśnie jest treścią różnic politycznych między tzw. liberalną lewicą a ugrupowaniami neokonserwatywnymi. Kluczowym problemem jest tu deformacja, jakiej ulegają instytucje parlamentarne w toku rozwoju kapitalistycznych państw przemysłowych. Z wielu przyczyn przemiany te najbardziej uderzają w Stanach. Wydaje mi się że ani na prawicy, ani na liberalnej lewicy nikt nie zamierza kwestionować demokratycznej praworządności jako zasady rządzenia, ponieważ

* Jeden z kilku przykładów: w związku z rozszerzającymi się napadami na pasażerów kolei podziemnej w Nowym Jorku i całkowitej bezradności policji, w połowie lat 70-tych zorganizowała się samorządnie liczna grupa młodych ludzi, zarówno białych jak czarnych, pod kierownictwem Johna Slivy, który nie starał się — nie było to zresztą w jego mocy — przejmować funkcji policji, czuwającej nad bezpieczeństwem w nowojorskich „subwayach”. Sliva próbował stworzyć ze swych ochotniczych grup organ pomocniczy, nie obciążając budżetu miejskiego. Reakcja władz miejskich była niezmiernie charakterystyczna. Instytucja *vigilanti* została potępiona przez burmistrza i radę miejską. Do kampanii przyłączyła się prasa i telewizja, uważając że lepiej być w kolei podziemnej obrabowanym, niż oddawać się pod opiekę inicjatywy społecznej, nawet jeśli ochotnicza organizacja poddaje się dyrektywom oficjalnego *establishment*’u. Rada Miejska wybrana w demokratycznych wyborach dbała przede wszystkim o swe interesy zawodowe, a nie o bezpieczeństwo tych, którzy ją wybrali. Sytuacja ta przypomina obecnie postawę członków Kongresu, którzy dbają przede wszystkim o swe prerogatywy ustawodawców.

alternatywą byłaby kapitalistyczna dyktatura lub anarchia. Chodzi o to, gdzie jest granica absurdu i w jakim momencie demokracja w obronie swych nietykalnych pryncypiów popełnia samobójstwo. Ten proces samobójczy trwa od dawna i wiele publikacji na ten temat ukazało się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Nikt, komu na sercu leży przyszłość tego kraju, a z nim prawdopodobnie cywilizacji zachodniej, nie zaproponuje dyktatury, której główną „zaletą” w odróżnieniu od systemów totalitarnych jest jej nie-trwałość, czyli względnie łatwa usuwalność. Tego typu legitymacja mówi sama za siebie.

Nie mam wielkiego kultu dla ludowładztwa w jakiejś bardziej „czystej” czy bezpośredniej postaci w państwach typu USA, ponieważ nie sądzę, żeby to było możliwe. Zresztą nie myślę, aby pragnęli tego sami Amerykanie. Skądinąd o ludowładztwie nie ma już dawno mowy w Ameryce. Tzw. reprezentanci ludu byli przecież jeszcze na bardzo długo przed rozprzestrzenieniem elektronicznych środków przekazu najzwyczajniejszymi zawodowcami, których profesją było siedzenie w salach kongresowych i komisjach i pilnowanie władzy wykonawczej, żeby nie naruszała stworzonych przez nich praw. Ponieważ w ostatnim ćwierćwieczu, w okresie wzmożonej ekspansji Sowietów, władza wykonawcza, skoncentrowana w rękach urzędującego prezydenta, krępowana coraz to nowymi uchwałami przez Kongres, nie mogła z wieloma inicjatywami wystąpić jawnie, robiła to kilkakrotnie bez zgody Izby — potajemnie.

Sprawa wymiany zakładników na broń dla rzekomo prozachodniej frakcji w Iranie, w praktyce dokonana za zgodą ayatolli, pomyślana była głupio i głupio wykonana. Można by wobec tego sądzić, że obstrukcja ze strony Kongresu, gdyby o tym wiedział, byłaby bardzo pożądana. Otóż nie sądzę, ponieważ Kongresowi, a głównie większości demokratycznej, nie tyle chodziło o to, co Reagan robi, ale jak robi. A tu głównym kamieniem obraży było niekonsultowanie izb ustawodawczych. Jeśli zaś chodzi nie o *prawną*, a o *polityczną* materię, to dominującą frakcję w Kongresie zabolala nie wymiana zakładników na broń — najbardziej kompromitującą część operacji — ale przekazanie pomocy finansowej na rzecz partyzantów w Nikaragui, pospolicie zwanych „contras”. W ten sposób Kongres ustawił się w roli instytucji — zresztą nie od dzisiaj — której naczelnym zadaniem jest ochrona obywateli przed utratą życia, wszelako tak, by przy tym nie zostały ograniczone swobody innych obywateli. W sprawach wewnętrznych jest to cel nie do osiągnięcia. Jeśli zaś chodzi o politykę międzynarodową, jest to zupełnie możliwe, ponieważ ochrona życia mieszkańców tego kraju nie implikuje obrony przed zagrożeniem narodu. Naród — słowo w ogóle dość trudne do zdefiniowania, które prawdopodobnie w zależności od światopoglądu

i rozeznai polityczno-historycznych ma wiele znaczeń — jest pojęciem szczególnie rozcieńczonym w Ameryce. Jeśli którykolwiek z poprzednich prezydentów w ostatnim 30-leciu, w oparciu o tradycyjne pojęcie narodu lub ojczyzny, próbował podejmować ochronę jego interesów, na ogół zresztą bardzo tchórzliwie i niekonsekwentnie, ale mogąc narazić Stany albo Sowietom albo wpływową grupie krajów Trzeciego Świata, prawie zawsze napotykał na gwałtowny sprzeciw demokratycznych ugrupowań w Kongresie. Innymi słowy nie dało się tego przeprowadzić w ramach istniejącego systemu konstytucyjnego. Mając poparcie obydwu Izb, demokratyczną procedurę zachował tylko poprzedni prezydent, Jimmy Carter, doprowadzając do skutecznego rozbrojenia Ameryki. Ocknął się dopiero po inwazji Sowietów na Afganistan.

W czasie ostatnich przesłuchiwań kongresowych przedmiotem generalnego ataku był z natury rzeczy prezydent, będący w ustawicznym konflikcie z większością demokratyczną w Izbie Reprezentantów, a obecnie również w Senacie. W kontekście sprawy, nad którą toczy się dyskusja, główny ogień skierowano w stronę Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Ona była instrumentem w przeprowadzeniu owych pomyślonych operacji irańskich i transakcji finansowych na rzecz partyzantów w Nikaragui, bardzo zresztą pożytecznych z punktu widzenia walki z komunizmem. Oczywiście z tej konfrontacji z komisją, w której bezpośrednio nie bierze udziału, prezydent nie może wyjść obronną ręką. Ci, którzy w czasie przesłuchiwań biorą na siebie winę, by chronić prezydenta, mogą budzić sympatię. Nie może natomiast wzbudzać dla siebie przyjaznych uczuć ten, kto zwalnia swych podkomendnych twierdząc, że o niczym nie wiedział, bo gdyby wiedział, nie dopuściłby do łamania prawa. To, że prezydent kłamał, nie budzi wątpliwości. Różnica między nim a ppłk. Oliverem Northem jest taka, że North do kłamstw się przyznaje, by ratować prezydenta, a prezydent czyni wszystko, by ratować siebie. To, co pogrąża prezydenta w opinii publicznej, to nie zarzut, że działał poza izbami ustawodawczymi i wprowadzał je w błąd — o to Amerykanie wcale nie zgłaszają pretensji, nie mając szczególnego kultu ani dla konstytucji, ani dla zawodowych polityków. Pogrąża go fakt, że za żadną cenę nie chce się przyznać do kłamstw. W tym celu poświęca ludzi, których dzielność, odwaga i rozum czyni moralnie bardziej wartościowymi od niego samego. Stąd w pierwszych dniach działalności komisji pochopna i spontaniczna akcja, by wysunąć na republikańskiego kandydata w przyszłych wyborach prezydenckich Olivera Northa. North odrzucił tę niepoważną propozycję, dając tym dodatkowy dowód swej politycznej doj-

rzałości. Otrzymując codzienne raporty z sesji komisji, Reagan wie, że od samego początku głównym oskarżonym jest on sam. Reagan nie broni urzędu prezydenckiego. Broni siebie samego. Miałby szanse, żeby tę walkę wygrać, gdyby otwarcie przyznał, że oparty na archaicznej konstytucji wzajemny stosunek pomiędzy władzą wykonawczą a ustawodawczą musi ulec rewizji, że innymi słowy komisja ma nie tyle do czynienia z nadużyciem władzy, ile z kryzysem konstytucyjnym i że tu tkwi sedno sprawy. Takim oświadczeniem nie zjednałby sobie Izb Ustawodawczych, ale trafiłby ponad ich głowami do publiczności. Ale tego nie czyni, bo nie starcza mu odwagi.

Oliver North, który zdaje sobie doskonale sprawę ze słabości amerykańskiego systemu konstytucyjnego, również nie waży się go otwarcie krytykować. Mówi tylko o tym, jak ryzykowne jest powiadamianie przywódców Kongresu o planowanych operacjach, wymagających absolutnej tajemnicy. Jako przykład zacytował atak na Libię. To, że tego samego dnia, w którym miał nastąpić amerykański atak, miał wieczorem przemawiać o Libii prezydent postanowiono zachować w ścisłym sekrecie. Ponieważ przywódca większości demokratycznej w Senacie, Byrd, przekazał tę wiadomość prasie na szereg godzin przed operacją — informacja ta dotarła do płk. Kadhafiego — powiedział North. — Straciliśmy atut operacyjny, gdyż przywódca libijski wiedział już, że planowana jest jakaś akcja przeciwko niemu.

Płk North, który w wyniku swej antykonstytucyjnej działalności miał stanąć przed sądem, a przede wszystkim znaleźć się pod pręgierzem opinii publicznej Ameryki, zdobył w ciągu kilku dni niebywałą popularność. Zaktywizował u znacznej części przeciętnych Amerykanów drzemiący w nich kult dla elementarnych cnót ludzkich, jakimi są patriotyzm i odwaga żołnierska. Amerykanie okazali uznanie i podziw dla tych cech charakteru, których lata sześćdziesiąte nie wymazały z ich serc. Szok wietnamski tylko je przytłumił. Obecnie rozżarzyły się na nowo. Jest to ważne nie tylko dla Ameryki i dla świata, ale pośrednio i dla Polski. To prawda, że osobisty urok Northa i jego męski wygląd są częścią jego charyzmy. Myślę jednak, że jest to atut, który w niczym nie osłabia jego roli. To prawda, że niektórzy wielbi cie Olivera Northa i walorów moralnych, które w ich oczach personifikuje mają słabe rozeznanie polityczne i mogli w życiu nie słyszeć słowa „sandynista”. Znajomość politycznej terminologii nie jest jednak koniecznym warunkiem dla rozpoznania niebezpieczeństwa sowieckiego.

Datujący się od szeregu lat renesans neokonserwatyzmu w Stanach, którego bynajmniej nie odzwierciedla skład Kongresu, ma niebłahe znaczenie dla wzbudzenia nastrojów antykomunistycznych. Logicznym tego następstwem jest fakt, że liberalna

lewica usiłuje popularność Olivera Northa zredukować do minimum. Oczywiście nie frontalnym atakiem. Gdyby tego próbowali, naraziliby się bardzo publiczności. *Mass media* starają się postać Northa rozcieńczyć. Proponują go do filmu, twierdząc, że posiada wymarzone zalety na gwiazdora. Wspominają o kontrakcie powieściowym. Podsuwają mu pokusę, aby swoją popularność i być może misję, którą w sobie czuje, zamienić na „walutę obiegową” tego kraju. Nie znają innych wartości. Jednym słowem usiłują go sprowadzić do roli meteora, który nie pozostawi po sobie żadnego śladu. To są życzenia ludzi, którzy od lat zapanowali nad tym krajem, powodując, że jedynym pragnieniem tego wielkiego niegdyś narodu jest obecnie spokój, bezpieczeństwo i niedrażnienie sowieckiego kolosa. Na szczęście nie wszyscy Amerykanie popadli w ten stan i dużo zależy od samego Northa, by nie dał się zniszczyć. Intelktualiści uniwersyteccy, komentatorzy prasowi i telewizyjni, przedstawiciele Zjednoczonych Chrześcijańskich Kościołów złączeni we wspólnym froncie wspomagają „sowieckie cele pokojowe” czyli *pax sovietica*. Od Northa, który podziela jak detonator antysowieckich nastrojów, w jakimś stopniu zależy, czy Amerykanie ockną się i dostrzegą niebezpieczeństwo komunizmu bez kuracji wstrząsowej, jaką będzie wojna która w obecnych warunkach może zakończyć się tylko klęską Zachodu. Myślę, że taka szansa istnieje, że Ameryka znalazła się w przełomowym momencie swej historii. Nadzieję swoją opieram między innymi na rozeznaniu niezmiernie ubogiej wyobraźni intelektualnych przywódców amerykańskiego *establishment'u*. Tak jak nigdy nie potrafili zrozumieć czym są Sowiety, tak i obecnie nie mieści się w ich głowach, by naród amerykański pod wpływem przypadkowego splotu wydarzeń uprzytomnił sobie grozę sowieckiego niebezpieczeństwa.

Nowy Jork, 30 lipca 1987

Zbigniew BYRSKI

Przyszłość Mitteleuropy

(ROZMOWA Z RALFEM DAHRENDORFEM)

Ralf Dahrendorf jest znanym socjologiem i politykiem niemieckim. W latach 60-tych był posłem do Bundestagu i wiceprzewodniczącym niemieckiej FDP. W swej bogatej karierze akademickiej Ralf Dahrendorf był w latach 1947-1984 dyrektorem prestiżowej London School

of Economics, a ostatnio został mianowany rektorem St. Anthony's College w Oxfordzie. Najbardziej znane prace Dahrendorfa to „Gesellschaft und Demokratie in Deutschland” (Społeczeństwo i demokracja w Niemczech, 1965), „Pfade aus Utopia” (Tropy z utopii, 1967) i „Konflikt und Freiheit” (Konflikt a wolność, 1972). Dahrendorf jest też członkiem rady dyrektorów Fundacji Forda. W ubiegłym roku fundacja ta przy współudziale Europejskiej Fundacji Kulturalnej, Open Society Fund, Fundacji Rockefellera i Fundacji Braci Rockefellerów utworzyła Fundusz Wydawniczy z siedzibą w Oxfordzie, przeznaczony na wydawanie prac z Europy środkowej i wschodniej. Ciałem wykonawczym funduszu jest międzynarodowy komitet, w którego skład oprócz Dahrendorfa wchodzi Timothy Garton Ash, François Furet, Jane Kramer, Laurens van Krevelen i Per Wästberg. Ralf Dahrendorf, który stoi na czele oxfordzkiego funduszu, udzielił poniższego wywiadu specjalnie dla Redakcji Kultury.

ROBERT KOSTRZEWA: — Kilka lat temu dwaj pisarze ze wschodniej Europy, Węgier György Konrad i Czech Milan Kundera, pierwsi zaapelowali o ratowanie unikalnej kultury wschodnioeuropejskiej. Śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się, ich zdaniem, jedyna w swoim rodzaju kultura Europy środkowej jest wynikiem po pierwsze politycznego zniewolenia przez Moskwę, a po drugie obojętności społeczeństw Zachodu na los cywilizacji której dorobek był w przeszłości nieodłączną częścią kultury europejskiej.

Wypowiedzi Konrada i Kundery sprowokowały lawinę dyskusji po obu stronach podzielonego kontynentu europejskiego. Intelktualiści ze zniewolonej Europy skoncentrowali swe rozważania na dwóch zagadnieniach: na odwiecznym pytaniu o przynależność narodów Europy środkowej do zachodniego czy też do bizantyjskiego kręgu kulturowego, a także na stosunkowo nowym problemie bolesnej obojętności Zachodu na zniewolenie Polaków, Czechów czy Węgrów. Dyskusje na Zachodzie miały dużo bardziej polityczny charakter: dotyczyły zagadnień geopolitycznych, takich jak przyszłość sojuszu północnoatlantyckiego czy też kierunek polityki wschodniej państw zachodnioeuropejskich. Zachodni Europejczycy, szczególnie na lewicy, koncentrują się na krytyce roli Stanów Zjednoczonych w Europie, a wielu twierdzi, że nie ma zasadniczej moralnej różnicy między polityką Sowietów i Ameryki.

Czy Mitteleuropa jako koncepcja polityczna może stać się podstawą ruchu politycznego, mającego na celu zjednoczenie kontynentu europejskiego, czy też jest to kolejna próba dalszej neutralizacji Zachodu przy jednoczesnym bagatelizowaniu totalitarnych i dyktatorskich rządów we wschodniej części Europy?

RALF DAHRENDORF: — Jest to bardzo złożony problem. Istnieje na ten temat wiele teorii. Postaram się je krótko opisać i odpowiedzieć na Pana pytanie w miarę precyzyjnie. Europa środkowa, Mitteleuropa, ma według mnie przynajmniej cztery

różne znaczenia i ważne jest, aby zdawać sobie z tego jasno sprawę.

Znaczenie pierwsze to stara niemiecka koncepcja polityczna, ściśle związana z tradycją niemieckiego imperializmu kulturowego. Należy tu wspomnieć nazwisko Friedricha Naumanna, który napisał słynną książkę o *Mitteleuropie*, definiując ją jako terytorium w centrum kontynentu europejskiego, które znaleźć się miało pod dominacją niemiecką. Mam nadzieję, że koncepcja ta nie będzie wskrzeszona, chociaż jej zarysy widać dzisiaj wyraźnie w debacie na temat zjednoczenia Niemiec. Niestety wiele dyskusji na temat zjednoczenia odbywa się w Niemczech Zachodnich pod szyldem *Mitteleuropy*.

Po drugie, w zdominowanych przez komunistów krajach Europy wschodniej pojęcie Europy środkowej stało się niemalże jednoznaczne z pojęciem wolności. Wynika to stąd, że poczucie przynależności do cywilizacji europejskiej u Polaków, Czechów czy Węgrów, a także innych narodów Europy wschodniej uświadamia im, że nie są na zawsze wcielone do obcego wschodniego imperium. Jest to jednak postawa dość abstrakcyjna. Mimo wielkiej dla niej sympatii osobiście wolałbym, aby nadawano temu nazwę inną niż Europa środkowa. Kiedy Timothy Garton Ash napisał swój słynny artykuł pt. „Czy istnieje środkowa Europa?”, ujął ten problem w formie pytania. W tym ważnym tekście Garton Ash mówi właśnie o tym, że pojęcie Europy środkowej stało się symbolem wolności w krajach pod dominacją sowiecką. Mimo, że rozumiem o co chodzi, wolałbym aby wschodni Europejczycy mówili o wolności, a nie o *Mitteleuropie*.

Po trzecie, od czasów ostatniej wojny powraca się — nie mogę powstrzymać się od użycia tego określenia — do koncepcji Rapackiego, czyli do propozycji stworzenia w Europie politycznie zneutralizowanego obszaru, który zaczynałby się na zachodniej granicy Związku Radzieckiego, a kończył gdzieś na zachodnich krańcach Republiki Federalnej Niemiec. Terytorium to obejmować by miało kraje Europy środkowej, a być może również Danię, Norwegię i Szwecję. Zaobserwować można dzisiaj powrót do tej koncepcji. Osobiście ostrzegałbym przed złudzeniami, które towarzyszą dyskusjom na ten temat. Uważam, że nie ma żadnych szans na wprowadzenie w życie tego rodzaju planu przy obecnym układzie sił politycznych. Nie sądzę, aby którekolwiek z supermocarstw było tym szczególnie zainteresowane. Nawiasem mówiąc Sowieci potwierdzili to w czasie niedawnej wizyty prezydenta Niemiec Zachodnich Richarda von Weizsäckera w Moskwie.

I wreszcie czwarta definicja Europy środkowej, od której zaczął Pan naszą rozmowę, czyli Europa środkowa jako pojęcie kulturowe związane z tradycją, której korzenie nie są ani francuskie, ani angielskie, ani rosyjskie, a której wpływ rozciąga się od

Strasburga do Pragi i obejmuje bardzo wiele innych miejsc: historyczne Austro-Węgry, historyczną Polskę, niektóre z kultur bałtyckich i z pewnością w dużym stopniu kulturę niemiecką. Nie wierzę ani przez chwilę, że kultura ta może być zniszczona czy to pod wpływem presji politycznej Sowietów, czy też przez amerykańskie kulturowe wpływy Hollywoodu i Coca-Coli. Uważam, że kultura Europy środkowej jest ciągle bardzo żywotna i można zrobić bardzo wiele, aby stała się bardziej dostępna dla narodów Europy zachodniej. Jako podsumowanie dodam, że mimo iż nie przepadam za używaniem określenia Europa środkowa, zdecydowanie popieram rozwój kultury środkowoeuropejskiej i doceniam jej wielki wkład w ogólnoeuropejski dorobek kulturowy. Mam też nadzieję, że pragnienie wolności nazywane będzie po imieniu, a nie przy pomocy określeń, przy których tak łatwo o nieporozumienia.

R.K.: — *Europa środkowa jako idea jest szczególnie modna w Niemczech Zachodnich. Na ironię zakrawa, że hasło Mitteleuropa propagowane jest szczególnie energicznie przez lewicowych intelektualistów niemieckich. Wygląda na to, że przechodzą oni kolejny „kryzys tożsamości”. Jaką rolę odgrywa, Pana zdaniem, koncepcja Europy środkowej w dyskusjach politycznych w dzisiejszych Niemczech?*

R.D.: — Jednym z najdziwniejszych zjawisk na scenie politycznej Niemiec Zachodnich w okresie powojennym jest fakt, że nacjonalizm jest cechą lewicy, a nie prawicy. Jest to zjawisko nowe i trudne do wytłumaczenia. Kiedy na przykład Niemcy przystępowały do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a jeszcze przedtem, w latach pięćdziesiątych do Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, to socjaldemokraci sprzeciwiali się tej decyzji, podczas gdy centrowo-prawicowa Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna zdecydowanie opowiedziała się za członkostwem Niemiec w organizacjach ogólnoeuropejskich. Podział ten trwa do dnia dzisiejszego. Na podobnej zasadzie próby ochłodzenia stosunków ze Stanami Zjednoczonymi są zawsze inicjatywą intelektualistów i polityków lewicy, którzy podkreślają wtedy swe związki z Europą, a w Europie właśnie z Europą środkową. Pod hasłem Europa środkowa kryje się jednak ambiwalentne nastawienie do Zachodu, a często postulat lepszych stosunków ze Wschodem niż z państwami Europy zachodniej. Jest to rzeczywiście kolejny „kryzys tożsamości” Niemców i zjawisko to bardzo mnie niepokoi. Lewica niemiecka ma bardzo złą kartę, jeśli chodzi o obronę praw człowieka w Europie wschodniej. Lewicowi politycy i intelektualiści w Niemczech przedkładają dobre stosunki z rządami krajów Europy wschodniej ponad los tych, którzy cierpią niewolę w państwach obozu wscho-

dniego. Zdradzają oni tym samym podstawowe założenia lewicy intelektualnej (w odróżnieniu na przykład od lewicy francuskiej, która krytykę Ameryki łączy przynajmniej z równie ostrą krytyką Związku Sowieckiego, wojskowej dyktatury w Polsce, czy systemu rządów w innych państwach członkowskich Paktu Warszawskiego). Ten „kryzys tożsamości” niepokoi mnie szczególnie dlatego, że podejrzewam, iż tego rodzaju postawa nie ograniczy się na dłuższą metę do lewicy. Spodziewam się niebawem początków tego rodzaju niebezpiecznego odkrywania na nowo Europy środkowej również w kołach prawicowych.

R.K.: — *Czy źródłem tego zjawiska jest — używając określenia François Bondy — kolejna fala niemieckiej „tęsknoty za przeszłością”?*

R.D.: — Postawy takie z pewnością wynikają z jakichś tęsknot. Jest to powrót do kulturowego pesymizmu, który istniał przecież w Niemczech w przeszłości. Jest to też powrót do bardzo zamazanych, bardzo metafizycznych, w jakimś sensie romantyzujących postaw antyzachodnich. Czy ma to cokolwiek wspólnego z przyszłością, to już zupełnie inne pytanie.

R.K.: — *W czasie ostatniej wizyty w Berlinie Zachodnim Ronald Reagan zaproponował, aby Sowieci zburzyli mur berliński. Jak przyjęto propozycję Reagana w Niemczech Zachodnich? Na jakim etapie jest dziś niemiecka debata na temat zjednoczenia Niemiec?*

R.D.: — Propozycja Reagana wywołała w Niemczech bardzo mieszane reakcje — na tyle oczywiście, na ile można wypowiedzieć Reagana nazwać propozycją. Miała to być pewnie metafora czegoś innego, ale umówmy się, że będziemy to tak przez chwilę nazywać. Dziwne jest to, że ta część lewicy niemieckiej, która domaga się zjednoczenia Niemiec, wcale nie żąda zburzenia muru berlińskiego. Jest to bardzo dziwna koncepcja zjednoczenia, a co jest w niej najtrudniejsze do zrozumienia, to fakt, że przewiduje ona całkowite uznanie suwerenności Niemiec Wschodnich. Reagan spotkał się więc z dużo większym poparciem prawicy niż kół lewicowych.

Poruszył Pan jednak problem dużo poważniejszy i na pytanie to nie ma łatwej odpowiedzi. W ostatnich kilku latach zauważyć można zastanawiające ożywienie dyskusji na temat zjednoczenia Niemiec. Jest to tym dziwniejsze, że przecież nie wydarzyło się ostatnio nic takiego, co dawałoby nadzieję na tak radykalną zmianę sytuacji na kontynencie europejskim. Wręcz przeciwnie, Gorbaczow po raz kolejny powtórzył ostatnio stanowisko Związku Sowieckiego w tej sprawie. Nie ma żadnych szans, aby Sowieci zdecydowali się na taki krok. Stany Zjednoczone spo-

dziewały się najwidoczniej, że Gorbaczow wysunie tego rodzaju propozycję w czasie wizyty w Berlinie Wschodnim z okazji 750-tej rocznicy miasta Berlina. Dla trzeźwo myślących obserwatorów było jednak jasne od początku, że propozycja taka nie padnie. Związek Sowiecki jak najbardziej zainteresowany jest w obecnym podziale Niemiec i nie ma mowy o jakiegokolwiek formie zjednoczenia. Tak więc, dzisiejsza debata na ten temat jest jak dotąd wyłącznie gorącym powietrzem. Wiemy jednak dobrze z historii, że gorące powietrze — nie jestem pewien czy jest to właściwa metafora — przejść może w stan dużo bardziej konkretny. Nie wiadomo zatem, do czego to może w końcu doprowadzić.

R.K.: — *Stoi Pan na czele komitetu zarządzającego nowopowstałym Funduszem Wydawnictw Środkowej i Wschodniej Europy z siedzibą w Oxfordzie. Jaki był cel utworzenia oxfordzkiego funduszu? Czym zajmuje się komitet, któremu Pan przewodniczy? Jakie są wasze plany na przyszłość?*

R.D.: — Zasadniczym celem powstania Funduszu w Oxfordzie jest próba stworzenia na terenie Europy czegoś, co nazwałbym „wspólnym rynkiem idei”. Innymi słowy chodzi nam o to, aby kultura europejska dostępna była w pełni dla wszystkich Europejczyków. Przez wiele lat kilka fundacji amerykańskich przyznawało bardzo dużo niewielkich stypendiów bądź to dla przybyszów z Europy wschodniej, bądź to dla grup, które związane są z wydawnictwami w językach wschodnioeuropejskich na terenie Europy zachodniej. W pewnym momencie fundacje te doszły do wniosku, że byłoby celowe, aby po pierwsze skoordynować działania związane ze wschodnioeuropejskimi inicjatywami wydawniczymi, a po drugie powołać grupę doradczą spoza świata fundacyjnego, której zadaniem byłoby nie tylko przyznawanie pieniędzy, ale także opracowywanie własnej polityki wydawniczej. Fundacja Forda, fundacje rodziny Rockefellerów, a także kilka innych mniejszych fundacji, w tym Open Society Fund przy Fundacji George’a Sorosa powołały więc grupę doradczą, której przewodniczę, a której celem jest opracowanie długofalowego planu finansowania inicjatyw wydawniczych związanych z Europą środkową i wschodnią. Co to oznacza? Chodzi tu przede wszystkim o dwie sprawy. Po pierwsze o zapewnienie ciągłości wydawania istniejących już publikacji w językach wschodnioeuropejskich, głównie na terenie Europy zachodniej. Wiele z nich znajduje się nieustannie na granicy bankructwa. Nie chcemy oczywiście finansować tytułów, których nikt nie czyta. Zależy nam na utrzymaniu przy życiu tych wydawnictw, które są czytane i dzięki którym istnieje ciągle literatura polska, czeska, węgierska, a także literatury innych narodów Europy wschodniej.

Po drugie zależy nam na tym, aby istniały dobre przekłady książek wschodnioeuropejskich na języki zachodnie. Chcemy skoncentrować się na finansowaniu przekładów na język francuski i angielski, co nie znaczy oczywiście, abyśmy nie mieli przyznawać funduszy na przekłady na języki takie jak portugalski, hiszpański, włoski czy holenderski. Jest to bardzo złożone przedsięwzięcie. Przede wszystkim trzeba wiedzieć, co warto przełożyć. Trzeba też orientować się, kto jest dobrym tłumaczem, a kto nie. Wiązałoby się to z jakąś formą pomocy finansowej dla tłumaczy. Tak jak już wspominałem, naszą naczelną zasadą jest wspieranie jedynie tych pozycji wydawniczych, które znajdują czytelników. Jest wprawdzie bardzo przyjemnym uczuciem dla autora, jeśli ma na biurku swoją dopiero co wydaną książkę, książki drukuje się jednak w zasadzie po to, aby były czytane. Finansować będziemy zatem wyłącznie te przekłady, którymi zainteresowani są wydawcy francuscy, angielscy, amerykańscy czy polscy. Czasami wystarczy tylko opłacić przekład, aby wydanie danej książki doszło do skutku. Dlatego też jednym z naszych planów na przyszłość jest wsparcie finansowe dla tłumaczy, prawdopodobnie w formie stypendiów, które umożliwiłyby im pobyt w kraju danej strefy językowej.

Jeszcze jedną formą działania Funduszu jest pomoc finansowa dla zachodnich publikacji, które zajmują się problematyką wschodnioeuropejską. Periodyki takie trzeba ciągle dofinansowywać między innymi dlatego, że duża część materiału w nich zamieszczonego to przekłady oryginalnych tekstów w językach wschodnioeuropejskich. Polityka Funduszu nie polega na popieraniu czy też opozycji wobec rządów. W niektórych przypadkach wspomagamy publikacje zakazane w krajach w których zostały napisane, w innych natomiast finansujemy tytuły w pewnym sensie aprobowane, tak jak w wypadku polskiego pisma *Res Publica*. Nie ma zatem w naszej działalności intencji politycznych, które wykraczałyby poza bardzo silne poczucie odpowiedzialności za przyszłość tego, co nazwałem „wspólnym rynkiem idei” w Europie.

R.K.: — Czy zainteresowani jesteście wyłącznie krajami Europy środkowej takimi jak Polska, Czechosłowacja i Węgry, czy też popieracie będziecie również inicjatywy wydawnicze w językach narodów europejskich republik sowieckich?

R.D.: — Postanowiliśmy wykluczyć tylko dwa języki: rosyjski i niemiecki. W przypadku rosyjskiego doszliśmy do wniosku, że istnieje bardzo dużo instytucji, które zajmują się finansowaniem wydawnictw rosyjskich. W przypadku niemieckiego zrobiliśmy może trochę zbyt ambitne założenie, że jest to w porównaniu z innymi językami stosunkowo szeroko znany. Największy nacisk

kładziemy oczywiście na polski, czeski i węgierski — co nie znaczy oczywiście, że nie bierzemy pod uwagę rumuńskiego, jugosłowiańskiego czy w mniejszym może stopniu języków bałtyckich. Nie ma tu zatem jakichś ściśle określonych granic z wyjątkiem pominięcia języków rosyjskiego i niemieckiego.

R.K.: — Czy macie zamiar finansować wydawnictwa ukraińskie i białoruskie?

R.D.: — Tak. Przyznaliśmy ostatnio fundusze ukraińskiemu pismu *Widnowa*.

R.K.: — Czy mógłby Pan wymienić przykłady inicjatyw, które ostatnio poparł wasz Fundusz?

R.D.: — Bardzo chętnie. Celowo wymienię przykłady bardzo różne. Wspominałem już o *Res Publice*, piśmie które zaczęło wychodzić w Polsce. Finansujemy paryski *Lettre Internationale*, gdzie ukazują się przekłady tekstów ze wschodniej Europy. Przyznaliśmy pieniądze spółce wydawniczej w Kanadzie na druk książek w języku czeskim. Wspieramy Fundację Karty 77 w Sztokholmie. Postanowiliśmy doprowadzić do wydania na Zachodzie książek Istvana Szabo i sfinansować ich przekład. Magazyn *Cross Currents* jest również wspomagany przez nasz Fundusz. To, co jest w tego rodzaju działalności ciekawe, to to jak wiele można zrobić stosunkowo małymi sumami pieniędzy. W wielu przypadkach pomoc rzędu dziesięciu czy pięciu tysięcy dolarów, a czasem nawet mniej, umożliwia wydanie czegoś, co inaczej nie mogłoby być wydane.

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Nowy Jork, 10 lipca 1987

Europa środkowa

Zadawalające ujęcie tematu „Europa środkowa” nastęrcza niemało trudności. Wynika to przede wszystkim stąd, że przedmiot tych rozważań nie ma dziś realnej egzystencji. Od czasu Jałty Europa środkowa jako określona rzeczywistość polityczna przestała istnieć. Bardziej lub mniej ostry w różnych latach podział na Europę wschodnią i zachodnią zdaje się nie pozostawiać miejsca na żadne inne wyodrębnione całości. Mimo to jednak nie ma świa-

domego Polaka, który pogodziłby się z myślą, że nasza przynależność do Europy wschodniej (tzn. do Paktu Warszawskiego i RWPG) wyczerpuje sprawę i trwale określa nasze miejsce w świecie. To samo można zapewne powiedzieć o większości naszych sąsiadów.

Pojęcie Europy środkowej odnosi się więc głównie, jeśli nie wyłącznie, do sfery świadomości i kultury. Dlatego w rozważaniach tych wiele miejsca poświęcę dziejom naszej części kontynentu i postaram się z różnorodności losów historycznych zamieszkujących ją narodów wyodrębnić pewne wspólne rysy.

Ale trudność tematu polega nie tylko na tym. Pojęcie Europy środkowej nigdy nie było jednoznaczne ani pod względem treści, ani zasięgu terytorialnego. Wystarczy wspomnieć o niemieckiej wersji *Mitteleuropa*, która dla innych była synonimem germańskiego *Drang nach Osten*, podczas gdy ci inni myśleli o Europie środkowej jako o systemie powiązań międzynarodowych, stanowiących zaporę przeciw naporowi niemieckiemu. Z kolei nasze rodzime koncepcje „Międzymorza” budziły — niezależnie od ich intencji — nieufność i obawy sąsiadów, skłonnych dopatrywać się w nich dążeń hegemonicznych w stosunku do mniejszych narodów sąsiedzkich.

Co się tyczy zasięgu terytorialnego Europy środkowej, można go ujmować bardzo różnie. Masaryk w czasie pierwszej wojny światowej zdefiniował to pojęcie jako rozległy pas położony między Niemcami a Rosją, rozciągający się od Skandynawii aż po Grecję. My ze swej strony skłonni jesteśmy widzieć w niej przede wszystkim strefę oddziaływania zachodniego chrześcijaństwa, nie wyznaczając jej zresztą ostrych granic i nie wykluczając szerszego zasięgu wpływów na kraje formalnie nie przynależne do kręgu kultury łacińskiej. Ogólnie można powiedzieć, że charakterystyczna jest tu akceptacja i interioryzacja podstawowych wartości zachodnich, zwłaszcza ideału autonomii i emancypacji jednostek i grup społecznych, przy równoczesnym braku warunków do urzeczywistnienia tych ideałów w praktyce życia zbiorowego, wskutek przeszkód politycznych, zależności i narzuconych z zewnątrz obcych wzorów. Tym przede wszystkim różnią się omawiane tu kraje od krajów Europy zachodniej, stąd też wynika charakterystyczna dla Europy środkowej, choć nie wszędzie równie wyraźnie się ujawniająca dysproporcja między dziedzictwem kulturalnym a stopniem materialnego zaawansowania i rozwojem cywilizacyjnym.

Dziedzictwo

Aby nieco rozjaśnić semantyczne trudności i oprzeć te rozważania na solidniejszym gruncie, zaczniemy, wzorem Braudela,

od geografii. Nie od geopolityki (która w potocznym użyciu stała się eufemicznym określeniem politycznego uzależnienia), ale od geografii w ścisłym znaczeniu tego słowa. Obszar rozciągający się między wschodem a zachodem naszego kontynentu charakteryzuje się przede wszystkim otwartością, brakiem wyraźniejszej artykulacji przestrzeni geograficznej. Właściwie poza Karpatami, dzielącymi ten obszar w kierunku południkowym, niemal zupełnie nie ma tu trwałych granic naturalnych, co wyraźnie odróżnia tę część kontynentu od jego części zachodniej. Można, jak sędzę, wysunąć tezę, że tak jak wyspiarstwo określa Brytyczków, tak — choć w sposób mniej rzucający się w oczy — owa otwartość granic i związane z nią zagrożenia wpłynęły na naturę i los narodów tej części Europy.

Od wieków wiodły tędy drogi wędrówek ludów, a potem szlaki najazdów i podbojów. Burzliwe dzieje pozostawiły po sobie ogromne zróżnicowanie i przemieszanie różnych grup etnicznych, płynność granic i zmienność politycznych układów. Krzyżowanie się wpływów i ich osmoza wykształciły u większości narodów formujących się i żyjących w tej strefie szczególną zdolność adaptacji przy równoczesnej umiejętności obrony i zachowania narodowej tożsamości nawet w najtrudniejszych warunkach. Ilustruje to nie tylko nasza własna historia. W całym tym regionie mamy liczne przykłady niezwykle odporności na narzucone obce panowanie i systemy czy wzorce życia zbiorowego. Na Bałkanach wielowiekowa niewola turecka nie zdołała załamać poczucia odrębności oraz żywiołowych dążeń do odzyskania niepodległości. Nie tylko zresztą na Bałkanach. Takie narody jak Czeši czy Litwini ocalili swe poczucie odrębności i objawiły zdolność odrodzenia się nawet po długich okresach zapaści i niemal całkowitej utracie elit.

Równocześnie charakterystyczna dla tej części Europy mozaika etniczna stawiała przed narodami zamieszkującymi ją doniosłe a przy tym bardzo trudne problemy współżycia. Wzajemne stosunki i interakcje, stanowiące potencjalne źródło wzbogacenia i pomnożenia wspólnego dorobku, częściej rodziły rywalizację i zaciekle nieraz antagonizmy. To z kolei czyniło z tych małych narodów łatwą zdobycz, a zaborcom ułatwiało manipulowanie i wygrywanie jednych przeciwko drugim. Bardzo rzadko i tylko w sytuacjach krajowego zagrożenia dojrzało tu poczucie solidarności, a próby jednoczenia wysiłków dla wspólnej obrony często okazywały się nietrwałe lub mało skuteczne.

Ta ostatnia refleksja skłania do zwrócenia uwagi na dwa doświadczenia historyczne (bardzo zresztą odmienne i rozgrywające się w różnych epokach) związane ze środkowoeuropejskim obszarem, a mianowicie naszej Rzeczypospolitej wielu narodów oraz monarchii austro-węgierskiej. Przy wszystkich różnicach, w obu przypadkach mamy do czynienia ze strukturami państwowymi

obejmującymi bardzo różnorodne pod względem narodowościowym, religijnym i kulturalnym obszary. Pierwsza Rzeczpospolita wydaje mi się dość unikalnym w historii — chyba nie przemawia tu przeze mnie polski szowinizm — przykładem dobrowolnego zjednoczenia różnych etnicznie żywiołów w odpowiedzi na wspólne zagrożenia. Ale nie tylko na tym polegała wyjątkowość tej struktury państwowej. Gdy sięgnąć do aktu Unii Lubelskiej, w szczególności do pięknych słów zawartych w jego preambule, łatwo odkryć świadomy zamysł jego autorów tworzenia szerokiej, otwartej wspólnoty. Wprawdzie wiemy dobrze z historii, że piękne słowa i deklaracje pokrywały często niegodziwą praktykę — były to przecież czasy, gdy w Europie szalały wojny religijne prowadzone w imię najszczytniejszych haseł — u nas jednak było inaczej. Ideały chrześcijańskie bezpośrednio inspirowały formujące się zasady i instytucje współżycia społecznego. Mam oczywiście na myśli okres Złotego Wieku z jego wszechstronnym rozkwitem, zanim etnocentryzm narodu szlacheckiego nie zaczął podważać wielonarodowej formuły naszego swoistego *Commonwealth'u*. Warto dodać, że w pamięci zbiorowej okres Pierwszej Rzeczpospolitej zapisał się raczej wspomnieniem rozległości i potęgi kraju niż tego, co stanowiło o wielkości koncepcji ustrojowej, a mianowicie urzeczywistniających się w niej ideałów współżycia społecznego oraz otwartości i pluralizmu tej koncepcji.

Monarchia habsburska stanowi przykład zupełnie odmiennego państwa wielonarodowego, ale i ono było swoistym produktem środkowoeuropejskich stosunków narodowościowych. Dotyczy to zwłaszcza drugiej połowy XIX wieku, gdy stara monarchia, będąca systemem zniewolenia ludów, zaczęła się liberalizować, nabierając powoli cech swojego rodzaju federacji. Poszczególne narody, a przynajmniej niektóre z nich, uzyskiwały nie w pełni zadowalające, ale w pewnych dziedzinach realne formy autonomii, co sprzyjało emancypacji i dojrzewaniu świadomości narodowej, a także ugruntowaniu autentycznych przejawów życia społecznego. Towarzyszył temu wzrastający udział różnych etnicznie żywiołów w tworzeniu wspólnej kultury. Nie co innego jak właśnie otwartość tej kultury i osmoza różnych krzyżujących się wpływów spowodowały ogromny dynamizm rozwoju we wszystkich niemal dziedzinach życia umysłowego i artystycznego. Dość połowicznie uczestniczyliśmy w tych procesach i z całej tej wielkiej tradycji pozostał u nas, głównie na południu kraju, dość powierzchowny sentyment do starszego pana z bokobrodami, nie zawsze natomiast skłonni jesteśmy pamiętać jak ważnym — w wielu dziedzinach przodującym — centrum kultury europejskiej była stolica upadającej monarchii w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia.

Ostateczny upadek monarchii austro-węgierskiej stworzył no-

wą sytuację. Doszło do pewnego rodzaju bałkanizacji Europy środkowej, która była wynikiem nie tyle błędów traktatu z St Germain, gdzie nie zdołano rozwiązać wielu jątrzących problemów granicznych, co głównie eksplozji nacjonalistycznych uczuć, tym gwałtowniejszych, że w przeszłości długo hamowanych i tłaczonych się poniżej progu świadomej i jawnej ekspresji. Ambicje małych narodów poważnie utrudniały regionalne porozumienia i podważały ich trwałość. Można powiedzieć, że w okresie międzywojennym Europa środkowa stanowiła przestrzeń politycznie nieorganizowaną.

Stan obecny

Poświęciłem tu wiele, może zbyt wiele miejsca przeszłości. Wobec zupełnie nowej sytuacji, w jakiej znalazła się Europa środkowa po ostatniej wojnie, można zadać sobie pytanie, czy poprzednie rozważania historyczne mają obecnie istotne znaczenie. Sądzę, że wbrew pozorom tak. Po raz pierwszy w dziejach różne kraje tego obszaru znalazły się w podobnej sytuacji uzależnienia i został im wszystkim narzucony system nie tylko niesprawny, ale również całkowicie obcy ich aspiracjom i wyobrażeniom o naturze życia społecznego, o roli w nim jednostki, o roli państwa i prawa. To położenie wyzwało wszędzie pragnienie suwerenności lub przynajmniej chęć jej poszerzenia. Przejawia się to w różny sposób — bądź w nostalgii za przeszłością i oczekiwaniem na nieokreślone zdarzenia, które miałyby przynieść zmianę, bądź w powierzchownej i pragmatycznej chęci polepszenia sytuacji i usprawnienia istniejących struktur, choć te nieustannie wykazują swoją nieskuteczność. Wbrew tym połowicznym usiłowaniom wydaje się pewne, że siła sprzeciwu wobec panującego porządku zależy od tego, czy rodzi on świadomą wolę takiego przekształcenia systemu, aby stał się on zgodny z poczuciem odrębności i tożsamości społeczeństwa, inaczej mówiąc, aby był zakorzeniony w tradycji — w tym, co pozostaje żywe z przeszłości.

Oczekiwane przekształcenia nie zależą rzecz prosta do samych zainteresowanych krajów. Trzeba wyraźnie stwierdzić, że tak jak podział jałtański położył kres politycznej egzystencji Europy środkowej, tak RWPG jest, mimo i wbrew deklarowanym celom, narzędziem faktycznie hamującym i pod wieloma względami paraliżującym naturalne dążenia do zbliżenia i współpracy między krajami członkowskimi. Składa się na to wiele przyczyn, a wszystkie biorą początek w polityce dominacji i ścisłej kontroli tych krajów przez ZSSR. Narzucony wszędzie ten sam model industrializacji, nie liczący się z naturalnymi warunkami i dyspozycjami krajów

RWPG, ogranicza komplementarność poszczególnych organizmów gospodarczych i ich niezależność; odpowiada temu obowiązujący w RWPG system daleko posuniętej centralizacji, w którym nici powiązań a nawet kanały ważniejszych informacji między poszczególnymi krajami przebiegają poprzez centralę moskiewską, z niemal zupełną eliminacją powiązań poziomych. (Mieliśmy wiele przykładów udaremnienia inicjatyw nawiązania, nawet w wąskim zakresie resortowym, ścisłej współpracy bilateralnej między państwami Układu Warszawskiego).

Z tych samych źródeł wypływa niechęć i lęk przed rzeczywistą integracją i prawdziwym zbliżeniem narodów naszej części Europy. Jest na to wiele dowodów. Wystarczy porównać to, co dzieje się u nas z procesami przebiegającymi w krajach zachodniej wspólnoty europejskiej, aby zdać sobie sprawę z anachronizmu reguł, rządzących u nas stosunkami międzypaństwowymi i uprzytomnić sobie, że w istocie nasze kraje nie tylko nie integrują się, ale wręcz przeciwnie, oddalają się od siebie.

Wszystko to jest rzecz jasna konsekwencją Jałty. Ale nawet przyjmując założenie, że nie ma warunków na zmianę ustalonego w Jałcie podziału Europy, i rozumując w kategoriach i w logice wynikającej z uznania trwałości tego podziału, obecna struktura RWPG i zasady obowiązujące w obrębie tego układu nie wytrzymują krytyki. Oprócz konserwatyzmu i inercji samego systemu, nie widać racji, które przemawiałyby za jego utrzymaniem w istniejącej postaci. Nie widać, by ktokolwiek (łącznie z ZSSR) był naprawdę na dłuższą metę zainteresowany w petryfikacji tego stanu rzeczy. Choć bowiem brak jawności nie pozwala dokonać wiarygodnego rachunku strat i domniemyanych korzyści w stosunkach z ZSSR, to jednak wydaje się co najmniej wątpliwe, by mocarstwo to mogło liczyć na realne korzyści ze stosunków z krajami doprowadzonymi do granic bankructwa i niewypłacalności, skazanymi na głęboki regres cywilizacyjny i w dodatku ciągle zagrożonymi ponawiającymi się wstrząsami i wybuchami protestu. Sytuacja ta ma analogię w znanym w przyrodzie paradoksalnym dylemacie pasożyta, który posuwając zgodnie ze swym instynktem zbyt daleko eksploatację swego żywiciela wyniszcza go i działa w ten sposób wbrew własnemu interesowi.

Są poważne podstawy do przypuszczeń, że obecne kierownictwo ZSSR, świadome głębi kryzysu, jest zdecydowane na radykalne reformy zarówno w płaszczyźnie wewnętrznej, jak i w skali całego układu satelitarnego. Tu interesują nas przede wszystkim te drugie. W fazie początkowej, w jakiej się znajdujemy, mamy do czynienia tylko z zapowiedziami, a nie z wprowadzaniem w życie zmian, i nikt nie jest w stanie przewidzieć ich przebiegu i zakresu. Pewne wydaje się jedynie to, że będą one wynikiem

zderzenia przeciwnych racji, z jednej strony interesów imperialnych, nadal przecież motywujących działania kierownictwa ZSSR, a z drugiej strony — naglącej konieczności dostosowania się do współczesnego świata i sprostania wyzwaniu, jakie niesie jego rozwój. Na razie jesteśmy świadkami raczej tylko propagandowych, ale uporczywych wysiłków, zmierzających do zmiany obrazu ZSSR w oczach Zachodu. Jakże jednak ta zmiana ma się dokonać, póki w sercu Europy utrzymuje się układ zależności noszący wyraźne znamiona systemu kolonialnego? Chodzi tu przecież o obszar bardzo rozległy i ważny ze względu na swoje położenie. Warto przypomnieć, że kraje RWPG wraz z Jugosławią liczą w sumie około 130 milionów ludzi, to znaczy mniej więcej tyle, ile rdzenna ludność Związku Sowieckiego. Kraje te reprezentują znaczny, choć źle wykorzystany i niejako zamrożony potencjał gospodarczy i cywilizacyjny, w wielu dziedzinach przewyższający poziom ZSSR. Obecny system zależności jest na dłuższą metę nie do utrzymania i zapoczątkowane przez Gorbaczowa zmiany muszą ożywić aspiracje do rozluźnienia ciężającej na wszystkich tych krajach zależności. Tym niemniej sędzę, że nie ma podstaw do tego, aby sobie na krótką metę zbyt wiele obiecywać po tendencjach odśrodkowych. Główną intencją ZSSR będzie oczywiście przeprowadzenie takich zmian, które przy pozorach radykalizmu nie naruszą jego kontroli nad krajami satelickimi. Trzeba się też liczyć z postawą ekip rządzących w poszczególnych krajach i ich „ucieczką od wolności”, którą zdaje się przed nimi otwierać nowa polityka Gorbaczowa. Tkwiący w tym paradoks jest pozorny i nie sędzę, aby te postawy wynikały jedynie z konserwatyzmu i trudności zaadaptowania się do nowej sytuacji. Przyczyny są chyba głębsze i wynikają z immanentnej słabości wszystkich tych reżimów i ich lęku przed bardziej otwartą grą z własnymi społeczeństwami.

Kraje najbliższe

Dotychczas mówiliśmy ogólnie o Europie środkowej jako całości, niewiele miejsca poświęcając wewnętrznemu różnicowaniu tego obszaru, zwłaszcza tym różnicom między poszczególnymi krajami, które wynikają ze stosunku do kultury europejskiej i stopnia związania z nią. Traktując Europę środkową nie jako pojęcie geograficzne, ale przede wszystkim jako określony i wyróżniający się krąg kulturowy, musimy w tych rozważaniach szczególną uwagę poświęcić krajom, w których poczucie wspólnego dziedzictwa europejskiego jest najsilniejsze i świadomość środkowoeuropejskiej tożsamości najwyższa i najwyraźniej sformułowana, a więc przede wszystkim (choć nie wyłącznie) Cze-

chosłowacji i Węgrom. Miejsce, jakie zajmują i znaczny stopień cywilizacyjnego zaawansowania pozwala traktować je wraz z Polską jako swego rodzaju awangardę, mogącą oddziaływać na inne kraje tego regionu, a nawet powołaną do tego.

To co mam w tej sprawie do powiedzenia nie jest dostatecznie pogłębione, opiera się bowiem niemal wyłącznie na materiale publicystycznym. Jest to jednak publicystyka tak miarodajnych autorów jak Havel, Kundera czy György Konrad. Wśród nich szczególne miejsce należy się Kunderze, gdyż jemu głównie zawdzięczamy przypływ zainteresowania — również na Zachodzie — sprawami środkowej Europy. Jest on, jak wiemy, jej żarliwym apologetą. W swym patriotyzmie regionalnym posuwa się tak daleko, że rolę obrony i kontynuacji wartości europejskiej kultury przypisuje głównie Europie środkowej, uważając że pławiący się w dobrobycie i zajęty swymi sprawami Zachód traci dynamikę w wielu dziedzinach kultury. Można mieć zastrzeżenia do tak skrajnie sformułowanych sądów, w jednym wszakże trudno nie przyznać Kunderze racji: że mamy mianowicie za sobą wiele trudnych, ale i wzbogacających doświadczeń sumujących się w wiedzę o naturze totalizmu i o zagrożeniach jakie z sobą niesie, nie zawsze w pełni dostępną człowiekowi zachodniemu. Dlatego też antytotalitaryzm nie jest u nas tylko opcją ideologiczną, ale konkretnym zadaniem obrony podstawowych wartości europejskich. Idąc za myślą Kundery, można powiedzieć, że tak jak niegdyś los Europy rozstrzygał się w wielkich bataliach pod Mohaczem czy pod Wiedniem, tak obecnie front jej obrony rozproszył się na niezliczoną ilość drobnych potyczek, zabiegów i wysiłków o ocalenie autentyczności życia społecznego oraz o podmiotową rolę w tym życiu jednostki i niezależnych grup społecznych.

W podobnym kierunku zmierza myśl Konrada, zawarta w cennej, wydanej na Zachodzie książce „Antipolitics”. Społeczeństwa poddane presji totalitarnego państwa muszą, według niego, nauczyć się żyć własnym życiem, nie tyle nawet wbrew, co poza polityką tego państwa, tworząc rozliczne formy współdziałania i stowarzyszania się i w ten sposób krok po kroku budując społeczeństwo obywatelskie. W tym widzi właściwą w naszych warunkach drogę do rozszerzania przestrzeni wolności i odpowiedzialności, bez oglądania się na wielkie rozstrzygnięcia polityczne. Można to w naszej terminologii nazwać pracą od podstaw. Oceniając „Solidarność”, Konrad, mimo ogromnej sympatii a nawet fascynacji tym ruchem, nie cofa się przed życzliwą krytyką za nadmierny maksymalizm i upolitycznienie ruchu, co jego zdaniem odwróciło go od najbardziej obiecujących zadań w sferze przekształceń życia społecznego. (W krytyce tej widać pewną niezdolność pełnego zrozumienia wewnętrznej dynamiki tak powszechnego i żywiołowego zrywu, jakim była „Solidarność”).

Wspomniana książka zawiera też próbę bliższego sprecyzowania, na czym polega odrębność środkowoeuropejskiej świadomości i postawy. Określa ją wedle Konrada skłonność do sceptycyzmu, antyutopizm i pragmatyzm, a także umiarkowanie i powściągliwość. Jak widać, obraz ten jest dość odległy od wyobrażeń o postawie przeciętnego Polaka, a przynajmniej od jej tradycyjnego stereotypu. Wydaje się jednak, że doświadczenia minionego czterdziestolecia przybliżyły ją pod wielu względami do konradowskiego modelu. Tak czy owak niewątpliwie istnieją różnice między naszym a węgierskim, a także czechosłowackim sposobem myślenia, które zakorzenione są w tradycji austro-węgierskiej. Ale to, co niegdyś rodziło animozje i napięcia, dziś stać się może i chyba staje się wzbogacającym obie strony bodźcem do nowych przemyśleń i do weryfikacji własnych postaw.

Zdaję sobie sprawę, że obraz problematyki środkowoeuropejskiej jaki tu naszkicowałem nie jest wyczerpujący. Pomiąłem zupełnie sprawy krajów bałtyckich, które zgodnie z przyjętymi kryteriami należą do Europy środkowej, choć znalazły się w obcych strukturach państwowych. Należałoby też rozważyć problemy związane z zachodnią częścią Ukrainy i zastanowić się, na ile tam pozostały tradycyjne związki z interesującym nas tu obszarem. Są to jednak wszystkie tematy dotyczące bezpośrednio stosunków ze Związkiem Sowieckim i tylko tak można je rozpatrywać w istniejących realiach politycznych. Z drugiej strony bodaj najpoważniejszym brakiem tego ujęcia jest nieobecność w nim Niemiec czy szerzej niemieckiego obszaru językowego. Co do Austrii, to jej poczucie związku z Europą środkową nie ulega wątpliwości. Ale i w Niemczech, i to nie tylko w NRD, ogromna liczba ludzi nie tylko interesuje się i żywi sympatię do swych wschodnich sąsiadów, ale wręcz na swój sposób poczuwa się do przynależności raczej do środkowej, niż do zachodniej Europy. Dopatrywanie się w tym makiawelicznych zamysłów świadczyłoby o uleganiu podszeptom obsesyjnej propagandy antyniemieckiej. Pragnę podkreślić, że jeżeli powstrzymałem się tu od omawiania problemu Niemiec, to bynajmniej nie dlatego, bym go lekceważył. Wręcz przeciwnie, właśnie poczucie jego ogromnej doniosłości dla przyszłych losów tej części naszego kontynentu nakazuje podjąć odrębne rozważania na ten temat, na dużo szerszej płaszczyźnie, w ścisłym powiązaniu z całym spłotem spraw europejskich i wewnątrzniemieckich.

Uwagi końcowe

W podsumowaniu dotychczasowych wywodów pragnę powstrzymać się od zbyt daleko idących wniosków, które można by

wyciągnąć z poczucia solidarności i wspólnoty losów krajów Europy środkowej. Jak wiadomo, pomysły federacyjne (np. krajów naddunajskich) rodzą się tu i ówdzie na emigracji i bywają nawet przedmiotem systematycznych studiów. Warto też wspomnieć, że federacja państw bałtyckich z perspektywą przyszłej unii bałtycko-skandynawskiej figuruje w programie bodaj najpoważniejszej litewskiej organizacji konspiracyjnej, jaką jest Narodowy Front Ludu Litewskiego. Wszystkie te zamysły mogą być dziś uznane za wyraz pragnień oderwanych od rzeczywistości. Nie należy ich jednak lekceważyć. Być może są one przejawem względnie zapowiedzią rodzącej się nowej świadomości.

Losy wcześniejszych koncepcji federacyjnych, na przykład tych, które wysuwał Piłsudski, świadczą wymownie o tym, że nawet najśluszniesze w teorii pomysły nie mogą być urzeczywistnione, dopóki nie dojrzały w umysłach i nie pozyskały dostatecznej liczby zwolenników, gotowych wcielać je w życie. Podobnie miała się rzecz z efemerycznymi planami Sikorskiego i Benesza w latach ostatniej wojny. (Chociaż w tym ostatnim przypadku czynnikiem, który ostatecznie przekreślił te projekty była obawa Benesza przed wrogą reakcją Związku Sowieckiego).

Dlatego moje wnioski sprowadzają się do ograniczonych i dość oczywistych postulatów. Pierwszy z nich dotyczy pogłębienia i rozszerzenia znajomości krajów i problemów całego naszego regionu, a zwłaszcza Czechosłowacji i Węgier. Potrzeby takiej nikt nie neguje, ale bardzo niewiele się robi dla zbliżenia naszych krajów. Trzeba więc nadać temu postulatowi postać bardzo kategorycznego imperatywu. Nie wystarczą tu dyskusje. Konieczne jest podjęcie systematycznych i możliwie gruntownych studiów, dostarczających gruntowniejszej socjologicznej wiedzy o sytuacji i przemianach społeczno-gospodarczych i świadomościowych, a nie tylko o wydarzeniach politycznych, o których informacje docierają do nas zresztą głównie za pośrednictwem źródeł zachodnich. Wbrew szumnym frazesom i odświeżonym deklaracjom nasze kraje żyją w anachronicznej i absurdalnej we współczesnym świecie izolacji, podczas gdy w Europie zachodniej granice między państwami faktycznie przestały istnieć. Dotyczy to nawet ruchu turystycznego, który natrafia na trudności i ograniczenia, nie mówiąc już o istotniejszych i bliższych stosunkach międzyludzkich. Niezależnie myślącego Czecha, Słowaka czy Węgra łatwiej spotkać w Paryżu lub Kalifornii niż gdzieś tu pod bokiem. Ten stan rzeczy trwa już z górą czterdzieści lat i wielu z nas przestał on dziwić czy oburzać. Nic nie jest w stanie usprawiedliwić takiego znieczulenia. Trzeba więc robić wszystko, aby przezwyciężyć izolację, a przynajmniej ją zmniejszyć. Są podstawy do nadziei, że sprzyjać temu będą przemiany wewnętrzne w naszych krajach, a także sytuacja globalna, jest bowiem jak sądzę prawdo-

podobne, że będzie ona ewoluować od wyraźnie bipolarnego do bardziej multipolarnego układu.

Drugi postulat, który na zakończenie tych uwag pragnę wysunąć, dotyczy nas samych, naszego sposobu myślenia i postaw wobec otaczającego świata. Sądzę, że w tej dziedzinie wiele utartych poglądów i nie w pełni uświadomionych nawyków myślowych wymaga krytycznego przemyślenia, a nawet zmiany pewnych milcząco przyjętych priorytetów. Nasz zagorzały okcydentalizm jest zrozumiały i niewątpliwie zawdzięczamy mu naszą tożsamość. Trudno jednak zaprzeczyć, że przywiązanie do Zachodu prowadziło często do odwracania się tyłem od tego, co dzieje się tuż obok, za miedzą. Towarzyszyło temu poczucie wyższości (a nawet pewnej arogancji) w stosunku do sąsiadów — poczucie zupełnie nieuzasadnione, trudno bowiem zaprzeczyć, że nasi południowi sąsiedzi są pod wieloma względami cywilizacyjnie bliżsi Zachodowi.

Historia pozostawiła nam w spadku szczególną dysproporcję: duchowo przynależymy do Zachodu i mamy żywe poczucie tej przynależności, ale równocześnie materialnie i cywilizacyjnie jesteśmy od niego oddaleni i ciągle zagrożeni ściągnięciem na wschodnią abnegację. Obecny poważny regres cywilizacyjny niebezpiecznie pogłębia tę dysproporcję. Zawsze stwarzało to pewne trudności w naszej jednoznacznej identyfikacji, było przyczyną frustracji i kompleksów, rodziło pokusę sprowadzania naszych związków z Zachodem do sfery czysto idealnej, często oderwanej od konkretnej rzeczywistości, rodziło też poczucie osamotnienia. Polacy wielokrotnie na nowo odkrywali prawdę, że Zachód właściwie nie bardzo ich rozumie i nie może lub nie chce im pomóc. Czując się samotnymi szermierzami wolności, nie zawsze dostateczną uwagę poświęcali temu, że podobna, choć nieraz innymi metodami prowadzona walka toczy się w różnych zakątkach i różnych krajach środkowej części Europy.

Sądzę, że wynikające z głębszego poznania poczucie solidarności i wspólnoty losu z krajami, znajdującymi się w analogicznym położeniu, pozwoli poczuć „pod stopami ziemię”, to znaczy ściślej określić nasze miejsce w centrum kontynentu. Pozwoli też lepiej uprzytomnić sobie oczywistą, ale często zapożyczaną prawdę, że dziedzictwo europejskiej kultury to nie tylko depozyt, którego trzeba strzec, ale także i przede wszystkim zobowiązanie do nieustannego szukania — wspólnie z innymi — dróg i konkretnych rozwiązań, przekształcających narzucony porządek i rozszerzających obszar swobodnego działania jednostek i grup społecznych.

Andrzej KRASIŃSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

SZKICE O POEZJI

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach
Str. 200. Cena F. 95,00.

TOM 430 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera m.in. opracowania: A. Tuszyńska: *W oczach Polaków. Polacy i Rosjanie w Warszawie w latach 1865-1905*; E. Halicz: *Kraje skandynawskie wobec powstania styczniowego*; WSPOMNIENIA — Marii Bartłowej, T. Pawłowicza (II), Wł. Minkiewicza (dok.); P. Wandycz: *Nowe książki oraz duże działy: OKRUCHY HISTORII i DOKUMENTY*.
Str. 240. Cena F. 70,00.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Wywiady «Kultury»

„Wolny zawód”

Z WOJCIECHEM GIEŁŻYŃSKIM ROZMAWIA
KAROL PODGÓRSKI

KAROL PODGÓRSKI: — U schyłku lat siedemdziesiątych i w okresie „Solidarności” ujawniła się silna niechęć społeczeństwa do dziennikarzy z prasy oficjalnej. Dziennikarze byli czarnymi charakterami tamtych lat. Zarzucano im brak charakteru, koniunkturalność, służalczość wobec władzy. Czy słusznie?

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI: — Skoro dziennikarze mieli powszechnie fatalną opinię, to znaczy, że na nią zasłużyli; nie ma dymu bez ognia. Co prawda nie sądzę, by od zarzutu służalczości, powiedzmy łagodniej: dyspozycyjności, można było zwolnić liczne inne środowiska, choćby naukowców, ale miały one lepszą reputację. Zatrzymam się chwilę nad pojęciem „dyspozycyjności” dziennikarzy. Otóż, choć to smutne, staje się ona zjawiskiem uniwersalnym. Jako wolny zawód opiniotwórczy dziennikarstwo degraduje się niestety na całym świecie, chociaż na Zachodzie nie tak widocznie, nie do granicy służalczości, bo tam istnieje w prasie pełna paleta orientacji, dziennikarz ma możliwość wyboru. Ale i tam jest się uzależnionym w wypowiedziach od sponsora, wydawcy czy politycznego patrona danej gazety. Tylko największe indywidualności wyrabiają sobie status niezależnego arbitra, któremu wydawca nie śmie niczego narzucać, żeby go nie stracić. O Trzecim Świecie, prócz chlubnych wyjątków, jak Indie, nie ma co mówić: tam służalczość jest traktowana jako najwyższa cnota, którą się *nota bene* za pośrednictwem UNESCO próbuje narzucić całej społeczności międzynarodowej, pod hasłem rzeko-

mej obrony przed „imperializmem informacyjnym” Zachodu. Dziennikarze zatrudnieni w głównych nośnikach propagandowych, jak TV, wszędzie na świecie są w kiepskiej lub beznadziejnej sytuacji zawodowo-moralnej, gdyż są to tak potężne narzędzia polityczne, że wcześniej czy później muszą być opanowane przez rządy lub wpływowe grupy nacisku. Ta ostatnia sytuacja bywa, o dziwo, jeszcze groźniejsza dla demokracji — *vide* afera „Irangate”, kiedy rząd został spętany i osłabiony przez opinię publiczną wbrew interesowi publicznemu. Nawet pisma lokalne są z reguły podporządkowane miejscowym elitom. Enklawami niezależnego dziennikarstwa pozostają bodaj tylko wysublimowane miesięczniki niskonakładowe, które mają prestiż, ale nie mają rozległych wpływów — no i dziennik *Le Monde*, najlepsza jak sądzę gazeta świata, jeden z ostatnich Mohikanów tradycyjnie wolnego dziennikarstwa wielkiego formatu. To pismo stanowi własność grupową, rodzaj kooperatywy i samorządny zespół (a może tylko tak z zewnątrz wygląda?), nie musi się więc liczyć z dyrygentami politycznymi, za to starannie dba o wyważanie racji politycznych, dzięki czemu zdobyło ogromny prestiż nie tylko we Francji. Ale też z racji swego statusu przeżywa częste kryzysy ekonomiczne.

K.P.: — *Czy między sytuacją dziennikarza na Zachodzie i na Wschodzie nie ma zasadniczej różnicy i poza sytuacjami wyjątkowymi proces ubezwłasnowolnienia tego zawodu jest uniwersalny?*

W.G.: — No, nie przesadzajmy. Czymś jakościowo innym jest uzależnienie dziennikarza, który ma możliwość wyboru między pisaniem rozmaitych orientacji, a czym innym dylemat wyboru między pisaniem w prasie o „jedynie słusznej” orientacji — bądź zaniechaniem pisania... W Polsce możemy sobie tylko powzdychać do czasów międzywojennego dwudziestolecia, choć i wtedy już istniała państwowa presja na prasę. Mimo niej — i mimo interwencji cenzury, białych plam itd. — wszystkie tendencje polityczne miały swoje bardziej lub mniej oficjalne, legalne tytuły prasowe, mieli je nawet komuniści, chociaż pod przykrywką organizacji filialnych. Zabawne, że mimowolny hołd stosunkom w Polsce przedwojennej składają dziś partyjni prasoznawcy, którzy wynoszą na piedestał te tytuły i tych publicystów międzywojnia, którzy byli zwolennikami albo sympatykami komunizmu — i jakoś drukowali, nie tylko w podziemiu. Po wojnie kaleki, ograniczony pluralizm trwał niespełna trzy lata. Wraz ze zniszczeniem PSL spętany został, a wkrótce zniszczony jedyny całkowicie wolny dziennik — *Gazeta Ludowa*; wolny, mimo że bezlitośnie kieraszowany przez cenzorów. Warto przypomnieć, jak się to odbyło: nocą wtargnęła do drukarni bojówka agenturalnych

dysydentów z PSL i siłą wymusiła na drukarzach zmianę pierwszej strony gazety, zapomniawszy nawet usunąć ze „stopki” nazwisko redaktora naczelnego, którym był mój ojciec. Doszło nawet do rękoczynów. Potem przysłała kolej na PPS i *Robotnika*, który niekiedy wyrażał sądy odrębne od prasy PPR. Następnie na prasę katolicką, która w okresie, gdy działało PSL, powstrzymywała się od deklarowania wyraźnej postawy politycznej, zapewne sądząc, że w ten sposób ocali własną skórę. Śmielszy z dwóch katolickich tygodników — *Tygodnik Warszawski* — rzeczywiście naraził się na ostre represje, jego zespół wyaresztowano. *Tygodnik Powszechny* był wierny swoim założeniom filozoficzno-ideowym, ale stronił od polityki, przeto trwał nieco dłużej, dopóki Dobraczyński *et consortes* nie przechwycili go na parę lat wraz z administracją i winietą, pozorując kontynuację. Na szczęście *Tygodnik Powszechny* odżył w czasie październikowej odwilży i trwa jako opoka myślenia niezależnego, mimo przeróżnych szykan, broniąc wartości nie tylko katolickich, ale po prostu polskich. Z pogromu ocalało też parę katolickich pism dewocyjnych, które spełniały rolę przetrwałników wiary ojców, lecz nie organów opiniotwórczych. Nie mogły one być alternatywnym miejscem pracy dla tych setek i tysięcy polskich dziennikarzy, którzy nie mieli ochoty być tubami komunistycznej propagandy. A *Tygodnik Powszechny* nie mógł przecież pomieścić wszystkich, zresztą bardzo skrupulatnie — i słusznie — dobierał sobie współpracowników, patrząc nie tylko na ich kwalifikacje zawodowe, ale przede wszystkim na ich światectwa moralności.

K.P.: — *Mówi Pan, że liczni dziennikarze nie chcieli być tubami komunistycznej propagandy. Ale byli. Prawie wszyscy.*

W.G.: — A ja wśród nich. Jedyną szansą znośnego bytu zawodowego było uplasowanie się w jakimś piśmie na tyle popularnym, żeby zdobyć sobie pozycję zawodową, i na tyle apolitycznym, żeby mieć złudzenie, iż pisze się mniej więcej to, co się chce — za cenę pewnych koncesji. Mnie się nawet udało, bo w końcu 1953 roku zostałem po prostu „z ulicy”, z paskudną hipoteką polityczną, przyjęty przez Gustawa Ludkiewicza, ówczesnego potentata prasy młodzieżowej, do nowotworzonego *Dookoła świata*. Do dziś nie wiem, na jakiej to się stało zasadzie, chyba jego kaprysu. Byłem tak szczęśliwy, jakbym Pana Boga złapał za nogi, bo pismo natychmiast stało się przebojem, a świnic się zrazu nie trzeba było wcale, zwłaszcza, że zaczynałem od sportu. Konieczność koncesji zjawiała się później, w miarę, jak się rozkręcałem jako reporter, i jakoś tak — powiedziałbym — mimochodem; że jak coś skłamię, coś podfałszuję zgodnie z życzeniami redakcji, to przecież nie od razu stracę cnotę, a czytelnicy,

zafascynowani tym niebawem w owych czasach tygodnikiem, i tak mi wszystko darują. Tak to szło, od rzemyczka do koniczka; coraz więcej myślałem o zdobywaniu popularności. Zresztą nawet w pismach z „pierwszej linii” było mnóstwo dziennikarzy, którzy tłumaczyli się przed sobą, że „nie czynią nic specjalnie złego”, bo przecież czasami, w półśłówkach, uda im się coś tam przemycić, co wyraża ich własne zdanie. Istniała nawet swoista giełda: kto kłamię najzręczniejszy, tak że władza jest rada, a czytelnicy rozumieją, iż się do nich robi perskie oko i sygnalizuje te czy inne wątpliwości.

K.P.: — *Jak się Pan plasował na tej giełdzie?*

W.G.: — Nienajgorzej. I niestety długo. Przez całe lata we wszystkich bodaj zespołach pracowali razem ludzie, których dzieliły zasadnicze różnice poglądów, ale o tym się zaczęło mówić, to się zaczęło dostrzegać, właściwie dopiero po wydarzeniach marcowych. Wtedy zaczęła się polaryzacja dziennikarzy i pojawiło się, na tej giełdzie, także etykietowanie, kto jest jaki i „czyj”, zresztą często całkowicie fałszywe. Ale przyklepione etykiety funkcjonowały długo, bardzo długo, właściwie aż do okresu stanu wojennego, który dopiero zweryfikował autentyczność różnych postaw. Sytuacja w światku dziennikarskim była z gruntu i wielorako fałszywa i wszyscyśmy te fałszywe wyczuwali, ale wybór innej drogi był zrazu prawie niemożliwy — nie było dokąd odejść z gazet, w których się pracowało, i nie było też wystarczająco silnej motywacji, żeby odejść. Owe różnice postaw w zespołach redakcyjnych przez długie lata wyrażały się właściwie tylko w tym, że jedni pisali idiotyzmy z przekonaniem, inni dlatego, że im kazano — to Gomułka sformułował pogląd, że dziennikarz jest od pisania tego, co każe mu władza — a jeszcze inni próbowali prowadzić ryzykowną grę z systemem — wedle dewizy „coś za coś” — godząc się na wszelkie ustępstwa w jednych sprawach, aby w innych móc pobronić jakiejś słusznej sprawy, wyrażać pogląd mniej więcej osobisty. Mnie się to powiodło o tyle, że mogłem pisać „herezje” na temat Trzeciego Świata, co było moją profesjonalną specjalnością; ale za to płaciłem „słusznymi politycznie” tekstami na inne tematy. To szło jakoś tak automatycznie, bez głębszego zastanowienia, bo tak „robili wszyscy” — no, prawie wszyscy, którzy się liczyli. O tym, że kiedykolwiek doczekamy Sierpnia, „Solidarności”, prasy niezależnej — nikt przecież nie marzył oprócz paru maniaków (tak ich ocenialiśmy, raczej ze złością i zawiścią, niż z aprobatą); to ci maniacy, w rodzaju Adama Michnika, przywrócili koniec końców godność dziennikarstwu, publicystyce.

K.P.: — *Mówi Pan „ryzykowna gra z systemem”. Ale właściwie jakie ryzyko ponosili ci, co grali w tę grę i pisali z przymrużeniem oka?*

W.G.: — Ryzyka zawodowego nie ponosili. Mało kto z takich „graczy” wylatywał na bruk, jeśli mrużył oko nieumiejętnie. Miałem na myśli ryzyko moralne, dla samego siebie. Teoretycznie można było sobie samemu określić dopuszczalną granicę kompromisów, granicę kłamstw, której się nie przekroczy, zakładał to sobie chyba każdy dziennikarz oprócz przekonanych komunistów lub kompletnych cyników, ale w praktyce przekraczanie owych granic stało się normą, wręcz rutyną.

K.P.: — *Czy mówi Pan także o sobie?*

W.G.: — O sobie też. Często przecież pisałem teksty z pełną świadomością ich nieprawdziwości, nawet jaskrawej szkodliwości, bo to stwarzało szansę opublikowania innego tekstu, w którym można było głosić tezy niekonwencjonalne, niezgodne z obowiązującą linią. Co prawda raczej w sprawach drugorzędnych, politycznie obojętnych.

K.P.: — *To groziło ześlizgiwaniem się w koniunkturalizm.*

W.G.: — Otóż na ogół nie, „koniunkturalizm” to w tym przypadku niewłaściwe słowo. Bardziej znaczącym dziennikarzom niemal nigdy nie chodziło o kariery polityczne czy finansowe dzięki wiernemu wypełnianiu poleceń „góry”, ale o to, by coś ważnego jednak społeczeństwu powiedzieć, choćby za cenę odstępowania od własnego poglądu w innych kwestiach. Ogromna większość z nas, by tak rzec, świniła się niewinnie. Uważaliśmy, że to nie my narzuciliśmy obowiązujące reguły gry, więc poruszając się w ich ramach, nie my ponosimy moralną odpowiedzialność. Czytelnicy rzecz jasna widzieli to inaczej. I mieli rację. „Sprytne” kalkulacje były kalkulacjami fałszywymi, bo liczy się skutek, nie intencja. Nawet wybitni dziennikarze popełniali okropne teksty, co im ludzie zapamiętali, a psa z kulawą nogą nie interesuje, że czynili to w celu jakiegoś społecznego pożytku z innych artykułów, które mogli opublikować w ramach taktyki kompromisów. Poza wszystkim, niezależnie od tej taktyki piszący często byli szczerze zaangażowani w pewne sprawy, działania, które okazały się kompletnie fałszywe. To jednak inny temat.

K.P.: — *Czy regularnie czynione ustępstwa w sprawach zasadniczych nie uniemożliwiały potem powrotu do niezależności?*

W.G.: — Na pewno go utrudniały. I nadal utrudniają. Myślę, że spora część dziennikarzy, którzy obecnie funkcjonują w prasie

oficjalnej, działa wbrew sobie — chodzi mi nie o tych, którzy z konieczności życiowych przycupnęli na posadkach w trzeciorzędnych pisemkach lub uprawiają czwartorzędne rubryczki, ale o tych, co figurują na pierwszych stronach. Zaszli oni w ustępstwach tak daleko, iż nie widzą dla siebie ani realnej, ani psychicznej możliwości przejścia do niezależności w prasie katolickiej lub drugim obiegu, choć mieliby na to ochotę. Paradoksalnie, nie przeczy temu nawet fakt, że niektórzy z impetem atakują owe obszary dziennikarskiej autonomii; jest to forma odreagowania stressowej sytuacji, w jakiej tkwią.

K.P.: — *W imię czego zdroworoządkowi dziennikarze godzili się kiedyś pisać artykuły, z którymi się nie zgadzali? O co konkretnie w ten sposób walczone?*

W.G.: — Na ogół o rzeczy z dzisiejszej perspektywy duperelne, które jednak w swoim czasie miały sens wcale niebłahy. Powołam się tu znowu na przykład *Dookoła świata*: ten tygodnik dokonywał mikrointegracji społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży, potworzone zatomizowanej strachem i obłudą czasów stalinizmu. Jacek Fedorowicz powiedział niedawno na videokasecie, że „stalinizm był okropnie brzydki” i sławny teatryk Bim-Bom starał się przywrócić życiu urodę. Otóż to było to, między innymi, co na różne sposoby czyniło *Dookoła świata*, wedle słów owej reklamowej piosenki: „Moda, przystość, podróż w nieznane, jakaś piosenka, humor i sport”. Identyfikacyjny program realizowany dziś na celu ogłupianie i upupianie młodzieży, myślowo i emocjonalnie rozbudzonej czasami „Solidarności”. Ale wtedy był manifestem protestu przeciwko stalinowskiej zgrzebności i martwicy. Identyfikacyjne środki mogą spełniać przeciwstawne funkcje, gdy zmieniają się okoliczności. *Dookoła świata* nie stworzyło własnej szkoły reportażu, było dość słabe warsztatowo, natomiast przedsięwzięło kilkadziesiąt akcji społecznych i obyczajowych, które były nie małą wartością. To my wielce skutecznie lansowaliśmy style i młodzieżowe mody zachodnie, otwierając młodym oczy na świat weselszy i bardziej kolorowy. Akcją „Wielka wojna z nudą” przeciwstawialiśmy pustce świetlic — żywe kluby młodzieży, akcją „Szmira stop!” staraliśmy się, jak Bim-Bom, żeby było ładniej. Nawet ładne dziewczyny na okładce były wyzwaniem, rzuconym stylowi zetempowskiemu, za co prawowierni skalali nam do oczu. Propagowaliśmy zachodnie sporty, wprowadzając do Polski pływanie pod wodą i rugby. Wiele akcji, jak autostop, „Włóczęgi Północy”, „Rancho Texas” (ten Texas umieściliśmy w Bieszczadach) służyło rozwijaniu turystyki indywidualnej, w miejsce idiotycznych „wycieczek z pracy”. To wszystko wyrывało ludzi z nijakości i z narzuconego odgórnie modelu życia socjalis-

tycznego. Stefan Bratkowski wraz z inż. De Mezeerem stworzyli ruch chałupniczego konstruowania samochodów (kilkanaście takich pojazdów własnej roboty krążyło po Polsce) zaś do spółki ze mną zajmował się ... wprowadzaniem do Warszawy zakazanego rock and rolla. Pierwszy koncert big-beatowego zespołu „Czerwono-Czarni” (z Wybrzeża zresztą, stamtąd już wtedy szły kontestatorskie impulsy) urządziliśmy prywatnie i na własne ryzyko w kawiarni „Uśmiech”. To brzmi niewiarygodnie, ale wtedy zwał się nam cały intelektualny kwiat Warszawy, prasa, Kronika Filmowa, literaci — bo to, co dziś jest rozrywką dla małaolatów, wtedy było negacją sztampy i nudy.

Byliśmy enklawą „ubawu”, który jednak miał sens. Potem ci sami ludzie, choć na ogół już w innych redakcjach, zajmowali się ważniejszymi, znaczącymi sprawami. Bratkowski, będąc członkiem partii i w zasadzie akceptując jej linię generalną, skutecznie walczył o małą, organicznikowską, a z czasem coraz ambitniejszą działalność różnych grup społecznych. Tak samo nieodżałowany Jurek Zieleński; z tym, że do partii nie wstąpił. Mieli tysiące pomysłów i udało im się zarazić nimi sporo ludzi, stworzyć zacyzyn tego, czym w latach siedemdziesiątych stało się konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Kapuściński, Dziewanowski, także ja, staraliśmy się przełamać katastrofalną w Polsce nieznajomość problematyki Trzeciego Świata, zaśmieconej przez naszych popredników, którzy wszystko widzieli osobno: tu mała skacze po drzewie, a tu pod liściem bananowca mieszka Polak z emigracji, co ma portret Dziadka i stać go na whisky. Nie dostrzegali natomiast ani kulturowej specyfiki, ani rosnącej roli Trzeciego Świata i nie przygotowali czytelników do faktu, że będzie on współdecydował o obliczu trzeciego tysiąclecia.

K.P.: — *Czy zdroworoządkowi, walczący o część prawdy dziennikarze stanowili liczącą się odsetek w redakcjach?*

W.G.: — Nie wiem, jak to wyglądało w dziennikach. W tygodnikach, z wyjątkiem niektórych tytułów czysto propagandowych, wręcz przeważali. Kiedy w jakimś piśmie fronda „zbyt samodzielnych” rozrastała się wyraźnie, np. w *Przeglądzie kulturalnym* lub w *Świecie*, to RSW „Prasa” likwidowała te tytuły, zastępując je nowymi, których zespoły miały skład stosowniejszy do wyznaczanych zadań. Ale z biegiem czasu i w nich zalegała się „zaraza”, ponieważ wskutek naturalnej rotacji dziennikarzy górę brali ci ambitniejsi, trzeźwo myślący, a nie aparatczycy czy doktrynerzy.

K.P.: — *Czym różnił się zawód dziennikarza prasy tygodniowej od dziennikarza tygodnika zachodniego?*

W.G.: — Nie wracając do uwarunkowań politycznych, trzeba

powiedzieć, że ten z Zachodu ma do dyspozycji olbrzymie archiwa, komputery, łączność satelitarną i dużo, dużo gotówki. Jego polski kolega dysponuje w zasadzie swoją głową i długopisem. Niedaleko wyszliśmy z epoki kamienia łupanego. W jakiejś mierze rekompensowaliśmy to wielką dbałością o oryginalność formy, o warstwę językową. Dominującą figurą w redakcjach tygodników był reporter. Czegoś podobnego w takiej skali nie widywało się nigdzie na świecie. Nie jest to zresztą produkt stosunków powojennych, już przed wojną były tego zaczątki, by wspomnieć choćby twórczość Wańkowicza, Wrzosa, Fajansa, Janty-Pończyńskiego, Pruszyńskiego, Lepeckiego. Oni zwiastowali narodziny wielkiego reportażu i jego czytelniczy sukces.

K.P.: — *Chyba jednak powojenny sukces reportażu prasowego wynikał z innych przestanek niż przed wojną. Był on namiastką poważnej publicystyki społecznej i politycznej.*

W.G.: — Istotnie, ponieważ reportaż jest formą paraliteracką, umożliwiającą przemycanie ważkich treści pod pozorem pisania o sprawach jednostkowych. Niejako przez ukazanie rzeczywistości jakby „w kropli wody”. Skoro publicystyczne uogólnianie było niemożliwe, gdyż kolidowałoby z oficjalnymi tezami, to uciekaliśmy w reportaż, często o wymiarze metaforycznym. Taka sytuacja wymagała stałego doskonalenia formy i to się w Polsce udało — przez operowanie skrótem myślowym, niedopowiedzeniem, sentencją i tym podobnymi sztuczkami literackimi.

K.P.: — *Czy jednak czytelnicy potrafili to rozszyfrować, rozumieć, co starali się im komunikować reporterzy?*

W.G.: — Wyśmienicie. W 95 % rozumieć wszystkie aluzje, a w pozostałych 5 % nie rozumiał ich nikt poza autorem. Nauczyli się rozumieć intencje, odrzucając watę słowną, ozdobił. Zaryzykowałam nawet tezę, że ta wieloletnia gra z cenzurą znakomicie wyedukowała humanistycznie naszą inteligencję świeżego chowu, której brakowało wzorów i tradycji kulturalnej. Wzrastała kultura humanistyczna szeroko rozumianej elity społecznej.

K.P.: — *Skoro było tak świetnie, skoro tak was rozumieli w półśłówkach, to czemu was tak w końcu znienawidzili?*

W.G.: — Właśnie dlatego, że znaczne grupy społeczeństwa dojrzały myślowo i szanse gry w ciuciubabkę się wyczerpały. Czytelnicy nie chcieli już zręcznych kamuflaży, ale nagiej prawdy. Przełom nastąpił w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy wszyscy widzieli, że kryzys nadciąga nieuchronnie, że doktryna

jest pusta, a jednocześnie pojawiła się szansa sięgania do pism „drugiego obiegu”, które początkowo brano do ręki z nieufnością, zanim zaczęto je brać z pietyzmem. Ludzie się zmieniali, a my do nich, z łamów prasy oficjalnej, ciągle mrugaliśmy porozumiewawczo, co ludzi słusznie rozwścieczało przeciw nam. Skądinąd, cenzura przecież była jak dawniej, więc nie mogliśmy wyjść poza stare formy.

K.P.: — *U schyłku lat gierkowskich jej gorset trochę się rozluźnił. Szczególnie o świecie można było pisać więcej prawdy.*

W.G.: — Pod warunkiem, że ta prawda akurat pasowała do oficjalnych tez. Mnie np. pozwolono nie tylko napisać rzetelne książki o rewolucjach w Iranie i Nikaragui, ale nawet wydano je w niebywałym, parotygodniowym tempie, jako „błyskawice”. Ale zdjęto mi z *Polityki* tekst o haniebnym procesie i egzekucji Bhutto, którego uważam za wielkiego męża stanu, bo to zdaniem władz mogłoby zepsuć stosunki handlowe z nową ekipą pakistańską. Nie wolno mi było zamieścić czysto informacyjnego materiału o paranoicznej operacji amerykańskiej w Iranie, która zakończyła się kompromitacją zamiast wyzwolenia zakładników, bo a nuż Stany Zjednoczone się obrażą? To był okres, kiedy o USA nie wolno było napisać nic złego, tak jak teraz nie wolno nic dobrego. Piszących o sprawach krajowych autocenzura krępowała z jeszcze jednego powodu, zupełnie zresztą nie do pojęcia dla ludzi spoza obozu real socjalizmu. Otóż baliśmy się napisać dobrze o ludziach niekonwencjonalnych, wartościowych, niepokodzonych z absurdami naszej rzeczywistości, bo taki tekst funkcjonował... jako donos. Zaraz tego człowieka brano pod lupę, kontrolowano, szykanowano. Często ludzie prosili reportera, że jeśli już musi o nich napisać, to niech raczej napisze źle, bo wtedy lokalne władze będą czuły się w obowiązku wystąpić w jego obronie. Czysta paranoja.

K.P.: — *Obok reportażu, do polskiej specyfiki prasowej należy także, jak sądzę, felieton?*

W.G.: — Rzeczywiście. Skoro nie było tekstów podstawowych w każdej gazecie — rzeczowej informacji i poważnego komentarza — to czymś trzeba było je zastąpić, na przykład właśnie tym wynalazkiem polskiej prasy, jakim jest besserwiskerskie wymądrzanie się na dowolne tematy, skrzyżowanie wstępniaka z humoreską, zwane felietonem. Ludzie to lubią, bo to śmieszne i „lekkie”, zaś władza tolerowała jako kącik, w którym dziennikarzowi wolno troszeczkę poużywać sobie, bo to jest „dla śmiechu” i stanowi niegroźny wentylek bezpieczeństwa. Poprzez szyderstwa z najbardziej ewidentnych nonsensów systemu postawę krytyczną

czytelnika zamieniano w tolerancyjny chichot. Celem tego gatunku jest miniaturyzowanie, okpiwanie ważnych problemów społecznych i eksponowanie plotkarskich błahostek. Klasycznym tego przykładem jest ostatnia strona *Polityki*. Oto filozofia dwóch panów, którzy na niej gospodarzą: co tam gadać o wolności czy demokracji, ważniejsza jest sprzedaż bezkartkowej benzyny dla tych, których na to stać. Plus pozorowanie, że się jest „neutralnym”, plus żartobliwy donosik na tych, co są przeciw.

K.P.: — *Powróćmy do spraw na serio. Przez czterdzieści powojennych lat spory ideowe w prasie oficjalnej były właściwie nieobecne. Dopiero przed kilku laty zaczęło się na nowo ideowe samookreślanie społeczeństwa, co przybiera dość zaskakującą postać reanimowania orientacji sprzed ponad pół wieku. Pojawiły się, już w okresie legalnej „Solidarności”, grupy proendeckie, neopięsudczykowskie, chadeckie, neokonserwatywne, socjaldemokratyczne. Dopiero dziś zaś zaczyna się na to nawarstwiać mapa podziałów politycznych bardziej adekwatna do czasów i sytuacji, w jakich żyjemy.*

W.G.: — *T a m t a* mapa, sprzed półwiecza, też jest adekwatna, mimo zmienionej sytuacji. Nie chodzi przecież o nawrót do politycznych programów tradycyjnych stronnictw, ale o kultywowanie takich czy innych wartości, jakie były zakodowane w ich ideologiach. Uważam, że nie ma w tym nic anachronicznego — jest to zdrowa i naturalna kontynuacja poglądów i postaw naszych ojców i dziadów. Niech kwitnie sto kwiatów. Mnie najbliższa jest tradycja PPS, ale cenię nurt pięsudczykowski za jego frenezję niepodległościową, konserwatystów za pietyzm dla idei „trwania” tego, co się sprawdziło, chadeków za to, że umieli przełamać swoje dawne ograniczenia konfesyjne i tworzą stopniowo doktrynę styczną do tej, jaką wyznają. Może „socjalizm chrześcijański” jest niezłą odpowiedzią na wyzwanie teraźniejszości i przyszłości, jak to formułują zwolennicy teologii wyzwolenia? Zresztą za trzech ostatnich arcybiskupów, zwłaszcza za Jana Pawła II, Kościół podjął tyle haseł z okresu wczesnego, utopijnego socjalizmu — jak wyzwolenie człowieka, jego godność i podmiotowość, sprawiedliwość społeczna — że możemy się świetnie porozumiewać, zachowując zarazem pietyzm dla głębszych motywacji obu kierunków — socjaldemokratycznego i chrześcijańsko-społecznego. Taki dialog jest w pełni możliwy i konieczny, jest on zresztą powszechny we współczesnym świecie. Obie te orientacje mieszczą się w koncepcji szeroko pojętego „centrum” — jako centrolewica i centroprawica, powiedzmy, spychając na marginesy tradycyjną lewicę komunistyczną i tradycyjną prawicę nacjonalistyczną, które stają się zjawiskami bez większego znaczenia.

Tak się dzieje we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych. W tym kierunku będzie zmierzać Polska. Oby.

K.P.: — *Myślę, że trzeba w tym miejscu wspomnieć Tygodnik Powszechny, jako najważniejsze przez parę dziesięcioleci źródło inspiracji ideowej.*

W.G.: — *Bezwzględnie najważniejsze — dla wąskich elit intelektualnych. Myślę jednak, że zasadniczą rolę w edukowaniu społecznym i politycznym szerszych kręgów inteligentnych spełniała do 1980 roku Polityka mimo wszystkiego złego, co można o niej powiedzieć za dawne czasy, a szczególnie za obecne. Strajkujący w Stoczni Gdańskiej robotnicy o wszystkich „oficjalnych” dziennikarzach mówili: skurwysyny, a o nas, z Polityki — skurwysynki. To było na swój sposób miłe... Mówiąc zaś serio, to istnienie tak dobrze redagowanych pism, jak Tygodnik Powszechny z jednej, a Polityka z drugiej strony, wymuszało na innych tytułach prasowych, przynajmniej tych ambitniejszych, podnoszenie własnego poziomu, rezygnowanie z najprymitywniejszych metod agitacyjnych, przejście na wyższy poziom polemik. To był poboczny, ale ważny skutek. Zasadniczym jednak było to, rzecz jasna, że Tygodnik Powszechny wychował wspaniałe, ideotwórcze kręgi katolickie, zaś Polityka uczyła krytycyzmu i sceptycyzmu wobec rozlicznych absurdów real socjalizmu. Może za to Rakowskiemu Pan Bóg odpuści trochę późniejszych grzechów.*

K.P.: — *Odejście w 1982 roku sporej części czołowych dziennikarzy od uprawiania swego zawodu w prasie oficjalnej jest bez wątpienia jednym z najistotniejszych zjawisk w historii polskiego dziennikarstwa. Dlaczego nastąpiło to właśnie wtedy, a nie w czasie któregoś z poprzednich przesileni?*

W.G.: — *Po prostu wyczerpała się strategia „uczestniczyć, aby zmieniać”, którą w swych głośnych publikacjach zachwalał Andrzej Walicki. Zaznaczam, że to nie wynikało bynajmniej z obiektywnej niemożności takiego działania, możliwość istnieje nadal, ale z przekroczenia jakiegoś progu psychologicznego, co trudno racjonalnie opisać i uzasadnić. Fenomeny psychospołeczne są jednak takim samym faktem, jak wszelkie warunki obiektywne czy materialne. Otóż, po zachłystnięciu się wolnością w czasach „Solidarności”, większość publicystów, w ogóle inteligencji twórczej — artystów, naukowców — nie czuła się w stanie powrócić do poprzedniej gry pozorów. Straciliśmy posady, względny komfort, poczucie bezpieczeństwa — zyskaliśmy błogą niezależność i obojętność na wszelkie manipulacje. To brzmi sloganowo, lecz doprawdy nareszcie poczuliśmy się uwolnieni. Skądinąd, ta droga postępowania jest też słuszną strategicznie — strategia od-*

mowy powoduje, że obecna ekipa czyni rozmaite gesty liberalizacyjne, które w sumie nie są do pogardzenia. Bądź co bądź mamy teraz w Polsce taką sytuację, że opozycji formalnie „nie ma”, została przecież rozbita w trakcie procesu normalizacji, ale faktycznie istnieje jak najbardziej — i władza zaczyna się przyzwyczajać do tej kłopotliwej sytuacji, wzbogacając swą taktykę „bata i marchewki” przez tolerowanie tego, co bez poważnych kosztów prestiżowych nie może być sekowane zbyt drastycznie. Oczywiście taka sytuacja jest płynna, może być przejściowa, lecz z góry nie wiadomo — ku czemu przejdzie? Ja zaś jestem niepoprawnym optymistą...

K.P.: — *Nie brakuje jednak wątpliwości, że aktorzy i dziennikarze „nieobecni” co najwyżej trochę irytują władzę, a szkodę przynoszą społeczeństwu, pozbawiają je dobrego aktorstwa i publicystyki, że korzyści są wątpliwe, a straty ewidentne.*

W.G.: — Jeśli chodzi o aktorów, coś w tym jest. Istnieją przecież rozmaite poziomy oddziaływania na świadomość, przekaz niebezpośredni jest również ważny, więc nieobecność wybitnych aktorów w telewizji w sztukach apolitycznych, lecz uczących myślenia, była pewną stratą społeczną. Dlatego moim zdaniem uczynili słusznie, decydując się na bojkot selektywny, w zależności od wymowy proponowanego im filmu czy sztuki — zamiast bojkotu całkowitego, który był piękną kartą aktorów w czasie stanu wojennego. Dziwi mnie tylko, że niektórzy z tych, co wydawali się najbardziej nieprzejednani, wrócili nie tylko do TV, ale nawet na salony władzy. W przypadku publicystyki sytuacja jest inna, gdyż połowicznie uczestnicząc w obiegu oficjalnym dziennikarz go uwiarygodnia, nie mając możliwości, mimo pewnego zelżenia rygorów cenzury, prezentowania własnych poglądów w sprawach naprawdę istotnych. Może natomiast to czynić, jak najbardziej, w drugim obiegu, w prasie katolickiej, w prasie emigracyjnej, która przecież dociera do kraju. Prawda: traci masową publiczność, a na ogół też satysfakcję z drukowania pod własnym nazwiskiem. No cóż: coś za coś.

K.P.: — *Ma za to satysfakcję z głoszenia prawdy...*

W.G.: — Powiedziałbym raczej, że z tego, co uważa za słuszne i prawdziwe. „Prawda” to pojęcie nieco ewangeliczne. W rzeczywistym życiu politycznym i społecznym rzadko można z absolutną pewnością powiedzieć, co jest prawdą, co nie, bywają prawdy niejednoznaczne, złożone, są sytuacje konfliktowe, w których kryterium prawdy w ogóle jest bezsensowne. Na przykład w konflikcie izraelsko-palestyńskim „prawda” jest identyczna po obu stronach, i ci, i tamci są prawowitymi gospodarzami tej ziemi.

K.P.: — *Czy nie sądzi Pan, że traktowanie prawdy jako rzeczy względnej łatwo może służyć do usprawiedliwienia zachowań i postaw, powiedzmy, niegodziwych?*

W.G.: — Niestety, może. Dziennikarze nie zawsze — nawet gdy kierują się najszlachetniejszymi intencjami — są „czyści” w oczach czytelników. Ich prawda nie musi być prawdą innych. Na to nie ma żadnej rady. Oby takich sytuacji rozdźwięku było jak najmniej, ale całkiem się ich nie da wyeliminować. Głosiłem publicznie i nadal utrzymuję, że Chomeini miał rację obalając szacha, że „prawda” była po jego stronie — ale ogromna większość ludzi jest odwrotnego zdania i ja właściwie nie mam teraz argumentów, gdyż końcowe skutki rewolucji w Iranie są fatalne, a mogą być jeszcze gorsze. To jednak nie zmienia mojego przekonania, że „szach musiał odejść” — tak jak to głosił Chomeini. Nie można rozstrzygnąć, czy większą wartością jest postęp modernizacyjny, czy wierność własnej kulturze, nawet gdy ta ostatnia postawa przybiera postać, która nam, w Europie, wydaje się paranoiczną. Dlatego mam szczególnie duże wątpliwości co do kryteriów „prawdy”, „racji”, „słuszności”, bo one rzadko pomagają rozwikłać splot tamtejszych złożoności.

K.P.: — *Dlaczego sięga Pan po przykłady z Trzeciego Świata?*

W.G.: — Na nim znam się najlepiej, to zarazem moja pasja i specjalność. W trzecioświatową tematykę uciekłem bardzo dawno, między innymi dlatego, żeby kłamać mniej. Ale to też było niełatwe. Obowiązywała wszak teza, że Trzeci Świat ochoczo i szerokim frontem dąży ku socjalizmowi. Tymczasem już w latach sześćdziesiątych było dla mnie jasne, i to też pisałem, iż teza owa jest „połowicznie nieświeża”, bo wiele krajów, poza deklaracjami, nie czyniło niczego, aby się „usocjalizować” lub czyniło wszystko, żeby do tego nie doszło. Pisanie o tym było herezją. Bardzo długo nie wolno też było pisać o sukcesach tych krajów, które obrały drogę kapitalistyczną, jak Korea Południowa czy Tajwan, i osiągały wielkie sukcesy, wyraźnie prześcigając kraje realsocjalistyczne, nawet te przodujące. Tutaj już nożyce cenzorskie działały konsekwentnie, choć czasami dawało się jakoś je ominąć.

K.P.: — *Czy te praktyki sterowania prasą doprowadziły do trwałych odkształceń w widzeniu świata przez czytelników?*

W.G.: — Z pewnością. Na przykład ugruntowały w społeczeństwie spiskową wizję świata, przekonanie, że wszelkie przemiany rewolucyjne są wynikiem spisków międzynarodowych, z reguły dyrygowanych z Kremla. Przeciętny Polak w głębi ducha wyo-

brażał sobie, że oto nasłani agenci zrobili rewolucję przeciw dobru Somoze w Nikaragui, Batiście na Kubie, szachowi w Iranie. Niezrozumienie, że zdecydowana większość wydarzeń w Trzecim Świecie następuje autogennie, natomiast potem staje się przedmiotem międzynarodowych manipulacji, jest poważną ułomnością myślową, która uniemożliwia racjonalny ogląd sceny światowej. Nie rozumie się także i tego, że wydarzenia w Trzecim Świecie są napędzane przeważnie czynnikami typu psychologicznego lub socjologicznego, a nie prostą zasadą „interesu”; niestety, marksistowskie widzenie historii jako produktu determinizmu ekonomicznego weszło ludziom w krew. Innym skrzywieniem świadomości jest głębokie przekonanie, iż na świecie nie ma suwerennych państw oprócz dwóch supermocarstw oraz nierozróżnianie stopnia uszczuplenia suwerenności państw — uczestników różnych paktów. Skomplikowana gra sił i interesów politycznych została w powszechnej świadomości sprowadzona do prostego modelu bipolarnego Moskwa - Waszyngton, który skończył się już na początku lat sześćdziesiątych, gdy samodzielną siłą polityczną stały się Chiny. Jest faktem, że główny konflikt światowy układa się na osi Wschód - Zachód, a nie Północ - Południe, i długo tak pozostanie, ale zarazem przybiera państw samodzielnych, niemanipulowanych — jak Iran, Indie, Brazylia i kilka innych. Świat staje się wielobiegunowy, a ludziom jawi się jako dwubiegunowy.

K.P.: — *Czym to grozi?*

W.G.: — Niedoinformowane społeczeństwo coraz mniej rozumie z tego, co się rzeczywiście dzieje na świecie.

POLANDER PRESS

NOWA POLSKA OFICyna WYDAWNICZA
ma przyjemność zaoferować swą pierwszą pozycję:

MARE NOSTRUM

Tom nieopublikowanych wierszy Józefa Łobodowskiego. Ograniczona edycja 150 numerowanych egzemplarzy, czerpany papier, ręczny skład i druk, zdobniki oraz sześć oryginalnych linorytów ręcznie kolorowanych. Cena egzemplarza w skórze 180 \$, w płótnie 130 \$.

Zamówienia prosimy nadsyłać do:

POLANDER PRESS

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Ranek. Ulicami suną pochody młodzieży. Grają na gitarach, śpiewają. Wygrzebuję wśród pamiątek przeszłości znaczek „Solidarności”, wpinam w koszulkę na widocznym miejscu i z wysuniętą do przodu piersią maszeruję do miasta pachnącymi świętymi ulicami. Tłok przy trasie przejazdu nieopisany. Rozglądam się za kolegami weteranami, lecz nie widzę nikogo ze znacznikiem. Milicjantom rzucam wyzywające spojrzenia, lecz są zajęci pilnowaniem porządku. Ludzie też mnie nie zauważają, bo każdy mości sobie gniazdko w tłoku.

Liczne kościelne służby porządkowe przemieszały się łagodnie z ORMO i milicją. Bardzo to nieładnie wygląda. Ludziom zakazuje się wchodzić na trawniki, bo szkoda trawy, ale wchodzą, przeganiani znowu wchodzą i tak już zostaje. Niesubordynacja u nas zawsze górą. Jedzie — nie jedzie... Ktoś słyszał w radio sprawozdanie z lotniska i mówi, że Papież dał w kość czerwonym. Oczekiwanie gęstnieje i myślę z niepokojem, że musi się to skończyć wielkim zawodem, bo żeby zaspokoić takie oczekiwania, musiałby pojawić się sam Pan Bóg we własnej osobie i w dodatku czynić cuda. Jedzie — nie jedzie... Jedzie! Bardzo szybko i wolno zarazem, zamknięty w plastikowej klatce. Obok liczne garnitury obstawy. Przez ludzki las jakby przeszła wichura rozwiewając korony głów i rąk. Miałem rację: za mało, za szybko, za krótko, żeby ludzi nasycić, dlatego stoją jakby na coś jeszcze czekali. I doczekali się, bo paradują samochody ambasad. Amerykańska flaga sunęła wśród burzliwych oklasków, zaś sowiecki sierp i młot wśród gwizdów i śmiechów. Potem wszystko zaczęło się leniwie rozchodzić, tylko na ulicach pozostały kolorowe zwłoki kwiatów.

Transmisja w telewizji. Zamek królewski zwany uparcie (tego

pilnuje cenzura) warszawskim. Partyjni lektorzy kroją propagandowe kawałki jak tort, który Papież przywiózł ze sobą w prezencie dla PRL. Stoją naprzeciw siebie: Biuro Polityczne z przyległościami i Episkopat z przyległościami. W tej sali można sobie było obejrzeć jak na dłoni dwuwładzę: partię, która rządzi ciałem, a dokładniej pewnymi jego członkami i Kościół, który rządzi duszą, a dokładniej pewnymi jej zakamarkami. Bo jeśli się zastanowić, to w naszym organizmie społecznym przeważają odłogi i mokradła, którymi nie rządzi nikt.

Generał wyprostowany — jak to on — zewnętrznie i wewnętrznie. Ale wyraźnie w lepszej formie niż przed laty, kiedy stojąc przed Papieżem cały się trząsł, co zdradzały ręce i łydki. No i przemówienie. Skrzyżowanie stylu Górnickiego z własnym — wojskowym. Nie wiem, kto wymyślił tę „obcą rękę, co podpałała kraj”. Obce ręce, ręce obcinane... te ręce mają pewną tradycję w partyjnych przemówieniach. W każdym razie przemówienie z ręką zabrzmiało okropnie i Papież jakby jeszcze głębiej pochylił się w sobie. A ja, niepoprawny marzyciel, ujrzałem oczyma wyobraźni, jak Papież nagle powstaje z zamyślenia, zbliża się szybkim krokiem i chwyta generała na ucho. Wykręca je stanowczo, bez gniewu, jak niegdyś czynili pedagogzy z uszami krnąbrnych uczniów. „Żadnych marzeń, panowie, żadnych marzeń” — mówił parokrotnie car Aleksander II do Polaków. Minęły wieki, ale te słowa nadal stoją nad Placem Zamkowym jak ciemna chmura.

Nie wiem, czy o tej właśnie chmurze mówił Andrzej Łapicki, witając w kościele Świętego Krzyża Papieża w imieniu twórców. Ta chmura dostała jednak huczne brawa. O tak, lubimy ciemne chmury i nasze dzielne głosy w ich mroku. Spokojny głos Łapickiego — postaci nie widziałem z powodu gęstwy ludzkiej — nałożył mi się na jego niespokojny głos z kronik filmowych, które nasyczał tekstem w najgorszych czasach.

Ponadto 1.000 twórców z całej Polski. Ileż dramatów dla tych, co nie dostali wejściówki. Podobno nawet Żukrowski, którego nie zaproszono, co dla mnie było oczywiste, a dla niego nie, dzwonił do biskupa Dąbrowskiego z awanturą. Czyżby nie wiedział, że nawet w kościele mógłby zostać zagryziony, a przynajmniej opluty? Co do wejściówek, Kraków miał otrzymać 50, Poznań tylko 20. Był podział na stronę lewą, stronę prawą, środek no i przede wszystkim przód, do którego dochodziło się z innej strony, przeznaczony dla elity wyciśniętej z elity.

Spotykam B. Szepce rozbawiony, że przed chwilą spotkał swojego ubeka, który jeszcze niedawno przesłuchiwał go w więzieniu na Mokotowie. — To pan, panie Józiu, nie na przesłuchaniach? — zapytał B. Ubek speszył się i coś zabełkotał. — Ty,

kto to? — spytał sąsiedni ubek. — Potem ci powiem — odszepnął pan Józio. Podobno wiele było takich wzruszających spotkań. Najwyraźniej do pilnowania twórców sięgnięto po najbardziej kulturalne rezerwy w MSW i niebacznie skierowano do bram kościoła niektórych z naszych aniołów stróżów z resortu do spraw artystów.

Tłok gęstniał, ale największe zawirowanie nastąpiło, gdy Papież zaczął przechadzać się po kościele. Wszyscy go chcieli widzieć, a najbardziej twórcy starsuszy i starcy, którzy wykazując się niezwykłą sprawnością fizyczną wspinali się na ławki, a potem na grzbiety już stojących, a nawet na konfesjonał, obok którego stałem a w którym rozparł się ksiądz bardzo zadowolony, że owo miejsce przypadło mu niejako z urzędu. Wzniesiono transparent z napisem „Solidarność” i wszczął się spór, kto ma go trzymać, a potem kto ma podtrzymywać ręce trzymających (Mojżesz miał tylko dwóch pomocników). „Zostań z nami! Zostań z nami! — skandowali zgodnie najwybitniejsi polscy twórcy, a stojący obok mnie L., niegdyś czołowy intelektualista partyjny, śpiewał czystym głosem religijne pieśni. Papież w PRL? Czy jedynie przeniesienie naszej bezradności w wymiar niebieski, również z powodu mundurów w tym kolorze? Państwo policyjne, które pokazuje na co dzień jedynie swój czujny wilgotny nos, przy takich okazjach wychodzi niemal w całości na powierzchnię i aż zapiera dech, jak wielka to poczwara.

Dzięki milionowym zgromadzeniom (trzeba przyznać, że nas też dużo) milicja uzyskała niezwykle pole dla manewrów. My byliśmy właśnie tym polem, gdzie jak wśród łanów zboża przemieszczały się milicyjne kolumny, zwierały i rozwierały szeregi, dokonywały przegrupowań i stawiały nagle kordony w miejscach najmniej dla przeciwnika przewidywalnych. Położono nacisk na współpracę z kościelnymi służbami porządkowymi i po raz pierwszy w historii papieskich wizyt w niektórych miejscach ją uzyskano. Mówi się nawet, że raz czy dwukrotnie te służby pomagały zabierać nieprawomyślne transparenty. Władza kolportowała plotkę o spisku czającym się na Papieża, co usprawiedliwiałoby ów nadmiar czujności. Ewentualny szalenciec-zamachowiec miał dzięki temu pewne szanse, bo nadmiar zawsze rodzi bałagan. Ofiarą nie padł na szczęście Papież, ale np. dzieci z pewnej wspólnoty, którym milicjanci zabrali wszystkie kijki od transparentów. Idący z nimi dorośli zachowali swoje kijki. Gdzie indziej blokowano ulice, pozostawiając otwarte sąsiednie. Nie miało to żadnej logiki, chyba że zmuszanie ludzi do chodzenia naokoło ma jakiś ukryty sens. „Chcą nas po prostu zmęczyć”, słyszało się głosy, zapewne trafne.

Na koniec należy jednak pochwalić milicję. Czyni ona nieustanne postępy w działaniach manewrowych przeciwko własne-

mu społeczeństwu. Generał jest zapewne dumny, gdyż stworzył armię, powiedzmy delikatnie — przeznaczoną do działań wewnętrznych — która mogłaby być naszym produktem eksportowym, kto wie czy obecnie nie jedynym. Sukcesy na tym froncie są niewątpliwe. Zapytuję jednak, co z innymi frontami, które nadal otwarte. Na przykład pierwszy z brzegu front zaopatrzenia. Co więc, pytam, z kremem do gołenii, papierem toaletowym, wędlinami, płaskimi kluczami do śrub, watą? — listę porażek układa każdy nowy dzień w najbardziej fantastyczne i nieprzewidywalne wzory.

Msza na Placu Defilad. Obdarzeni czułą pamięcią widzieli ducha Gomułki, jak kołysał się z boku ołtarza przemawiając do rozentuzjasmowanej naiwności roku '56, sunęły 1-majowe pochody niosąc podobizny Stalina, Bieruta i Gierka. Ale rzeczywistość jak zwykle na wierzchu. I oto dar Stalina stoi w objęciach ołtarza. Były plotki, że planowano zbudować krzyż na złotej iglicy Pałacu Kultury, ale zabroniła wiadoma ambasada. Niektórzy już widzieli Papieża na czubku tej iglicy w promieniach słońca. Wydaje się jednak, że Pałac Kultury w objęciach ołtarza zaspokajał nawet najbujniejsze wyobrażenie i najbardziej wyrafinowanych poszukiwaczy symbolicznych obrazów.

Łatwość z jaką władza ludowa zgodziła się, by Plac Defilad stał się placem modlitwy może być jednym z wielu dowodów na śmierć idei. Nie mają już poczucia własnej historii, zjedli ją jak własny tułów, ale zbytnim komplementem byłoby twierdzić, że ostała się głowa (już raczej jej przeciwieństwo).

W kierunku Placu Zamkowego rusza procesja eucharystyczna. Snuję się z rodziną bocznymi ulicami. Chociaż to niedziela, wszystkie sklepy otwarte. Ludzie czasami uśmiechnięci, a w każdym razie pogodni, czego na ogół nie widuje się w tym mieście. Właściwie przyjemnie jak na Broadwayu. Wchodzimy do sklepu i czeka nas radosna niespodzianka. Jest żółty ser! Tak dawno nie widziany w naszych sklepach. Kupujemy dużo, na zapas.

Stoimy przy ulicy Karowej. A Krakowskim Przedmieściem idą delegacje różnych diecezji w strojach ludowych. Idzie również delegacja z Litwy, która dostaje huczne brawa.

A w dole na ulicy Karowej odgłosy awantury. Milicja postawiła tam kordon i nie chce wpuścić grupy kilkunastu osób, przeważnie starszych kobiet. I to one rzucają się do oczu milicjantom, a te oczy zamglone, oczy robotów, które powtarzają mechanicznie, że mają rozkaz nie wpuszczać, nic nie wiedzą, mają rozkaz.

Papież już dotarł do kolumny Zygmunta, o czym dowiadujemy się z megafonów. Wszyscy klękają, tylko milicjanci stoją. Przez rozkraczane nogi jednego widzę zbiegające się linie Krakowskiego Przedmieścia. Zapada cisza, w którą wkrzykuje się chry-

pień milicyjnych nadajników — „coś się dzieje na Bednarskiej, potrzebne posiłki”. Szereg milicjantów przegrupowuje się i rusza truchtem. Kołyszają się pałki i nadajniki, jak narządy samców.

Spekulacje kto na wizycie Papieża wyszedł lepiej, my, oni, czy może tamci. A w tym wszystkim zgubił się gdzieś Pan Bóg. Miałem wrażenie, że dla przygniatającej większości wierzących był to przede wszystkim wielki piknik i festyn. Należałoby tu pytać o kształt polskiego katolicyzmu, o jego powierzchowność i o stan moralny społeczeństwa.

Mówi się, że Papież, który sprawił nam początkowo mały zawód, poprawił się w Tarnowie, a spełnił wszystkie oczekiwania w Gdańsku. Spotkał się z Wałęsą, potem z księdzem Popiełuszką, a przy okazji przyjął łaskawie od generała prezent w postaci 21 salw armatnich, niewątpliwie najoryginalniejszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymał. Potem, jakby mimochodem, odebrał propagandzie Westerplatte (i teraz została im się jeno bitwa pod Lenino i Wał Pomorski).

No i my stoczyliśmy dwie znaczące potyczki z milicją w Krakowie i Gdańsku, szczególnie w Krakowie było ostro, oddziały specjalne milicji jak zwykle wykazały się zwierzęcą brutalnością (przepraszam zwierzęta za to porównanie), a cała akcja spowodowana przez mundurowych świadczy o tym, że komuś na górze znowu zależało na małej lub dużej awanturze.

Pamiętam ów dzień przed laty, kiedy kardynał Wojtyła został obrany Papieżem. Znalazłem się wtedy w zasięgu głosu pewnego partyjnego dygnitarza, który ciężko westchnął i oświadczył: „Stało się wielkie nieszczęście dla krajów obozu socjalistycznego, dla naszej partii”. Nikt nie spodziewał się wtedy, że to nieszczęście przybierze tak niezwykle rozmiary i kształty, że sama partia nawróci się, co prawda nie na wiarę w Boga, ale w Papieża i pocznie na niego liczyć w nieszczęściu ekonomicznym, jak na ostatnią, chociaż nabitą gwoździami deskę ratunku.

Wojskowe lotnisko. Kamery utkwiliły swoje oczy w smętny budynek, gdzie Papież i generał rozmawiają w cztery oczy. Tymi czterema oczyma lubuje się propaganda i ukuto nowy slogan — dwaj wielcy Polacy. Trzeba przyznać, że osobliwie wygląda nasz generał stojący sztywno na baczność w pierwszym szeregu z Bolesławem Chrobrym, Kopernikiem, Kościuszką i Mickiewiczem. Jego plan ocalenia świata „przed pożogą wojenną”, zwany coraz głośniejszą przez trąby naszej propagandy planem Jaruzelskiego, nie został niestety zauważony przez Papieża. I z tego powodu wiele bólu. Takie wieści dochodzą z kół dobrze poinformowanych.

Duże emocje, bo generał nagle wyskoczył ze smętnego bu-

dynku i do samochodu. — „Generał odjechał” — powiedział zdeorientowany spiker. W innej sytuacji mogłoby to wyglądać na początek konfliktu międzynarodowego. No tak, pomyślałem, moja wizja z uchem z początku pobytu urzędywistniła się w sytuacji intymnej w cztery oczy pod koniec. A jednak po chwili są Obaj na płycie lotniska przed mikrofonem. Papież bardzo poważny. A i generał głęboko w rubieżach smutku. Ludzie od wielu dni mówią, że Papież taki poważny i smutny, bo dowiedział się czegoś o naszej sytuacji.

Samolot wzbija się w powietrze. Niepokój, bo to wehikuł LOT-u. Przez okna swojego mieszkania widzę, jak ludzie wybiegają na balkony i patrzą w niebo, chociaż lotnisko daleko, a kierunek na Watykan nie ten. Patrzą, jakby chcieli chwycić za skrzydła i też polecieć, albo ściągnąć go z powrotem.

Czy naprawdę jesteśmy aż tak bardzo nieszczęśliwi i opuszczeni? A może nie w tym rzecz. Przecież ja chyba też jestem w Janie Pawle II zakochany, nie pensjonarsko, nie narodowockliwie, ale jakoś tam po swojemu.

Witold CHARŁAMP

Gombrowicz i cenzura*

Jesienią 1986 roku krakowskie Wydawnictwo Literackie przekazało do sprzedaży 9-tomowe wydanie „Dzieł” Witolda Gombrowicza. Mimo 20-tysięcznego nakładu, mimo bardzo wysokiej ceny (10.000 zł), „Dzieła” sprzedawane były wyłącznie „spod lady”. Utwory autora „Dziennika” trafiły do bibliotek i na giełdę — sposób dystrybucji i wysokość nakładu zamknęły im drogę do przeciętnego czytelnika.

Gdy w listopadzie 1981 roku Rita Gombrowiczowa i Jerzy Giedroyc podpisywali umowę z Andrzejem Kurzem (dyrektorem WL) wydawało się, że utwory Gombrowicza znajdą się szybko na księgarskim rynku PRL. 13 grudnia 1981 zlikwidował i tę możliwość, chociaż okazało się nie po raz pierwszy, że skutki ustępstw wymuszonych na komunistach w okresie kolejnych „odwilży” okazują się trwałe — historia kultury PRL (łącznie z polityką wydawniczą) pełna jest przykładów potwierdzających tę tezę.

Głównym wydawcą Gombrowicza w okresie powojennym był

* Tekst zamieszczony w wychodzącym poza cenzurę piśmie *Obecność* nr 17 (1987).

paryski Instytut Literacki. W roku 1951 na łamach miesięcznika *Kultura* ukazały się fragmenty „Trans-Atlantyku”, w roku 1953 tom zawierający „Trans-Atlanty” i „Ślub” inaugurował „Bibliotekę *Kultury*”. Oficyna Jerzego Giedroycia publikowała kolejne utwory pisarza („Dziennik” ukazywał się w odcinkach w *Kulturze*, a później w wydaniu książkowym), broniąc go przed atakami prasy komunistycznej i emigracyjnej. Po śmierci Gombrowicza (1969) Instytut Literacki wydawał „Dzieła zebrane”, w których obok utworów opublikowanych w formie książkowej w okresie przed- i powojennym znalazły się „Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie” oraz „Varia” (z sensacyjną powieścią „Opętani”, publicystyką przedwojenną oraz rozproszonymi wiadomościami i artykułami z okresu powojennego). Osobno ukazały się „Rozmowy z Gombrowiczem” Dominika de Roux. Instytut Literacki stale wznawia poszczególne tomy „Dzieł zebranych”, dostosowując się do czytelniczego zapotrzebowania.

Od roku 1978, opierając się na edycjach paryskich, niezależne wydawnictwa w Polsce opublikowały całość gombrowiczowskiej spuścizny (niektóre utwory ukazały się kilkakrotnie).

W oficjalnych wydawnictwach PRL utwory Gombrowicza publikowane były w latach 1956-1958 (ukazały się wówczas: „Ferdynand”, „Trans-Atlanty”, „Ślub”, „Iwona, księżniczka Burgunda” oraz zbiór opowiadań pt. „Bakakaj”). W okresie tym wydawało się, że i inne utwory pisarza (w tym „Dziennik”), szybko ukażą się w krajowych wydawnictwach. Niestety stało się inaczej. Znaką nastawienie „czynników oficjalnych” do swojej osoby, bezpardonowo atakowany przez krajową prasę, Witold Gombrowicz w swej ostatniej woli, którą przekazał żonie Ricie, a o której poinformował również kilka innych osób (J. Giedroyc, Marię i Bogdana Paczowskich, Konstantego A. Jeleńskiego), zastrzegł, że ewentualne wydanie jego utworów w Polsce ma mieć charakter integralny (a zatem ukażą się wszystkie utwory, w tym „Dziennik”, bez ingerencji cenzury). To życzenie pisarza nie znalazło się w formalnym testamentie, czyniącym spadkobierczynią majątku Gombrowicza jego żonę, Ritę.

Pertraktacje o wydanie dzieł Gombrowicza w Polsce prowadzi od połowy lat siedemdziesiątych dyrektor WL, Adam Kurz. Właściciele praw autorskich, R. Gombrowiczowa i J. Giedroyc, uważali jednak, że brak jest dostatecznych gwarancji, by spełniona została ostatnia wola autora „Ferdynanda”. Dopiero powstanie „Solidarności” stworzyło szansę wydania utworów Gombrowicza zgodnie z życzeniem Autora. Jesienią 1981 roku spisano po francusku, na firmowym papierze Instytutu Literackiego, umowę wydawniczą, którą przytaczam poniżej za paryską *Kulturą* (grudzień 1985). O okolicznościach opublikowania tej umowy będzie jeszcze mowa.

KONTRAKT

między niżej podpisanymi

Wydawnictwem Literackim, ul. Długa 1, 31-147 Kraków, Polska (określonym niżej jako „Wydawca”), z jednej strony

oraz

Institut Littéraire, 91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte, Francja (określonym poniżej jako „Właściciel”), z drugiej strony.

Postanowiono co następuje:

§ 1

Właściciel odstępuje Wydawcy wyłączne prawo wydania „Dzieł zebranych” („*Euvres Complètes*”) Witolda Gombrowicza. (Tu następuje wyliczenie dzieł, z tym że na pierwszym miejscu figurują trzy tomy „Dziennika”).

§ 2

Dotyczy wysokości praw autorskich od arkusza prozy i wiersza poezji lub prozy poetyckiej „za jedyny nakład 20.000 egzemplarzy”.

§ 3

Dotyczy terminów wpłaty owych honorariów na konto p. Rity Gombrowiczowej w ZAIKS-ie w złotych polskich bez prawa przekazania ich za granicę (chodzi o sumę globalną 702.752 zł).

§ 4

Wydawca zobowiązuje się do wprowadzenia w obieg księgarski („*mise en vente*”) „Dzieł zebranych” przed upływem 24 miesięcy od podpisania niniejszego kontraktu. Trzy tomy „Dziennika” muszą się ukazać przed innymi tytułami.

§ 5

Wydawca zobowiązuje się do wydania tekstu integralnego dzieł. Wydawca gwarantuje Właścicielowi wgląd do korekt i podpisanie ostatecznej korekty („*assurance au Propriétaire la possibilité de corrections et la signature des épreuves définitives*”). W razie gdyby — z jakichkolwiek przyczyn — nie można było wydać „Dzieł zebranych” w tekście integralnym (a dotyczy to wszystkich dzieł), kontrakt zostanie automatycznie unieważniony i wszystkie prawa przywrócone Autorowi.

§ 6

Wydawca prześle bezpłatnie Właścicielowi 25 egzemplarzy „Dzieł zebranych”.

§ 7

Wydawca zobowiązuje się do zamieszczenia — w każdym tomie dzieł — następującej notatki dotyczącej copyrightu:

© Copyright by Institut Littéraire, Paris.

§ 8

Wydawca nie ma prawa odstąpić żadnemu innemu wydawnictwu praw i zobowiązań wynikających z tego kontraktu.

§ 9

Wszystkie klauzule przewidziane w tym kontrakcie będą podlegały, w razie sporu między obiema stronami, arbitrażowi trybunału w siedzibie strony oskarżonej o ich pogwałcenie, to jest w Krakowie lub w Paryżu.

§ 10

W razie gdyby drugie wydanie „Dzieł zebranych” nie ukazało się w przeciągu roku po wydaniu pierwszego nakładu, wszystkie prawa ich wydania w języku polskim zostaną przywrócone Institut Littéraire w Paryżu.

§ 11

Niniejszy kontrakt został sporządzony w czterech egzemplarzach, z których dwa dla Właściciela i dwa dla Wydawcy.

Podpisano 12 listopada 1981

WŁAŚCICIEL
(podpis) Rita GOMBROWICZ
INSTITUT LITTÉRAIRE (pieczęć)
(podpis) Jerzy GIEDROYC

WYDAWCA
WYDAWNICTWO LITERACKIE
(pieczęć)
(podpis) Andrzej KURZ

W miesiąc po podpisaniu umowy wprowadzono w Polsce stan wojenny. Sytuacja zmieniła się radykalnie. Ponieważ jednak wydawano wiele książek, które zostały skierowane do druku w okresie „Solidarności”, istniała również szansa na ukazanie się dzieł Gombrowicza. Minął jednak rok 1983 (termin wydania przewidziany w umowie), a o edycji utworów autora „Ferdydurke” rozmawiano powołując się jedynie na plotki. Kurz, udzielając wywiadu M. Chrzanowskiemu („Kultura”, Warszawa, nr 20 z 16 października 1985), w którym zapowiedział ocenzurowanie gombrowiczowskiego „Dziennika” oraz udzielił kilku kłamliwych informacji dotyczących warunków zawartych w umowie (m.in. twierdził, że nakład 20.000 egzemplarzy został wymuszony umową z Ritą Gombrowiczą, podczas gdy w rzeczywistości WL chciało ograniczyć nakład do 10.000 egzemplarzy i zgodziło się na jego podwojenie ulegając żądaniom p. Gombrowiczowej i J. Giedroycia, o którym jako sygnatariuszu umowy dyr. Kurz „zapomniał”). We wspomnianym wywiadzie szef WL używał zamiennie pojęć „testament” i „ostatnia wola” (na określenie ostatniej woli Gombrowicza) wprowadzając celowo w błąd czytelników z zamiarem usprawiedliwienia poczynań WL jawnie łamiącego postanowienia umowy wydawniczej. Dyrektora Kurza wspierała w działalności dezinformacyjnej warszawska *Polityka*, publikując oficjalny testament Gombrowicza, w którym, rzecz jasna, nie

ma ani słowa o wydaniu utworów literackich pisarza w Polsce (*Polityka* z 2 listopada 1985). Wywiady A. Kurza wyraźnie nadwyrężyły cierpliwość Jerzego Giedroycia, który, pod nieobecność R. Gombrowiczowej, zwrócił się do K. A. Jeleńskiego o zareagowanie na łamach paryskiej *Kultury* na kłamliwe informacje udzielane przez dyrektora WL (K. A. Jeleński, „PRL-owskie reguły 'Gry o Gombrowicza'”; tam także tekst umowy wydawniczej, *Kultura*, Paryż, grudzień 1985 — szereg informacji podanych powyżej pochodzi z tego właśnie artykułu). Po riposcie Jeleńskiego w prasie krajowej zaległa cisza — jesienią 1986 zaczęto rozprządzać „Dzieła” w sieci księgarskiej.

Krakowskie wydanie zawiera następujące utwory Witolda Gombrowicza: „Bakakaj” (Opowiadania, t. I), „Ferdydurke” (t. II), „Trans-Atlantyk” (t. III), „Pornografię” (t. IV), „Kosmos” (t. V), „Dramaty” („Iwonę, księżniczkę Burgunda”, „Ślub”, „Operetkę”, t. VI), „Dziennik 1953-1956” (wraz z Uzupełnieniem: „Sienkiewicz”, „Przeciw poetom”, t. VII), „Dziennik 1957-1961” (t. VIII) i „Dziennik 1961-1966” (t. IX).

Edycja krakowska powtarza, w innej kolejności, paryskie wydanie „Dzieł zebranych”, z wyjątkiem „Wspomnień polskich. Wędrowek po Argentynie” (t. XI) i „Variów” (t. X). Każdy tom opatrzone jest notą wydawniczą oraz notami edytorskimi odnotowującymi ważniejsze zmiany w tekście poszczególnych utworów. Do śmierci Gombrowicza jego utwory miały po polsku najwyżej dwa wydania — mimo to znaczna jest ilość autorskich poprawek wprowadzonych do wznowień. Wydanie krakowskie konsekwentnie opiera się na ostatnich wydaniach książkowych opublikowanych za życia Autora (wyjątkiem są dwa ostatnie rozdziały III tomu „Dziennika” ogłoszone przed śmiercią Gombrowicza w *Kulturze* — zostały już one włączone do paryskiego wydania „Dzieł zebranych”). Na życzenie R. Gombrowiczowej WL uzupełniło I tom „Dziennika” fragmentem opublikowanym dotąd jedynie w przekładzie francuskim (*Journal 1953-1956*, Paris 1964; Juliard, „Les Lettres Nouvelles”).

Noty edytorskie uzupełniają wstępy, jakimi Gombrowicz opatrzył kolejne wydania swoich utworów (interesująca jest zwłaszcza przedmowa do „Pamiętnika z okresu dojrzewania”, która zachowała się w niewielu egzemplarzach wydania z 1933 roku, w pozostałej części nakładu została na życzenie Gombrowicza usunięta).

W wydaniu krakowskim, wbrew umowie wydawniczej, ocenowano trzy tomy „Dziennika”. O ingerencjach informuje tekst „Od Wydawcy”, podający przyczyny ich wprowadzenia („w związku z obowiązującym ustawodawstwem”), określający rozmiary skreśleń i sposób, w jaki je zaznaczono (kwadratowy nawias z trzema kropkami; nie starczyło Wydawnictwu odwagi na zazna-

czenie cięć w pełnej formie, jaką stosują jedynie prasa i wydawnictwa katolickie).

Poniżej podaję opuszczone teksty umieszczając przed cytatem pominiętego fragmentu stronę i wiersz wydania paryskiego (na pierwszym miejscu), oraz stronę i wiersz wydania krakowskiego (na miejscu drugim).

„Dziennik 1953-1956”:

— str. 25, 1 wiersz od dołu / str. 27, 14 wiersz od góry — powinno być; w krajach podbitych;

— str. 29, 15 wiersz od góry / str. 31, 14 wiersz od góry — powinno być: z Sowietami;

— str. 79, 12 wiersz od góry / str. 92, 13 wiersz od dołu — powinno być: który wzniesie się, kiedy runie panowanie Moskwy nad narodami;

— str. 112, 10 wiersz od góry / str. 134, 3 wiersz od góry — powinno być: Czy mam jej szukać w Rosji Sowieckiej, która dotąd nie może się wyżywić bez pracy niewolników;

— str. 250, 16 wiersz od góry / str. 302, 3 wiersz od góry — powinno być: Mówiąc chłodno: cóż to jest ból dziesięciu milionów niewolników czy też stumilionowa trupiarnia?;

— str. 255, 4 wiersz od dołu / str. 308, 3 wiersz od dołu — powinno być: — w Rosji i w Polsce —;

— str. 269, 18 wiersz od góry / str. 326, 2 wiersz od góry — powinno być: podkadzali nim swoje wyzwolenie w nowym, stalinowskim reżymie (zapominając o dymach Kołomy);

„Dziennik 1957-1961”:

— str. 93, 6 wiersz od góry / str. 107, 12 wiersz od góry — powinno być: kremliański;

— str. 144, 13 wiersz od góry / str. 169, 6 wiersz od góry — powinno być: przekonany, że wymieni obozy koncentracyjne, zduszenie Węgier, lub zdemaskowanie Stalina.;

— str. 146, 4 wiersz od góry / str. 171, 9 wiersz od góry — powinno być: dopiero gdy podczas rewolucji węgierskiej bezstronność, sprawiedliwość i szlachetny antyimperializm p. Barletty skłoniły go do kategorycznego opowiedzenia się po stronie tanków rosyjskich, straciłem resztki zaufania.;

— str. 174, 20 wiersz od góry / str. 206, 2 wiersz od góry — powinno być: Pobratać się z Kremlem i odepchnąć najdroższe skarby własne — tego się od was wymaga!;

„Dziennik 1961-1966”:

— str. 157, 7 wiersz od góry / str. 184, 16 wiersz od góry — powinno być: dalej głusza, jakby już nie miasto, a obszar tylko, gigantyczny, aż po Chiny.

Wszystkie zaznaczone ingerencje dotyczą pośrednio lub bezpośrednio Rosji Sowieckiej. Paradoksem jest, że ich wprowadzenie niewiele zmienia wymowę „Dziennika” — każde ocenzurowanie jest okaleczeniem utworu, w tym jednak wypadku tekst, nie będąc integralnym, jest równie wymowny. Usunięcie uwag i wzmianek o Rosji Sowieckiej w niczym nie zmienia antykomunistycznego znaczenia indywidualistycznej postawy i sposobu myślenia, jakim dał wyraz Gombrowicz. Efekty pracy cenzora i kręctwa usprawiedliwiającego jego praktyki dyrektora A. Kurza wyglądają w tej sytuacji jak walka z wiatrakami, jak usilne tworzenie pozorów, mających uzasadnić istnienie ideologicznej kontroli nad polityką wydawniczą.

Oficjalne opublikowanie w kraju „Dzieł” Gombrowicza jest niewątpliwie zjawiskiem pozytywnym. Kształt wydania, poza ingerencjami cenzury i tekstem „Od wydawcy”, nie wzbudza zastrzeżeń — jest to zasługa redaktora naukowego prof. Jana Błońskiego, autora not wydawniczych dr Jerzego Jarzębskiego oraz zespołu, który opracował noty edytorskie. Nieuchronnie pojawia się jednak pytanie o to, kiedy i gdzie ukażą się dzieła Gombrowicza zawierające wszystkie utwory z wydania paryskiego, nieopublikowane fragmenty „Dziennika”, listy oraz utwory rozproszone i inedita. Na takie wydanie przyjdzie jeszcze poczekać.

Wydawnictwo Literackie publikując „Dzieła” ustaliło cenę mieszczącą się w najwyższych sferach cen umownych. Biorąc pod uwagę koszty wydania można oszacować, że na każdym komplecie Wydawnictwo zarobiło 4 do 5 tysięcy złotych. Gdyby z tego zysku miało być sfinansowane następne wydanie utworów Gombrowicza, nie miałbym nic przeciwko temu — wygląda jednak, że jest to cena-bariera, mająca zniechęcić wielu potencjalnych nabywców „Dzieł”.

Na zakończenie drobne spostrzeżenie. W notach wydawniczych i edytorskich ich autorzy wielokrotnie powołują się na *Kulturę*, traktując PIW czy Czytelnika tak jak paryski Instytut Literacki. Z sympatią odnotowując ten przykład dobrych, galicyjskich manier z niecierpliwością oczekuję, kiedy staną się one właściwe komunistycznej prasie i wydawnictwom w PRL.

Fryderyk FERDYDURKE

POLSKA PARTIA NIEPODLEGŁOŚCIOWA (PPN)

Rozpoczęcie działalności PPN ogłoszono w dniu 22 stycznia 1985 roku w Warszawie. Był to rezultat analizy niedawnej przeszłości dokonanej przez grono działaczy niepodległościowych wywodzących się głównie z Konfederacji Polski Niepodległej i NSZZ „Solidarność”. Grupa ta uważała, że po 13 grudnia 1981 roku ustały warunki dla skutecznej działalności politycznej, prowadzonej jawnie w ramach porządku prawnego PRL. Okazało się, że władze komunistyczne nie tylko nie chcą przestrzegać praw człowieka, ale gwałcą nawet własne prawo, gdy jest im ono nie na rękę. Uznano, że o ile jawna działalność związkowa lub samokształceniowa jest nadal celowa, o tyle działalność polityczna może być prowadzona tylko w konspiracji.

1. *Cel PPN.* Zbudowanie niepodległego i demokratycznego państwa polskiego w ramach zjednoczonej Europy, sojusznictwo wobec USA.

2. *Warunki realizacji.* Załamanie się systemu komunistycznego, destrukcja aparatu władzy, zwłascza milicji i wojska, oraz ograniczenie możliwości interwencyjnych ZSSR w Polsce (może to nastąpić przy kontynuacji obecnej polityki Gorbaczowa w Sowietach).

3. *Założenia ideowe.* PPN określa siebie jako „nową prawicę polską”. Odrzuca proste nawiązywanie do prawicy historycznej — rozwój myśli prawicowej został przerwany przez komunistów. Ideowo nawiązuje do myśli politycznej prawicy demokratycznej wolnego świata (republikanie w USA, konserwatyści w Wielkiej Brytanii) i dorobku ideowego obozu politycznego J. Piłsudskiego.

4. *Metoda działania.* W PRL zorganizowanie ludzi doświadczonych i sprawdzonych w walce z komunizmem, posiadających autorytet społeczny i zdolnych pokierować protestem społecznym. Aktualnie głównie działalność organizatorska o charakterze wewnętrznym. Po umocnieniu struktury działalności propagandowa i uświadamianie społeczeństwa. Przygotowanie struktury zdolnej usunąć komunizm w sprzyjających warunkach.

5. *Czas realizacji.* Działalność jest planowana długofalowo ze stopniową realizacją programu politycznego (program polityczny zawiera opracowanie „Zarys myśli programowej nowej prawicy polskiej” wyd. 1986 r.). Obecnie PPN uczestniczy w procesie wznawiania działalności NSZZ „Solidarność” np. w powołanej Grupie Roboczej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Jest też aktywnym uczestnikiem w Porozumieniu Partii i Organizacji Niepodległościowych (PPiON), jednoczącym działalność konspiracji niepodległościowej.

6. *Stan organizacji.* Na czele PPN stoi Rada Naczelna (28 osób) oraz podporządkowane jej kierownictwo organizacyjne — Centralna Komisja Wykonawcza (5 osób). Skład władz PPN jest utrzymywany w tajemnicy. Jedy-nym znanym oficjalnie członkiem Rady Naczelnej jest Tadeusz Jandziszak, pełnomocnik RN zamieszkały od października 1986 roku w Kanadzie w Toronto.

Na terenie PRL działają okręgi PPN w liczbie 7 (dwa kolejne w trakcie organizowania) i w ich ramach rejony PPN (aktualny stan 21).

SKŁAD GRUPY ROBOCZEJ KOMISJI KRAJOWEJ „SOLIDARNOŚĆ” (STAN KWIECIEŃ 1987 ROKU)

1. Wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność”,
2. Członek Prezydium Komisji Krajowej „Solidarności”,

3. Członek Komisji Krajowej „Solidarności”,
4. Przewodniczący Zarządu Regionu „Solidarności”,
5. Wiceprzewodniczący Zarządu Regionu „Solidarności”,
6. Działacz terenowy „Solidarności”.

Teresa Baranowska, Katowice 6. Jan Chmielewski, Płock 6. Grzegorz Durski, Szczecin 6. Lech Dymarski, Poznań 3. 6. Marek Gabrys, Gliwice 6. Seweryn Jaworski, Warszawa 3. 5. 6. Marian Jurczyk, Szczecin 2. 3. 4. 6. Zbigniew Kokot, Częstochowa 3. 4. 6. Zbigniew Kopystyński, Wrocław, — 5. 6. Jerzy Kropiwnicki, Łódź 3. 5. 6. Bolesław Lachowicz, Leszno 5. 6. Eugeniusz Matyjas, Leszno 3. 4. 6. Zbigniew Mroziński, Piotrków Trybunalski 4. 6. Grzegorz Palka, Łódź 2. 3. 6. Grażyna Przybylska-Wendt, Płock 2. 3. 6. Andrzej Rozpłochowski, Katowice 3. 4. 6. Andrzej Słowik, Łódź 2. 3. 4. 6. Romuald Szeremietiew, Leszno 6. Stanisław Wądołowski, Szczecin 1. 2. 3. 6. Józef Zajkowski, Mysłowice 6.

SKŁAD POROZUMIENIA PARTII I ORGANIZACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH (STAN MAJ 1987 ROKU)

- I. Grupa Pisma Samostanowienie (GPS),
- II. Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość” (LDP „N”),
- III. Organizacja „Wolność — Sprawiedliwość — Niepodległość” (WSN),
- IV. Polska Partia Niepodległościowa (PPN),
- V. Ruch Polityczny „Wyzwolenie” (RPW).

Na czele PPiON stoi Komitet Koordynacyjny złożony z reprezentantów tych ugrupowań. Przewodniczącym Komitetu jest działacz z RPW.

OKRĘGI I REJONY PPN (STAN KONIEC MAJA 1987 ROKU)

I. Dolny Śląsk — Wrocław, II. Górny Śląsk — Katowice, III. Mazowsze — Warszawa, IV. Łódzki, V. Zachodnio-Pomorski — Szczecin, VI. Wielkopolski — Poznań, VII. Lubelski.

1. Warszawa, 2. Siedlce, 3. Ostrołęka, 4. Wrocław, 5. Lublin - Głogów, 6. Leszno, 7. Jelenia Góra, 8. Płock, 9. Łódź, 10. Katowice, 11. Gliwice, 12. Mysłowice, 13. Zabrze, 14. Piotrków Trybunalski, 15. Częstochowa, 16. Jastrzębie, 17. Konin, 18. Szczecin, 19. Zamość, 20. Lublin, 21. Gorzów.



LEKARSTWA BONY DOLAROWE

dewizowe konta bankowe A

HASKOBA Ltd

81 Cromwell Road, London SW7 5BP

Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

O religii bez namaszczenia

Widzieć zło tam, gdzie ono jest...

Sprawa Waldheima przyjęła zły obrót. Warto na nią spojrzeć z szerszej perspektywy.

Gdybym był Austriakiem, nie byłbym na niego głosował. Jego wyczyny z czasów, kiedy jako generalny sekretarz ONZ dość żywo popierał interesy Związku Sowieckiego wystarczyłyby mi, by nie mieć doń zaufania. Oto jednak w chwili, kiedy wystawił swą kandydaturę na prezydenta Austrii oskarżono go o ukrywanie swej wojennej przeszłości. Jest możliwe, że na Wschodzie istnieją dokumenty na temat owej przeszłości, co tłumaczyłoby, dlaczego Sowieci, trzymając być może Waldheima w rękę, tak go dziś bronią. Pewne jest, że służył jako lejttnant w Jugosławii. Odmowa służby w Wehrmachcie wymagała wielkiego bohaterstwa, którego nikt nie wymaga od obywateli Rzeszy z pokolenia Waldheima. Oskarża go się o zbrodnie. On im zaprzecza. Dopóki nie przedstawimy nieodpartych dowodów, nie wolno go uznać za winnego. Podejrzenia i poszlaki nie równają się w żadnym przypadku wynikom śledztwa, przeprowadzonego zgodnie z zasadami prawa lub przynajmniej zgodnie z wymogami poważnych badań historycznych.

Nie ma więc żadnego powodu, by zarzucać papieżowi, iż przyjął demokratycznie wybranego prezydenta Austrii, „starego i szlachetnego katolickiego państwa, od wieków związanego serdecznymi więzami z Siedzibą Apostolską”. Protesty przez nikogo nie mandatowanych gazet i organizacji były do przewidzenia, natomiast fakt, że do kampanii tej włączyły się oficjalne osobistości rządowe i wyznaniowe świadczy o lekkomyślności lub słabości. Ze strony prymasa Francji jest to dowód nieostrożności: rozważa nakazuje słuchać rozumu, nie serca.

Papież przyjmował dyktatorów jak Pinochet, terrorystów jak Arafat, przywódców totalitarnych państw jak Gromyko i Jaru-

zelski, nie wzbudzając reakcji aż hierarchii katolickiej. Rzecz w tym — słyszymy — że Waldheim „jest symbolem strasznej przeszłości”.

Z tym bądźmy ostrożni. Zło nie skupia się w jednym punkcie przeszłości. Przewija się przez całą historię. Zło hitleryzmu jest odmianą gatunku, jakim jest totalitaryzm, ta specjalność XX wieku.

Zło totalitaryzmu polega na tym, że chce on zaprowadzić dobro na świecie poprzez eliminację grup ludzi ucieleśniających zło. Doktryna (komunistyczna lub hitlerowska) ustala, jakich to ludzi należy wyeliminować — to znaczy zabić — aby zaprowadzić raz na zawsze dobry ład społeczny. Zbrodni przeciw ludzkości dokonuje się w imię i dla dobra ludzkości.

Na tym właśnie polega — mimo różnicy projektów — strukturalne pokrewieństwo komunizmu z hitleryzmem i dlatego wielu historyków XX wieku traktuje hitleryzm jako rodzaj monstrualnego zakalca w monstrualnym cieście. Tak przynajmniej widzi sprawę Wasilij Grossman w swej wydanej pośmiertnie powieści „Życie i los”.

Zanim Hitler doszedł do władzy, reżym sowiecki wymordował miliony ludzi. To od ZSSR Hitler zapożyczył swe dwa najbardziej zabójcze instrumenty, policję polityczną i obozy koncentracyjne. Po porażce Hitlera ginęły dalsze miliony ludzi, i doprawdy nie sposób powiedzieć, czy ginęły w sposób bardziej czy mniej straszny. W ZSSR, w Chinach, w Wietnamie, w Kambodży... Owszem, Oświęcim nie jest z niczym porównywalny. Ale nieporównywalne są też Kołyma i Phnom Penh. Żadnego z tych miejsc nie można do końca ogarnąć umysłem, przynajmniej w kategoriach świeckich. Wszystkie też mają ze sobą coś wspólnego.

Co zatem znaczy przypisywanie hitleryzmowi zła absolutnego, wobec którego każde inne miałoby być względne i w jakiejś mierze wybacalne? (...)

Alain BESANÇON

L'Express z 3-9 lipca 1987

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYS)

Wolność świeckich

Związek społeczeństwa z Kościołem był w Polsce zawsze bardzo silny. Podłoże tego związku miało i ma charakter religijny, ale nie tylko. Tragiczne losy narodu polskiego ostatnich kilkuset lat spowodowały szczególnie, bo poza religijnym także polityczny, charakter tego związku. Ciosy, które z rąk najpierw zaborców, potem

okupanta, a w końcu rosyjskich, ale także rodzimych — będących u władzy — komunistów były wymierzone w społeczeństwo, ale spadały w równej mierze na Kościół polski. Wytworzyło to swoisty stosunek społeczeństwa polskiego do swojego Kościoła, wykraczający poza aspekty ściśle religijne. Kościół nadto stanowił przykład, gdyż z rozmaitych ciężkich represji wychodził cało, a często nawet wzmocniony, co społeczeństwu raczej się nie udawało. Wznagało to i wzmagą dodatkowy podziw dla Kościoła, który zwycięża nie tylko duchowo, ale także w sensie materialno-organizacyjnym, co społeczeństwu polskiemu ze zrozumiałych względów musi imponować. Wspomniany rozwój historyczny, w którym w powodzi klęsk społeczeństwa Kościół potrafił zachować swoją niezależność (jeśli nie liczyć pewnych taktycznych ustępstw), doprowadził do powstania tego, nie zawsze przez obie strony do końca uświadomionego związku. Zależne społeczeństwo siłą rzeczy lgnęło do instytucji niezależnej, posiadającej status, o którym marzy i do którego dąży społeczeństwo, a więc do wolności, i wzmacniało Kościół, traktując wzrost jego siły — nie bez pewnej racji — jako wzrost swojej niezależności. Niezależność Kościoła posiada jednak zinstytucjonalizowane formy, natomiast niezależność społeczeństwa tego nie posiada, a wyraża się tylko w formach religijnych. To rozróżnienie form zinstytucjonalizowanej niezależności od form niezależności religijnej jest u znacznej części społeczeństwa nieuświadomione, w rezultacie czego ludzie ci niezależność Kościoła biorą zbyt dosłownie za swoją niezależność. Tym m.in. można tłumaczyć niektóre zachowania niereligijne mające miejsce przy okazji uroczystości kościelnych. Nie powinno to być całkiem niezrozumiałe. Przecież nawet, a może szczególnie, wizyty Ojca Świętego poza charakterem religijnym mają swój polityczny wymiar i wydźwięk — jeśli ktoś tego nie rozumie, to niczego nie rozumie!

Wiele mówiono i pisano na temat odrębności polityki Kościoła od polityki w rozumieniu powszechnym itd. Można jednak wątpić, czy znajomości i zrozumienia tych wszystkich różnic można wymagać od przeciętnego zjadacza chleba, czy można wymagać tego, by uwzględniał to w swoim postępowaniu, w swojej uzewnętrznionej postawie. Kościół jest miejscem, gdzie „wszyscy jesteśmy wolni”. Czy świeccy są winni, pojmując wolność w wymiarze szerszym niż religijny?

W latach 1980-1981 Kościół dobrowolnie, w sposób nieprzymuszony złożył deklarację zobowiązań wobec społeczeństwa, utwierdzając je w jego prawach, w słuszności jego dążeń. Nie były to tylko słowne deklaracje. Księża uczestniczyli w strajkach, organizując tam nabożeństwa, dostojnicy Kościoła brali udział w posiedzeniach najwyższych struktur „Solidarności”. Księża poświęcali krzyże w szkołach i w fabrykach. Chwała im za to wszystko. Podobne stanowisko zajmował Kościół również w pierwszych miesiącach stanu wojennego, kiedy to — powiedzmy sobie szczerze — ani Kościół, ani władze nie wiedziały jeszcze, jak to się skończy. Dopiero później znaleźli się tacy, którzy zarozumiale twierdzą, że wszystko przewidywali i wiedzieli. W miarę upływu na-

stępnym miesiącu i lat stosunek Kościoła do społeczeństwa zaczął ulegać zmianie w miarę — być może powierzchownego, ale zauważalnego strukturalnie — wzmocnienia władzy. Mówiąc „Kościół” cały czas dokonujemy daleko idącego i upraszczającego uogólnienia, bo przecież poglądy w poszczególnych strukturach kościelnych nie są jednolite. Równe, nie ulegające ciągłym wahaniom i fluktuacjom, a zarazem najbliższe społeczeństwu, jest stanowisko Papieża. Poglądy Prymasa Polski i części Episkopatu są już inne. Wśród szeregowych księży są tacy, którzy zachowują nieugiętą postawę prospołeczną i to mimo narażania się nie tylko władzom państwowym, ale i swoim kościelnym. Są wśród nich również tacy, którzy na słowo „polityka” czynią znak krzyża wymawiając w myśli, a czasem głośno *apage satanas*. Nie widzą oni i nie rozumieją tego charakterystycznego dla warunków polskich przenikania się religii z polityką. Spośród nich rekrutują się ci, co nie są w stanie zrozumieć nastrojów społecznych, przyczyn tego właśnie specyficznego związku społeczeństwa z Kościołem. Nie widzą oni i nie rozumieją — mimo tylu już nauk papieskich — tego duchowego rozdarcia społecznego, tego dylematu polegającego na tym, czy zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo, a także jakiś tam dobrobyt, rezygnując z prawdy i dążeń do wolności. Wielu też nie rozumie tego, że dla jednych ludzi trwanie w oporze ogranicza się do wewnętrznej świadomości, a dla innych musi przybierać formy uzewnętrznione. Trzeba zresztą mocno podkreślić, że te uzewnętrznione formy oporu mają w naszym kraju niezwykle wprost łagodną postać.

Z potyczek ostatnich lat Kościół wyszedł silnie wzmocniony i to pod każdym względem, także — nie ma co ukrywać — pod względem założeń samych duchownych. Ze społeczeństwem stało się dokładnie odwrotnie. Jest to odczuwane tym silniej, że skala wolności osób duchownych to nieco inna skala, niż ta, która dotyczy świeckich. Mówiąc skrótowo, dla księży przyszłość to inni księża, przyszłość dla świeckich to przyszłość ich dzieci i wnuków. Warto sobie to uświadomić.

Wielu księży sprzeciwia się zakładaniu wspólnot parafialnych albo nadaje im niezwykle formalny, zniechęcający ludzi charakter*. Przykładów postępowania duchownych, a nawet dostojników Kościoła sprzecznych z postanowieniami II Soboru czy wskazaniami Papieża można podać więcej. Formy dystansowania się Kościoła od społeczeństwa przybierają w Polsce coraz silniejszy charakter. Jest to szczególnie silnie odczuwane przez tych, co mają w pamięci lata 1980-1981. Sam Papież bez wsparcia ze strony krajowego duchowieństwa będzie miał trudności w podtrzymaniu ducha społeczeństwa w tych ciężkich czasach — w czasach grożącej nam atomizacji i wzrostu poczucia osamotnienia i bezradności.

M. JARZYŃSKI

Paragraf, nr 24-25 z 18 czerwca 1987

* Ci sami albo jeszcze inni odmawiają odprawienia Mszy w intencji zbrojnej, ale takiej, o której władza powiedziała, że ma polityczny charakter.

O wizycie Papieża *

Jak wiadomo, po rozbiciu legalnej „Solidarności” wiele autentycznych niekontrolowanych przez władze działań społecznych i kulturalnych znalazło azyl w kościołach. Gdyby nie to, Polska byłaby dziś zupełnie innym krajem, w znacznej mierze pustynnym. Coraz wyraźniej w ostatnim okresie narastały obawy, że potężny Kościół szukając nowych otwarć i porozumień z władzą polityczną strąsanie te inicjatywy jako zbędny balast, a przynajmniej ograniczy je i podda ścisłej kurateli. Wiele czynników złożyło się na te lęki. Gazety codziennie donosiły o spotkaniach biskupów nie tylko z przedstawicielami administracji państwowej ale i z pierwszymi sekretarzami lokalnych ogniw partii komunistycznej, by wspólnie omawiać organizację pobytu papieża. Z różnych stron Polski dochodziły wieści, że biskupi zapraszają działaczy „Solidarności”, by domagać się od nich nieobecności ich związku w dniach pielgrzymki Jana Pawła II. Zwrócono się z tym z centrali Kościoła w Polsce, a nie z kurii gdańskiej do Wałęsy, którego oburzył postulat, by podczas wielkiego spotkania z papieżem w Gdańsku nie było transparentów „Solidarności”. Wszystko to ośmielało policję. Lista nie tylko rozmów ostrzegawczych, prowadzonych przez służbę bezpieczeństwa, ale i zatrzymań była znaczna. Brano ludzi i z domów i z ulic, między innymi niewidomego Zygmunta Łemyka w Krakowie, znanego obrońcę politycznego Jana Olszewskiego w Warszawie i innych. Zdarzały się pobicia. Szukano w mieszkaniach transparentów i ulotek, hojnie obdzielano grzywnami po 50 tys. złotych, a jest to przecież dwukrotna płaca miesięczna. Trzeba też pamiętać, że w Polsce prawie cała pensja wydawana jest na żywność i mieszkanie. Jednocześnie zaś wielka pobożność w radio i telewizji — na przykład długa audycja pokazująca sanktuarium maryjne świata. Podjęto też w *Trybunie Ludu* i telewizji obronę papieża przed złymi Niemcami.

Przyjechał Jan Paweł II i obawy pierzchnęły. Mówił o porozumieniach zawartych w roku 1980 i 1981 przez robotników i chłopów z rządem. Najpierw do ponad miliona chłopów w Tarnowie o porozumieniach w Ustrzykach i Rzeszowie, zawartych przez Solidarność Rolników Indywidualnych z rządem, później do tłumów w Szczecinie o porozumieniach szczecińskich w sierpniu 1980 roku Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z rządem. Na koniec w Gdańsku o słynnym porozumieniu z 31 sierpnia 1980 roku, jako programie wciąż aktualnym, bo nie spełnionym. Mówił o niezależnych samorządnych związkach zawodowych i słowie-idei Solidarność, które wyszło z Gdańska na Polskę i na świat.

* Tekst przekazany do BBC.

W kościele św. Krzyża w Warszawie mówił na spotkaniu z artystami, uczonymi i pisarzami o przestrzeni wolności w kościołach, która musi być utrzymana. Mówił o ks. Jerzym Popiełuszcze, ukląkł przy jego grobie, ucałował krzyż nagrobny, pobłogosławił jego rodziców. Były to gesty wpisujące pielgrzymkę w ten system mityczno-symboliczny, którego jednym z najważniejszych elementów jest cześć oddawana przez wiernych ks. Jerzemu Popiełuszcze, jako świętemu męczennikowi za wiarę i „Solidarność”.

Widziałem ponad milionowe tłumy w dzielnicy Zaspa w Gdańsku, skandujące „Solidarność”, „Solidarność” na tle ponad setki transparentów, z których każdy przemycany był z trudem przez milicyjne kordony. Na moich oczach gromada młodych robotników ze stoczni, w koszulkach z napisem „Solidarność” montowała z krótkich deseczek pomysłowo skonstruowane drążki do transparentów. Jan Paweł II podjął dialog z tłumami. To zdumiewające, jak ten człowiek to umie, jak czuje i rozumie gdy mówi się do niego. Padły wówczas słowa: „Mówię za was” przyjęte z gorącym aplauzem. Na to spotkanie papieża z ludźmi pracy ośrodki „Solidarności” przygotowywały się od dawna. Toteż obok transparentów z Wrocławia czy Warszawy można było zobaczyć transparenty z tak niedużego miasta jak Konin i tym podobnych. W Szczecinie i na Westerplatte w Gdańsku zwracały uwagę wielkie transparenty pacyfistycznego ruchu młodzieżowego „Wolność i Pokój”. Radio i telewizja miały tego dnia lukę w transmitowaniu podróży papieskiej. Nic dziwnego. Z góry było wiadome, że tego dnia nie pomogą żadne manipulacje kamerami ani miksowanie dźwięku. Po mszy Gdańsk oglądał demonstrację „Solidarności” na ulicach. Tłumy pod dziesiątkami transparentów, skandowanie haseł „Solidarność”, „Lech Wałęsa”, „Papież z nami”. Czoło demonstracji zostało odcięte w drodze do śródmieścia i okrażone przez Zomo, które uderzyło na siedzących i klęczących demonstrantów odmawiających „Zdrowaś Maria”.

Manifestację, która ma cele pokojowe, jest nieuzbrojona, nie trudno rozbicić. Koncentracja sił milicyjnych była tak wielka, ilość wozów milicyjnych tak szokująca, naliczyłem ponad setkę, że nasuwała się myśl: jesteśmy krajem bogatym, przynajmniej w milicję i jej sprzęt, bo nie w szpitalu.

(...) Pytanie, czy ta demonstracja w ogóle była potrzebna, ale zadecydowała o niej przede wszystkim wielka ludzka potrzeba ekspresji od dawna hamowana. Hamowana była nawet w dniach podróży papieskiej przez kościelnych organizatorów uroczystości. Koncepcją podstawową było bowiem niepozostawienie ani półminutowej luki między nabożnymi, bardzo głośno nadawanymi pieśniami, niedanie też szans wyboru pieśni. W razie potrzeby uruchamiano ogromnej siły nagłaśniającą muzykę do zagłuszenia skandujących tłumów, jak zrobiono na przykład na Zaspie w Gdańsku podczas powitania Jana Pawła II. To przereżyserowanie, wynikłe z lęku o niewłaściwy charakter manifestacji, odebrało wiele autentyczności spotkaniom, a ludziom wiele z ich podmiotowości, którą przecież Jan Paweł II uczynił jednym z centralnych motywów swego nauczania podczas pielgrzymki.

Gorzej niż ta reżyseria dźwięku wypadła organizacja ruchu tłumów, spieszących na msze i spotkania. Dość powszechna jest opinia, że sprawność w tym zakresie zmniejszyła się a nie zwiększyła od czasu poprzednich wizyt papieża. Co gorzej, pogorszyło się coś ważniejszego. Za poprzednich pobytów zwracała uwagę ogólna życzliwość, wzajemna uprzejmość, gotowość niesienia sobie pomocy lub choćby drobnych przysług, wyrozumiałość. Tym razem nie trudno było natrafić na agresję, kłótnie wybuchały jak w powszedni dzień w zatłoczonym tramwaju. Erozji „Solidarności” postępującej zwolna lecz widocznie — mniej było na przykład na trasach przejazdu papieża rąk czyniących znak V niż dawniej — towarzyszy obecnie erozja solidarności ludzkiej. Szczególnie zauważało się to w Warszawie, gdzie atmosfera była inna niż dawniej. Pamiętamy tłumy dążące za papieżem i ku papieżowi jakby każdy miał w sobie igłę magnetyczną a Jan Paweł II był wielkim magnesem. Tym razem po przyjeździe papieża, ci którzy podążali za nim już wkrótce mijali tłum jeszcze liczniejszy lecz odpływający. Co innego jeszcze zmieniało atmosferę, mianowicie wymieszanie kościelnych służb porządkowych z milicją. Doprowadzało to do sytuacji, które wielu odczuwało jako gorszące. Nawet bierna obecność kościelnej służby porządkowej przy konfiskowaniu transparentów „Solidarności” przez milicję jest bardzo bolesna, szczególnie gdy wie się, że w niektórych kościołach jako jedno z głównych zadań służby porządkowej podawano: ochronę przed pojawianiem się prowokacyjnych transparentów.

Ciężkim przeżyciem, nawet dla człowieka niewierzącego i niepraktykującego jak autor niniejszego artykułu, jest widok księdza w milicyjnym samochodzie obok umundurowanych funkcjonariuszy, intonującego przez nagłaśniacz pieśni nabożne. Zaskakuje sytuacja, gdy ksiądz z plakietą kościelnej służby porządkowej na piersi grozi otoczonej przez milicję grupie, by nie zmuszała do użycia ostrzejszych środków, wyręczając oficera milicji.

To wszystko są impresje, odczucia, obserwacje. Naprawdę ważny natomiast dla przyszłości jest za każdym razem dokument będący przemówieniem Papieża do konferencji Episkopatu. Ten dokument przede wszystkim wytycza kierunek. A oto co najważniejszego powiedział tam Jan Paweł II. Cytat: „Z racji swej misji ewangelicznej i duszpasterskiej Kościół nie może przestać być sługą takich zadań jak podmiotowość społeczeństwa związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Z tym łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa również w zakresie politycznym z wykluczeniem wszelkiej dyskryminacji. Suwerenność państwowa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku etycznego gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie. Gdy społeczeństwo jest w nim autentycznym gospodarzem i twórcą wspólnego dobra”. Koniec cytatu.

To jest drogowskaz zupełnie wyraźny. Już dawno w Polsce nie słyszano z ust wysokiego autorytetu kościelnego takich słów,

a przemówił autorytet najwyższy nie tylko formalnie ale faktycznie dzięki tej spontanicznej aprobachie jaką narody darzą niekiedy swych autentycznych przywódców.

Jan Józef LIPSKI

LORANC W ZSSR JAKO PRZEDSTAWICIEL KOŚCIOŁA

Moskwa. Korespondent PAP Józef Rzeszut informuje: W dniach 7-13 bm. przebywał w Związku Radzieckim, na zaproszenie Rady do Spraw Religii przy Radzie Ministrów ZSRR, minister-kierownik Urzędu do Spraw Wyznań PRL Władysław Loranc, któremu towarzyszył zastępca kierownika Wydziału Społeczno-Prawnego KC PZPR Jerzy Klita.

Tematem spotkań i rozmów z przedstawicielami władz państwowych ZSRR oraz kierownictwa Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego były problemy rozszerzenia kontaktów roboczych i wymiany duchownych między polskimi wspólnotami religijnymi i Rosyjskim Kościołem Prawosławnym, wymiany studentów między Akademią Teologiczną w Leningradzie oraz Akademią Teologii Katolickiej i Chrześcijańską Akademią Teologiczną w Warszawie.

W. Loranc przeprowadził rozmowy w Wydziale Międzynarodowym KC KPZR oraz z przewodniczącym Rady do Spraw Religii Konstantinem Charczewem. K. Charczew poinformował o przebudowie i demokratyzacji społeczeństwa radzieckiego oraz przedstawił pozytywny rozwój stosunków między państwem radzieckim i Rosyjskim Kościołem Prawosławnym.

Polski gość odbył też spotkanie z metropolitą mińsko-białoruskim *Filaretem*, który zapoznał go z przygotowaniami Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego do uroczystości 1000-lecia chrztu Rusi oraz z kontaktami z kościołami katolickim i prawosławnym w Polsce.

Min. Loranc złożył wizytę w Wołokołamsku, gdzie był przyjmowany przez metropolitę *Pitirima*, równocześnie kierownika Wydziału Wydawniczego Patriarchatu Moskwy i całej Rusi.

Podczas pobytu w Leningradzie W. Loranc odbył rozmowy w leningradzkich komitetach obwodowych i miejskim KPZR. Spotkał się z metropolitą leningradzko-nowogrodzkim *Aleksym* i odwiedził tamtejszą akademię teologiczną. W akademii tej uczą się również studenci z Polski.

UWAŻAJĄ MNIE ZA MASONA

Wyrażam moją solidarność z listem 45-ciu i z treścią dyskusji redakcyjnej „Kolporterzy nienawiści” (*Kos* z 20 kwietnia 1987).

W kościele Matki Bożej Częstochowskiej na Solcu odprawiałem przez dwa lata Msze św. za Ojczyznę (1983-1985, do listopada 1984 z kazaniami) i za cichą zgodą jednego z warszawskich biskupów miałem zorganizować i prowadzić duszpasterstwo akademickie. W konsekwencji dekretu Ks. Prymasa (z 24 listopada 1984) i w wyniku postawy proboszcza ks. Adama Tymienieckiego oraz grupy „narodowej” utraciłem te możliwości. Tolerancja Ks. Prymasa ma więc granice. Są ludzie i środowiska, z którymi Ks. Prymas nie chce dialogu. Przy okazji dowiedziałem się, że „narodowcy” z Solca uważają mnie za masona (traktując moją troskę o dzieci poczęte i działalność w obronie życia jako kamuflaż). Bogu dzięki, Kościół nie jest tylko wypadkową ludzkich poczynań — Kościół jest lepszy od ludzi, którzy go współtworzą.

Łączę wyrazy szacunku

Ks. St. MAŁKOWSKI

Warszawa, 13 maja 1987.

KOS nr 119 z 1 czerwca 1987.

video
kontakt

video
kontakt

WYDAWNICTWO KASET VIDEO

Wspomaga niezależne wydawnictwa
Kaset video w Polsce ▷ rozpowszechnia ich kasety za granicą ▷ realizuje filmy oparte na materiałach w kraju nie osiągalnych • przeznacza dochód ze sprzedaży kaset na rozwój kultury niezależnej w Polsce • proponuje filmy o związanej z Polską tematyce politycznej, historycznej, kulturalnej i społecznej • osobom zainteresowanym wysyła My ulotki reklamowe z opisem POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

Sprawy i troski

National Endowment for Democracy

PROGRAM NA 1987 ROK

Free Trade Union Institute — \$ US 412.750 — na pomoc dla niezależnego ruchu związkowego w Polsce. Suma ta jest przekazywana na ręce Biura Zagranicznego „Solidarności” w Brukseli z przeznaczeniem na działalność związkową w Polsce oraz szerzenie na Zachodzie informacji o sytuacji ruchu związkowego w Polsce. Udzielamy także subsydiów nowojorskiemu Komitetowi Pomocy „Solidarności” na tłumaczenie oraz publikację materiałów dotyczących praw robotniczych i ludzkich, ukazujących się w polskiej prasie podziemnej.

Freedom House — subwencja \$ US 110.000 dla dwóch czasopism rozprowadzanych w Europie Wschodniej, kwartalnika politycznego *Aneks* oraz dwutygodnika *Uncensored Poland News Bulletin*, wydawanego w Londynie przez Information Centre for Polish Affairs. Dokumenty oraz informacje z pierwszej ręki zawarte w tym ostatnim piśmie przeznaczone są dla prasy, naukowców oraz badaczy na całym świecie.

Institute for Democracy in Eastern Europe (IDEE) — \$ US 116.000 na dalszą działalność na rzecz demokracji w Europie Wschodniej poprzez pomoc dla wydawnictw niezależnych, ruchu samokształceniowego i grup obrony praw człowieka w Polsce. W roku 1985 duże i małe wydawnictwa podziemne utworzyły fundusz wydawnictw niezależnych. Funduszem dysponuje Konsorcjum Niezależnych Wydawców, nadzorowane przez Radę Wydawnictw Niezależnych, złożoną z osobistości nie związanych z żadnym z wydawnictw. NED dostarcza konsorcjum środków na maszyny drukarskie, papier, farby oraz dotacje dla wydawnictw

Polish American Congress Charitable Foundation — \$ US 245.000 na subwencje pięciu programów, mających wesprzeć demokratyczny ruch w Polsce. Program pierwszy — pomoc finansowa i materialna (żywność, lekarstwa, odzież) dla więźniów politycznych w Polsce i ich rodzin. Większość więźniów została zwolniona z amnestii 1986 roku, natomiast władze PRL zmieniły taktykę i nakładają na działaczy grzywny trzykrotnie wyższe niż ich miesięczny zarobek, krótkoterminowe kary więzienia (50 do 70 dni), pozbawiają ich pracy lub mieszkania. Subwencje uzyskują też Społeczny Komitet Nauki, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczna Komisja Zdrowia i Ze-

spół Oświaty Niezależnej (OKNO), zapewniające rozwój prawdziwej kultury narodowej. Z dotacji korzysta również Polski Komitet Helsiński, badający przypadki pogwałcenia Umów Helsińskich i publikujący raporty o stanie praw człowieka w Polsce. Utworzona w 1980 roku POLCUL Foundation dostaje fundusze na nagrody dla polskich obywateli zajmujących się obroną praw człowieka i krzewiących kulturę niezależną. Nagrody te są formą uznania dla działalności tych ludzi oraz formą pomocy. Dotacje otrzymuje też polski kwartalnik literacki *Zeszyty literackie*, wysoko cenione pismo intelektualne i literackie wychodzące w Paryżu i rozprowadzane w Polsce.

Solidarity Endowment of Washington, D.C. — \$ US 42.000 na dotacje (drugi rok) dla Independent Polish Agency (IPA) w Lund, Szwecja, na jej szeroko zakrojony program pomocy dla polskiej prasy niezależnej. IPA powiela i wysyła do Polski publikacje, fotografie, kasety magnetofonowe i video oraz inne materiały nadsyłane z Polski.

Przewidziane są też dotacje *Polish American Congress Charitable Foundation* na niezależną produkcję filmową w Polsce oraz na zakup filmów dla reprodukcji na videokasetach, pokazywanych w niezależnych ośrodkach video w Polsce.

UWAGI

Ad Free Trade Union Institute: Kwota 300 tys. \$ przekazywana jest w ratach kwartalnych do dyspozycji TKK przez Biuro „Solidarności” w Brukseli. Ponieważ FTUI nie potrąca kosztów administracyjnych, można sądzić, że pozostała część sumy idzie do Komitetu w Nowym Jorku.

Ad Polish American Congress Charitable Foundation: a) pomoc przeznaczona dla więźniów politycznych wynosiła w latach ubiegłych 90 tys. \$ i była przekazywana do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski przez biuro tej Komisji w Paryżu. Według informacji z Kongresu Polonii Amerykańskiej suma i droga są takie same w roku 1987; b) kwota 100 tys. \$ dla OKN-a przekazywana jest za technicznym pośrednictwem Biura „Solidarności” w Brukseli na ręce przedstawiciela OKN-a w Paryżu, p. Piotra Lasoty; c) kwota 10 tys. \$ przekazywana jest dla Komitetu Helsińskiego za pośrednictwem jego przedstawiciela, p. Eugeniusza Smolara.

Można oczekiwać przyznania dotacji w wysokości \$ US 50.000 na umożliwienie filmowcom w Polsce produkcji filmów i kaset video, za technicznym pośrednictwem Biura „Solidarności” w Brukseli.

„Między Waszyngtonem a Warszawą”

(...)

W połowie lipca br. senator Edward Kennedy, który w maju odwiedził Polskę, korzystając z debaty nad ogólną ustawą o handlu zagranicznym zaproponował poprawkę do tej ustawy, naz-

waną ustawą o pomocy amerykańskiej dla Polski. Projekt przewiduje wyasygnowanie z budżetu federalnego Stanów Zjednoczonych w roku budżetowym 1988 miliona dolarów na polsko-amerykańską wymianę naukową, utrzymanie przez dalsze dwa lata w rezerwie budżetowej 10 mln dolarów, przyznanych w roku 1985 z inicjatywy prezydenta Reagana na kościelną fundację rolniczą, przekazanie niezależnym instytucjom charytatywnym w Polsce 8 tys. ton żywności z nadwyżek rządowych, udzielenie kanałami pozarządowymi pomocy w wyposażeniu medycznym wartości 2 mln dolarów rocznie przez najbliższe dwa lata oraz wyasygnowanie przez dwa lata po milionie dolarów bezpośrednio na potrzeby „Solidarności”.

Milion dolarów na współpracę naukową pozwoliłby ożywić tzw. program im. Marii Curie-Skłodowskiej, który wprowadzić ma zostać wznowiony na mocy porozumień parafowanych w zeszłym miesiącu przez przedstawicieli rządowych obu stron, co kiedy kiesz budżetowa jest pusta, ok. 10 tys. dolarów i złotówki wartości prawie pół miliona dolarów. Za złotówki jednak utrzymuje się amerykańskich naukowców jeżdżących do Polski, a na utrzymanie polskich stypendystów w Ameryce trzeba płacić dolarami.

Amerykańskie nadwyżki żywnościowe mogłyby zostać w Polsce sprzedane przez owe pozarządowe instytucje charytatywne, o których mowa w ustawie, a zatem ser i tłuszcz zasiliby rynek, a pieniądze można by wykorzystać na cele charytatywne. Co więcej, ustawa Kennedy'ego przewiduje, że Stany Zjednoczone przekażą niezależnym instytucjom charytatywnym w Polsce (idzie głównie o komisję charytatywną Episkopatu) złotówki, jakie Polska wpłaciła za dostawy zboża amerykańskiego w roku 1981, a które leżą bezużytecznie na kontach w Warszawie, jako że są niewymienialne.

Wreszcie milion co roku dla „Solidarności” miałby wpłynąć niezależnie od dotychczasowej pomocy dla Związku i działalności niezależnej udzielanej przez Narodowy Fundusz Demokracji, co do którego coraz bardziej nagminne są opinie, że kieruje on pieniądze na opozycję w Polsce przez pośredników, którzy zbyt wiele z tych pieniędzy wydają na swoje biura, telefony, telexy i podróże służbowe.

Cały pakiet senatora Kennedy'ego jest więc dość sprytnie i inteligentnie ułożony, na zasadzie „dla każdego coś miłego”. Dla rządu milion na wysłanie „grzecznych” naukowców w ramach programu Curie-Skłodowskiej. Dla „Solidarności” i opozycji generalnie biorąc, dwa bardzo potrzebne miliony. Najwięcej dostaje Kościół, który niedawno dyskretnie wznowił prace nad fundacją rolniczą i stara się o odzyskanie „Caritasu”, dla którego zastrzyk złotówek za płody rolne i ze starych opłat za zboże byłby manną z nieba.

(...)

Senator Kennedy musiał, aby zyskać poparcie dla swojego projektu ustawy o pomocy dla Polski, dokooptować współwnioskodawców. Wziął więc sobie senatorów polskiego pochodzenia: Mikulską, Murkowskiego i Durenbergera. Ponieważ jednak Ken-

nedy uważany jest tutaj za skrajnego liberała (czytaj: lewicowca) musiał dobrać sobie i kogoś z prawicy. I dobrał senatora Helmsa z Północnej Karoliny. Helms jednak zgłosił podczas zakulisowych rozmów poprawkę do projektu Kennedy'ego, polegającą na stwierdzeniu w preambule, że podniesienie stosunków dyplomatycznych z Polską do rangi ambasadorów powinno być uzależnione od dalszego postępu w dziedzinie praw człowieka w Polsce i od zezwolenia przez rząd na to, aby „Solidarność” mogła działać w Polsce „legalnie i otwarcie”. Poprawka przeszła, przeszedł i cały projekt Kennedy'ego.

Kto jednak zna senatora Jesse Helmsa, wie że nie pała on szczególnie gorącymi uczuciami do Departamentu Stanu, szczególnie zaś alergiczny jest na punkcie poprawy stosunków z krajami komunistycznymi lub nawet tylko ciążącymi ku Moskwie. Senator Helms zasiada przy tym w komisji spraw zagranicznych Senatu, która zatwierdza nominacje ambasadorskie. (...) Otoczenie Helmsa twierdzi, że senator okazji nie przepuści i w przypadku kandydata na ambasadora w Warszawie też postawi serię kłopotliwych pytań.

Jeżeli rzeczywiście kandydatem będzie John Davis, to jedno z tych kłopotliwych pytań będzie dotyczyło wizyty, jaką w lecie 1984 roku Davis jako *chargé d'affaires* ambasady amerykańskiej w Warszawie złożył Lechowi Wałęsie. Będzie ono brzmiało: czy prawdą jest, że powiedział Pan Wałęsie, iż sprawa zniesienia sankcji została już w Waszyngtonie przesądzona i wobec tego Wałęsa powinien zaapelować publicznie do rządu Stanów Zjednoczonych o zniesienie ich, tak aby wyglądało, że następuje to na skutek inicjatywy Wałęsy?

Pytanie trudne nie tylko dla samego Davisa, lecz i dla Departamentu Stanu. W rządzie amerykańskim utrzymywały się wtedy poważne różnice zdań na ten temat. Departament Stanu w imię poprawy stosunków międzynarodowych parł do zniesienia sankcji i gambit z Wałęsą pomógł mu przekonać inne, oporne resorty. Ujawnienie tego jednak nie będzie mile widziane, szczególnie w obecnej atmosferze podejrzeń wobec wszelkich tajnych inicjatyw.

Jak wiadomo Wałęsa zaapelował wtedy do prezydenta Reagana o zniesienie sankcji i częściowo to nastąpiło. Dalszy ciąg zapowiada się jednak interesująco, choć raczej nie należy przewidywać publicznego apelu Wałęsy do senatora Helmsa o zatwierdzenie nominacji nowego ambasadora amerykańskiego w Warszawie. Obawiam się, niestety, że nie należy również przewidywać, aby władze PRL zezwoliły na „legalne i otwarte” działanie „Solidarności” i tym sposobem otworzyły drogę do stopnia ambasadorskiego dla Johna Davisa.

Jacek KALABIŃSKI

(Fragmenty artykułu zamieszczonego w dwutygodniku *Pogląd*, nr 14/15 z 1987 r.).

Pomoc finansowa dla NSZZ „Solidarność” z zagranicy

1. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” jest jedyną organizacją o tej nazwie; utworzony został zgodnie z prawem międzynarodowym i jego powszechnie uznawany za granicą. NSZZ „Solidarność” jest członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy, demokratycznych central związkowych o zasięgu ogólnosiwiatowym. Związek nasz działa w Polsce; ma władze krajowe, na czele których stoi Przewodniczący Lech Wałęsa, Tymczasowa Rada stanowi jawną reprezentację, zaś funkcje wykonawcze pełni Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, będąca gremium przedstawicielskim 10-ciu (aktualnie) równoprawnych i w znacznym stopniu autonomicznych organizacji regionalnych. Za granicą NSZZ „Solidarność” reprezentowany jest przez Biuro Koordynacyjne z siedzibą w Brukseli, podporządkowane krajowemu kierownictwu Związku w Polsce. Biuro koordynuje wspólną pracę NSZZ „Solidarność” z międzynarodowym ruchem związkowym i pośredniczy w kontaktach między kierownictwem Związku w Polsce a władzami zagranicznych organizacji związkowych, MOP-em i innymi instytucjami. W szczególności Biuro zobowiązane jest do występowania w imieniu NSZZ „Solidarność” wobec „niezwiązkowych organizacji, instytucji i osób” celem pozyskiwania od nich „bezwarunkowej pomocy materialnej i politycznej dla Związku” (cytaty z uchwały TKK w/s Biura z dnia 15 kwietnia 1986 roku).

Warunkiem przyjmowania przez NSZZ „Solidarność” pomocy materialnej jest to, że nie ofiarodawcy, lecz sam Związek decyduje o sposobie zużycia uzyskanych funduszy. Innymi słowy, NSZZ „Solidarność” przyjmuje tylko taką pomoc, która nie jest związana z uwarunkowaniami, w szczególności ideowymi, programowymi czy strukturalnymi, nałożonymi przez ofiarodawców.

Poczynając od 1983 roku Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” opracowuje corocznie — w formie postulatów — globalny budżet potrzeb Związku na pomoc finansową z zagranicy. Dokument ten przekazywany jest do Biura Koordynacyjnego w Brukseli z zaleceniem pozyskiwania funduszy. Biuro przedstawia ten budżet, z prośbą o dotacje międzynarodowym centralom związkowym MKWZZ i SKP oraz AFL-CIO i dużym organizacjom związkowym w innych krajach, a także niezwiązkowym organizacjom, instytucjom i fundacjom. Dysponentem wszystkich dotacji dla NSZZ „Solidarność” wpływających na konto Biura są władze krajowe Związku, zaś księgowość Biura

kontrolowana jest przez TKK i sprawdzana kwartalnie przez komisję wspólną MKWZZ-SKP.

Tak więc gospodarka funduszami zgromadzonymi za granicą na potrzeby NSZZ „Solidarność” jest w gestii krajowych władz Związku w Polsce, a Biuro brukselskie jest wykonawcą ich dyspozycji. Zasada ta dotyczy sfery decyzyjnej i oczywiście nie ogranicza ilości i rodzaju technicznych kanałów przesyłania pomocy ani punktów jej odbioru przez NSZZ „Solidarność” w Polsce.

2. Dotychczasowa pomoc finansowa z zagranicy

Od roku 1982 sumaryczna wartość rocznej pomocy dla NSZZ „Solidarność” z zagranicy wynosi około 450 tysięcy dolarów. To dużo, jeśli pamiętać, że NSZZ „Solidarność” jest na świecie tylko jedną z bardzo wielu organizacji otrzymujących pomoc. Jednak z punktu widzenia potrzeb NSZZ „Solidarność”, zakresu i różnorodności działań podejmowanych przez nasz Związek w Polsce są to sumy dalece niewystarczające. Budżet NSZZ „Solidarność” na rok 1987 opiewa na milion dolarów. Przyjęto w nim następującą ogólną zasadę podziału kwot na poszczególne rodzaje potrzeb: 1. pomoc dla represjonowanych — 10 %, 2. fundusz organizacyjny kierownictwa krajowego i struktur regionalnych — 30 %, 3. zakup sprzętu za granicą — 25 %, 4. funkcjonowanie Biura w Brukseli — 15 %, 5. pomoc innym ugrupowaniom niezależnym w Polsce — 20 %. Budżet ten opracowany został przez TKK z datą 4 października 1986 roku, zaś tekst zatytułowany „Zasady stosowane przez NSZZ „Solidarność” w zakresie pomocy z zagranicy” stanowi załącznik do tego budżetu (a nie — odrębne „oświadczenie” TKK, jak to bywa mylnie interpretowane).

Dotychczas największą pomoc finansową dla NSZZ „Solidarność” zgromadzone we Francji zimą 1982 roku. Utworzony w Paryżu zaraz po 13 grudnia 1981 roku Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” we Francji zebrał około 8 milionów franków z dotacji napływających samorządnie od różnych organizacji, instytucji i pojedynczych osób. Była to spontaniczna reakcja społeczeństwa francuskiego, o skali nie mającej odpowiedników w innych krajach, na represje wobec NSZZ „Solidarność”. Ani TKK, ani tym bardziej Biuro brukselskie w tym czasie jeszcze nie istniały i nie uczestniczyły w pozyskaniu tej pomocy.

W następnych latach zagraniczna pomoc finansowa dla NSZZ „Solidarność” pochodziła w głównej mierze od związków zawodowych lub była uzyskiwana za ich pośrednictwem. Gros dotacji napływało z USA od centrali związkowej AFL-CIO. Wykaz tych dotacji przedstawia się następująco: w 1983 roku — 200 tys. dolarów, w 1984 roku — 200 tys., w 1985 roku — 300 tys., w 1986 roku — 300 tys., a w bieżącym roku spodziewane jest 325 tys. dolarów.

W krajach demokratycznych, w szczególności w Skandynawii, RFN, Kanadzie i USA, fundusze państwowe, przeznaczone uchwałą parlamentu na realizację programów zagranicznych, zagospodarowywane są nie tylko przez agendy rządowe, lecz również

przez różne wiarygodne instytucje niezależne, fundacje, partie polityczne, związki zawodowe i inne organizacje społeczne. Pomoc finansowa, którą NSZZ „Solidarność” otrzymuje np. od centrali związkowej LO-Szwecja czy od AFL-CIO pochodzi właśnie na tej zasadzie ze skarbu państwa, lecz jest przydzielana decyzją zarządów tych central. W przypadku AFL-CIO jest to pomoc od niezależnego Narodowego Funduszu na rzecz Demokracji (NED), który swój budżet otrzymuje od rządowej Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych (USIA).

3. Dotacja od Kongresu USA

W dniu 1 lipca 1987 roku Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił dodatkową ustawę budżetową na bieżący rok finansowy (kończący się 30 września), która zawiera następujący punkt dotyczący „Solidarności”:

POMOC DLA „SOLIDARNOŚCI”.

Zwiększa się „Fundusz Pomocy Ekonomicznej” o kwotę jednego miliona dolarów, która jest przeznaczona — niezależnie od jakichkolwiek innych regulacji ustawowych — wyłącznie na pomoc dla polskiego niezależnego związku zawodowego „Solidarność”.

NSZZ „Solidarność” w Polsce ma otrzymać tę pomoc *via* Biuro w Brukseli. Ze skarbu państwa USA ma ona być przekazana na konto Biura za technicznym pośrednictwem Agencji Rozwoju Międzynarodowego (AID), Narodowego Funduszu na rzecz Demokracji (NED) oraz Kongresu Polonii Amerykańskiej, Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich i centrali związkowej AFL-CIO.

Z wnioskiem o wprowadzenie tego punktu wystąpiło 12-tu senatorów w dniu 10 kwietnia 1987 roku, kiedy to rządowy projekt dodatkowej ustawy budżetowej przeszedł już pierwszą debatę w izbie niższej Kongresu (*House of Representatives*) i znalazł się na forum Senatu. Wspólną propozycję (*Senate Joint Resolution 115*) o udzielenie NSZZ „Solidarność” tej bezwarunkowej dotacji zgłosił w imieniu wnioskodawców senator Steven Symms (R/Idaho). Pozostali sygnatariusze rezolucji to senatorzy: Alan Dixon (D/Ill.), Charles Grassley (R/Iowa), Donald Riegle (D/Mich.), Paul Simon (D/Ill.), Alfonse D'Amato (R/N.Y.), Christopher Dodd (D/Conn.), Chic Hecht (R/Nev.), Malcolm Wallop (R./Wyo.), Bill Bradley (D/N.J.), Daniel Patric Moynihan (D/N.Y.) i Gordon Humphrey (R/N.H.). W uzasadnieniu rezolucji wskazuje się, że kierownictwo NSZZ „Solidarność” potrzebuje pomocy finansowej, aby 1. wzmocnić struktury organizacyjne na szczeblu zakładowym i regionalnym, 2. kupować sprzęt poligraficzny i komunikacyjny, 3. udzielać pomocy represjonowanym za działalność związkową, 4. wspomagać niezależną działalność w sektorze akademickim i wiejskim. Stany Zjednoczone powinny — zdaniem senatorów — dać praktyczny wyraz poparcia odważ-

nym członkom polskiej niezależnej organizacji związkowej NSZZ „Solidarność” i dopomóc w ich walce o wolność i o respektowanie praw człowieka.

Osobiste poparcie (*co-sponsorship*) dla tej rezolucji zadeklarowali jeszcze senatorzy: Claiborne Pell (D/R.I.), Dave Durenberger (R/Minn.), James McClure (R/Idaho), Carl Levin (D/Mich.), Orrin Hatch (R/Utah) i Bob Kasten (R/Wis.). Ponadto w dniu 30 kwietnia reprezentant Jack Kemp (R/N.Y.) zgłosił, w imieniu własnym i reprezentanta Morris Udalla (D/Ariz.), wspólny wniosek (*House Joint Resolution 263*) na forum izby niższej Kongresu, identyczny w treści do wniosku w Senacie.

Tak więc propozycja udzielenia dotacji dla NSZZ „Solidarność” wpłynęła w sumie od 18-tu senatorów i 2-ch reprezentantów, należących zarówno do rządzącej Partii Republikańskiej, jak i do opozycyjnej Partii Demokratycznej. W obu izbach Kongresu propozycja ta nie wywołała ani jednego głosu sprzeciwu. O przyjęciu wniosku zdecydowali zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy polityki prezydenta Ronalda Reagana, zaś wnioskodawcą nie był rząd USA, lecz parlament tego kraju. Na decyzję Kongresu wpłynęły niewątpliwie środowiska polonijne i związkowe USA, które najlepiej znają i rozumieją zarówno cele i zasady, jak i potrzeby NSZZ „Solidarność” oraz stanowią od dawna ośrodki zorganizowanego poparcia dla naszego Związku. Decyzja Kongresu jest jednak przede wszystkim wyrazem sympatii i poparcia dla NSZZ „Solidarność” oraz uznania dla Lecha Wałęsy ze strony tych, którzy reprezentują społeczeństwo amerykańskie.

Do podjęcia uchwały przez parlament konieczne jest wykonanie rozlicznych pomocniczych czynności przygotowawczych. W przypadku omawianego punktu uchwały Kongresu USA, decydujący wkład praktyczny w zainicjowanie i uruchomienie przedsięwzięcia Związek nasz zawdzięcza Michaelowi Hammondowi, działaczowi Partii Republikańskiej i współpracownikowi senatora McClure oraz Joe Claytonowi, demokracie i asystentowi senatora Dixona. Znaczną pomoc okazali także: Alojzy Mazewski, prezes KPA; Andrzej Ehrenkreutz, ówczesny prezes Studium Spraw Polskich; Andrew Jazwick, asystent senatora Symmsa; Richard Billmire, asystent reprezentanta Kempa; Janice Schultz, Stas Baginski i Ewa Slusarek, działacze grup poparcia „Solidarności”; Jack McCrae, wydawca nowojorski oraz wiele innych osób, sympatyków NSZZ „Solidarność”, Amerykanów polskiego i niepolskiego pochodzenia.

4. Cytowana powyżej uchwała Kongresu USA w pełni respektuje samorządność i niezależność NSZZ „Solidarność”. W szczególności zwrot „niezależnie od jakichkolwiek innych regulacji ustawowych” wyklucza ewentualną ingerencję merytoryczną ze strony jakiegokolwiek instytucji amerykańskiej, łącznie z rządem USA. Ponadto, przemawiając w trakcie debaty plenarnej w Senacie w dniu 2 czerwca, senator Symms potwierdził intencję wnioskodawców dotacji dla NSZZ „Solidarność”, aby amerykańskie instytucje, pośredniczące w przekazywaniu tej pomocy, pełniły

wyłącznie rolę techniczną. Toteż bezpodstawne są obawy, że dotacja ta „uzależni Związek od rządu USA”.

Jak i cała poprzednio otrzymywana przez nasz Związek pomoc, tak i dotacja przyznana decyzją Kongresu Stanów Zjednoczonych jest bezwarunkowa i przeznaczona dla organizacji NSZZ „Solidarność” na jej działalność. Jest więc oczywiste, że krajowe władze Związku mają prawo i obowiązek dysponowania tym funduszem.

NSZZ „Solidarność” będzie nadal zabiegać w krajach całego świata o poparcie, zarówno moralne i polityczne jak i materialne, dla swoich zadań i celów. Otrzymywana pomoc nie wpływa na wybór tych celów ani nie zmienia charakteru naszej organizacji. Wpływa natomiast na możliwość szerzej zakrojonych działań nad urzeczywistnieniem tych celów.

BIURO KOORDYNACYJNE NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” ZA GRANICĄ

Bruksela, 3 sierpnia 1987 r.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Sąsiedzi

Ukraina i Polska

Stosunki ukraińsko-polskie zarówno w dalekiej przeszłości jak też w okresie międzywojennym miały złożony charakter, nasycone były historycznymi emocjami oraz obciążone uprzedzeniami. Nasza wspólna historia często była bolesna i okrutna: antagonizmy, wojny i wzajemne gwałty. Polski katolicyzm i prawosławie większości Ukraińców również nie pełniły roli czynników pojednania. To wszystko odcisnęło swój głęboki ślad na duszy obu narodów i zadawało lub rozdrapywało wciąż nowe rany.

Ukraina, sąsiadując z barbarzyńskim i despotycznym Wschodem, nieczęsto była zwycięzcą w sporach z katolicką Polską, bardziej zbliżoną do zachodniej, demokratyczniejszej Europy. Poważną rolę odgrywały również czynniki geopolityczne: *Drang nach Osten* nienasyconych Niemiec i stały nacisk na Zachód imperialistycznej Moskwy. W tej sytuacji oba nasze kraje stawały się polem rozgrywek tych drapieżnych państw.

Mieszanie ludności lub przymusowe przesiedlenia (przed wojną „kolonizacja” Wołynia i Podola, a po drugiej wojnie światowej przymusowe wywózki ludności ze stref przygranicznych) tworzyły dodatkowe problemy, wywoływały nowe cierpienia oraz odnawiały antagonizmy. Moskwa także szczyła jednych przeciwko drugim zgodnie z zasadą *divide et impera*...

Na Ukrainie rozpowszechniano przekonanie, iż „chyttry Polacy strajkują i politykują, a my musimy ich karmić naszym masłem i mięsem” (którego brakuje...). W Polsce natomiast kryzys żywnościowy wyjaśniano w ten sam sposób: „wprawdzie u nas wszystkiego jest mało, ale na Ukrainie jest jeszcze mniej i musimy się z nimi podzielić”.

Nasza historia miała jednak również radosne momenty. Sojusz Piłsudskiego z Petlurą oraz uznanie niepodległości Ukrainy, wspólny marsz armii ukraińskiej i polskiej na Kijów, opór przeciw bolszewikom i obrona Warszawy — oto tylko kilka przykładów.

Niedotrzymanie przez Polskę postanowień Traktatu Wersalskiego dotyczących przyznania autonomii Zachodniej Ukrainie oraz silne wpływy endeków na linię polityczną rządu polskiego wobec Ukraińców odbiły się znów ujemnie na naszych stosunkach w przedwojennej Polsce.

Niezaprzeczalny pozostanie jednak fakt, że nawet jeśli Polska XX wieku wysuwała roszczenia do ziem ukraińskich i była macochą dla swych obywateli-Ukraińców, nie negowała jednak istnienia czynnika ukraińskiego, nie opowiadała się za całkowitym zniszczeniem wszystkiego co ukraińskie. W przeciwieństwie do Rosji, która dążyła jawnie lub skrycie do zagłady naszego narodu, nie była śmiertelnym wrogiem Ukrainy.

Tego krótkiego powrotu do naszej przeszłości dokonujemy jedynie po to, by uczynić zadość zasadzie: „Dla dobra przyszłości należy uczyć się na błędach przeszłości”. Przypominamy nie zawsze przyjemne fakty historyczne nie po to, by poróżnić lub rozpalać nowe namiętności, nie jest bowiem sprawą istotną wyliczanie wzajemnych przewin, nawet jeśli Ukraińcy częściej padali ich ofiarą. Cóż może nam dać płacz nad przeszłością, jeśli nie toruje drogi ku lepszej przyszłości? Historię należy znać i uczyć się na jej podstawie, ponieważ pamięć historyczna jest dla narodu ognikiem świętojańskim jego świadomości narodowej. Jest ona niezbędna dla powstania narodu, a w przyszłości dla jego dalszego istnienia i wielostronnego rozwoju.

Nasze wspólne — Polaków i Ukraińców — narodowe nieszczęście przemawia na rzecz wzajemnie rozważnej i przychylniej postawy, bez niepotrzebnych emocji, uprzedzeń i namiętności. Działając razem, solidarnie, będziemy mieli siłę stawić czoła historycznemu imperializmowi Moskwy oraz — może już w niedalekiej przyszłości — odrodzonym, zjednoczonym i silnym Niemcom. Trudno przecież zrozumieć, że polityczne elity naszych narodów (szczególnie zaś polska, która znajduje się na lepszych pozycjach) nie zdawały sobie sprawy w przeszłości z tego tragicznego faktu, że między moskiewskim młotem a niemieckim kowadłem nasz ratunek zależał tylko od naszej bliskiej współpracy i przyjaźni, „bez chama i bez pana”...

Obecnie nastał już chyba czas wzajemnego zbliżenia: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, jak wypowiedziało się już polskie podziemie. Nastał czas przebaczenia i przyjacielskiej współpracy, gdyż jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, więcej nawet, jesteśmy sobie nieodzowni w walce o narodowe istnienie i wyzwolenie.

Dwa, tak bliskie ale zarazem również tak dalekie sobie narody słowiańskie muszą po przejściu piekła wojen, zniewolenia i narodowego poniżenia zacząć nareszcie żyć w zgodzie i przyjaźni, gdyż nakazuje to ich chrześcijańska moralność oraz polityczna dojrzałość i cel. Jest to sprawa ich narodowego „być albo nie być”.

Naród polski głosem swego patriotycznego podziemia dokonał pierwszego, wielkiego kroku w kierunku współpracy i uznania wspólnych granic. Na wezwanie czterech głównych organizacji

w Polsce (apel „Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów”) odpowiedziała przychylnie wielka część ukraińskich partii i organizacji, prawie cały demokratyczny świat ukraiński w diasporze; początkowo bardziej ogólnie, a po pewnym czasie dokładniej, konkretnie, po uzgodnieniu ze stroną polską podstawowych zasad:

- poszanowania praw narodowych ukraińskiej mniejszości w Polsce i polskiej na Ukrainie,
- ich prawa do własnego systemu oświaty,
- prawa do ukraińskiej katolickiej eparchii w Polsce,
- zasady wzajemnej tolerancji, a zwłaszcza problemu najdrażliwszego — wspólnych granic.

Obecne wspólne granice stanowią rzeczywistość i należy je uznać, nawet jeśli po drugiej wojnie światowej narzuciły je obce mocarstwa. Większe zmiany lub powrót do dawnego stanu uważamy praktycznie za niemożliwy, a politycznie za niepożądany, gdyż byłby szkodliwy dla stosunków między obu narodami. Wysuwając takie postulaty jesteśmy świadomi, że sprawę podstawową i nieodwołalną stanowi dla nas istnienie naszych narodów i ich niepodległość, zaś wszystko inne ma znaczenie drugorzędne.

Uznanie obecnych wspólnych granic jest postawą realistyczną i odważną, gdyż mogą ponownie dać znać o sobie stare namiętności albo wieczni wyznawcy utopijnych idei.

Polska i Ukraina powinny stać się główną siłą w walce o niepodległość narodów Europy środkowo-wschodniej; nie bałkанизacja, lecz duch przyjacielskiej współpracy zapanować muszą w tej zbolatej, cierpiącej części świata. Obok rzeczywistocie demokratycznej Rosji w jej granicach etnograficznych.

Wołodymyr MAŁYNOWYCZ

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE ZASAD WSPÓŁPRACY POLSKO-UKRAIŃSKIEJ

W dzisiejszych warunkach współpraca między narodami polskim i ukraińskim stanowi życiową konieczność. Podstawą tej współpracy muszą być wspólnie przyjęte zasady:

1. Nie możemy rozstrzygać kwestii granic w sensie prawnym, ale uważamy, że obecne granice między Polską i Ukrainą powinny być zachowane jako granice między przyszłym niepodległym państwem polskim i niepodległym państwem ukraińskim. Uważamy, że wszystkie umowy historyczne i konwencje międzynarodowe jakie dotyczą naszych stosunków powinny utracić obowiązującą moc;

2. Przyjęcie obecnych granic uważamy za warunek współpracy polsko-ukraińskiej w walce o przywrócenie wolności i niepodległości naszym narodom i państwom;

3. Zobowiązujemy się do zwalczania w naszych środowiskach polityki roszczeń terytorialnych wysuwanych wobec partnera;

4. Mamy nadzieję, że przysze parlamenty polski i ukraiński, wyłonione w drodze wolnych wyborów, uprawnocnią obecne granice;

5. Popieramy prawo mniejszości narodowych do swobodnego rozwoju pod każdym względem i jednocześnie stwierdzamy, że uważamy za swój moralny obowiązek zwalczanie w naszych krajach wszelkich przejawów dyskryminacji mniejszości narodowych, zarówno przez państwo jak też przez społeczeństwo;

6. Uważamy za sprawiedliwe i niezbędne utworzenie w Polsce już teraz przez Ukraiński Kościół Katolicki własnej hierarchii na czele z biskupem;

7. Popieramy dążenia Ukraińców w Polsce do posiadania już teraz własnego systemu oświaty;

8. Popieramy słuszne prawo Ukraińców w Polsce do powrotu na ich ziemie, z których zostali bezprawnie wysiedleni przez władze komunistyczne;

9. Popieramy bez zastrzeżeń prawo Polaków zamieszkających na terenie Ukrainy do własnego systemu oświaty i nieskrępowanego rozwoju narodowego; strona ukraińska będzie oddziaływała w duchu tej zasady na własną opinię publiczną;

10. Tylko wspólna walka polityczna Polaków i Ukraińców oraz innych narodów Międzymorza może doprowadzić do odzyskania przez nie wolnych i niepodległych państw.

Niniejsze oświadczenie nabiera mocy obowiązującej po opublikowaniu przez zainteresowane strony w ich organach prasowych.

KONFERENCJA UKRAIŃSKICH PARTII I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH,

LIBERALNO-DEMOKRATYCZNA PARTIA
„NIEPODLEGŁOŚĆ”

ORGANIZACJA
„WOLNOŚĆ — SPRAWIEDLIWOŚĆ — NIEPODLEGŁOŚĆ”

Paryż, marzec 1987

Sprawa Tatarów krymskich

Tatarzy, którzy latem tego roku zjawili się na Placu Czerwonym, stanowili żałosny cień dawnej chwały. Przybyli w charakterze posłańców od setek tysięcy sponiewieranych ziomków, upominających się u rosyjskich zwycięzców wyrównania zadanej im krzywdy. Ulica moskiewska przyjęła ich z nieukrywaną nienawiścią. Tylko nieliczna grupa opozycjonistów, wywodzących się

z kręgów wolnomyślniej inteligencji i z szeregów do niedawna przebywających w łagrach dysydentów, poparła publicznie żądania delegatów upośledzonej mniejszości. Władza gorbaczowska zajęła początkowo niezdecydowane stanowisko i uciekła się do fortelu biurokratyczno-prawniczego. Powołano mianowicie do życia komisję państwowo-partijną pod kierownictwem przewodniczącego Rady Najwyższej, Gromyki, z udziałem kilku członków Politbiura i Sekretariatu Komitetu Centralnego kompartii, jak np. doradcy Gorbaczowa i eksponenta kursu reformistycznego Jakowlewa, szefa rządu Republiki Rosyjskiej Worotnikowa, przywódcy komunistów Uzbekistanu, Usmanchodżajewa i pierwszego sekretarza partii na Ukrainie, Szczerbickiego. Nie uznano jednak za stosowne dokooptować do tego składu choćby jednego przedstawiciela Tatarów. Nie powiedziano też niczego na temat kompetencji komisji i czasu trwania jej prac. Natomiast z Taszkientu, gdzie na zesłaniu przebywa najwięcej Tatarów, doszła niepotwierdzona przez centralne władze wiadomość, iż w Uzbekistanie podjęła prace badawcze grupa robocza powołana z ramienia wspomnianej komisji moskiewskiej.

Bryk z historii

Całe to wydarzenie z letniego sezonu politycznego w Moskwie dotyczy losów Tatarów krymskich. Są oni potomkami owych przodków, którzy przed wiekami byli postrachem nie tylko Księstwa Moskiewskiego, ale też Ukrainy, Polski, a przejściowo nawet Europy. Na Półwysep Krymski przyszli w dobie podbojów w XIII wieku. Wówczas byli jeszcze zintegrowaną częścią Złotej Ordy. Dopiero w okresie upadku tej potęgi w roku 1425 stworzyli własny chanat pod wodzą dynastii Girejów, z własnym muftim jako głową Kościoła muzułmańskiego i nową stolicą w Bachczysaraju. Istniejące z dawnych czasów kolonie Genua i Wenecja nie zostały na razie zlikwidowane, ale musiały im płacić haracz.

W pięćdziesiąt lat później Krym opanowali Turcy. Skończyła się suwerenność Tatarów, zlikwidowano weneckie i genueńskie kolonie. Zmieniła się też struktura demograficzna. Po upadku własnego państwa przybyli liczni Ormianie i kupcy żydowscy. Wnet jednak Krym rozbudził apetyty Rosji carskiej. Wojska rosyjskie weszły na półwysep najpierw w 1736, a potem po raz drugi w 1771 i wreszcie po raz trzeci — tym razem, jak dotąd, na stałe — w 1783. Caryca Katarzyna formułując zasady polityki okupacyjnej raczyła pozostawić arystokrację tatarską i religię muzułmańską w spokoju. Ale mufti i cała hierarchia kleru pochodzą odtąd nie, jak dawniej, z wyboru, lecz z nominacji carskiej. Katarzyna wszczęła następnie wielką akcję osadniczą przy pomocy Niemców, Bułgarów, Greków i oczywiście Rosjan oraz ukraińskich kozaków zaporozkich. Zaś Aleksander I, hołdując swej manii grekofilskiej, przystąpił do zmiany nazw: Krym stał się Taurydą, Ak-Meszyt Symferopolem, Kaffę przechrzczono na Teodozję, Gözlewe na Eupatorię, a Eski-Krym na Leokopol.

Renesans narodowy

Zdawało się, że Krym niebawem utraci swą dawną strukturę ludnościową. Strach przed rusyfikacją wiódł do masowych wyjazdów i ucieczek, głównie do Turcji. Uciekano przed branką do armii carskiej, przed prawosławiem. Pierwszy spis ludności w Rosji, przeprowadzony w roku 1897, wykazał że wśród ogółu ludności Krymu, wynoszącej 525 tysięcy, Tatarzy stanowią 188 tysięcy, czyli 36 %. W tej, jak twierdzili petersburscy prekursorzy, dogodnej dla dokonania pełnej asymilacji Tatarów sytuacji nastąpił niespodziewany zwrot. Oto na scenie politycznej tego regionu zjawiał się człowiek, który rzucił hasło renesansu narodowego. Człowiekiem tym był Ismail-bey Gasprali, urodzony w majątku szlachecka we wsi Gaspra. Pod wpływem idei Rosjan — Herzena, Czernyszewskiego i Pisariewa — a następnie po wyjazdach do Francji i Turcji jako burmistrz Bachczysaraju postanowił zorganizować szkołę „nowej metody” (*Usul-u-dżadid*). Naczelnym hasłem nowego działacza, znanego w historii Rosji również pod nazwiskiem Gasparińskiego, było utworzenie w ramach imperium wspólnej dla wszystkich muzułmanów „jedności języka, obrazu myśli i działań”. Oprócz szkolnictwa szerzeniu tych idei służyło zorganizowane w 1883 roku czasopismo *Terzuman* (*Tłumacz*). W ten sposób powstał *dżadizm*, czyli idea modernizacji świata muzułmańskiego. Krym stał się kolebką nowego kierunku. W 1916 roku na terenie imperium Romanowych było już pięć tysięcy szkół tej formacji, od Krymu po Środkową Azję, na Kaukazie i nad Wołgą.

Na tym pniu wyrósł po rewolucji 1905 bardziej radykalny prąd „Młodych Tatarów” z tygodnikiem *Stuga Ojczyzny* pod kierunkiem znakomitego publicysty Hasana Ajwazowa, który po pierwszej wojnie światowej dołączył do narodowego komunizmu Sułtan-Galijewa i zginął wraz z innymi politykami tego typu w łagrach stalinowskich. Sam Gasprali zaczął w 1906 roku wydawać bardziej radykalne pismo *Millet* (*Naród*), a jego utopioun-futurologiczna powieść pt. „Muzułmańska ziemia szczęścia”, wydana po raz pierwszy w stolicy Krymu Bachczysaraju w 1981 roku, została przetłumaczona na różne języki i stała się czymś w rodzaju politycznej biblii dla uciśniętych ludów Wschodu. Ismail-bey Gasprali zmarł w 1914 roku. Jego zwolennicy próbowali dojść do porozumienia z rosyjskimi demokratami. Bez skutku.

Od niepodległości do deportacji

Udział w pracach parlamentarnych Rosyjskiej Dumy, gdzie Tatarzy współpracowali z Ukraińcami w ramach sojuszu autonomistów, był szkołą polityczną dla przyszłych działaczy niepodległościowych, zaś tajna organizacja młodzieży uniwersyteckiej

„Vatan” (Ojczyzna”), podobna do polskiej POW, stała się kuźnią rewolucji. Wykazały to wydarzenia po upadku caratu. Najpierw 7 kwietnia 1917 roku zebrał się pod kierownictwem Muftiego Czelebi-Czelebijewa w Symferopolu Mahometański Komitet Wykonawczy. Z niego wyłonił się Kurułtaj czyli konstytuanta, przemianowana potem na Parlament Rewolucyjny. 24 listopada 1917 roku Kurułtaj proklamował niepodległość Krymu. Nad pałacem chanów w Bachczysaraju rozwinięto błękitny sztandar ze złotym pasem — symbol Republiki Tatarskiej. Rozpoczęły się rokowania z niepodległą Ukrainą, w rezultacie których doszło do partnerstwa i współpracy. Ale już po niedługim czasie nastąpiła inwazja bolszewicka. Oddziały marynarzy rosyjskich zaatakowały Bachczysaraj. Słaba jazda tatarska, dowodzona przez młodego premiera republiki Dżafera Seydameta, została rozbita pod Jałtą. Nie pomogło przyjęcie do kierownictwa rządu Aleksandra Sulkiewiczza, polskiego Tataru i wybitnego rewolucjonisty, przyjaciela Piłsudskiego.

Przejęciowo Krym znalazł się pod okupacją „białych Rosjan” generała Wrangla, który nie uznał niezawisłości tatarskiej, tak samo jak Denikin. Potem nadeszły oddziały bolszewickie i 18 października 1921 roku proklamowały Autonomiczną Republikę Krymską jako część Rosyjskiej Republiki Federacyjnej. Na próżno Dżafer Seydamet rozwinął dyplomatyczną akcję protestacyjną w Turcji, Francji i w Polsce. Warszawa stała na długie lata ważnym ośrodkiem politycznej emigracji Tatarów krymskich. Jednak główne masy emigracji znajdują się w Rumunii i Turcji. Walkę o przywrócenie niepodległości komplikuje nie tylko niemoc Ligi Narodów, ale jeszcze bardziej ówczesna polityka bolszewików, wygrywająca zręcznie atut „tataryzacji” życia kulturalnego i naukowego Krymu. Istotnie w latach 1923-1927 dziedziny te bujnie się rozwijały, tak jak i w innych republikach nierosyjskich.

Jednak w styczniu 1928 roku został aresztowany pierwszy sekretarz komunistów krymskich Weli Ibrahimow, a w ślad za nim cała grupa z dawnej organizacji patriotycznej „Milli-Firka”, która w 1920 roku przeszła na pozycje narodowego komunizmu. Zaczęło się systematyczne prześladowanie inteligencji tatarskiej. Stalin nakazał rusyfikację Krymu. Pierwszym etapem było przymusowe przyjęcie cyrylicy w pisowni (przedtem, w latach 20-tych zarzucono alfabet arabski i przyjęto łaciński). Industrializacja i towarzyszące jej osiedlanie ludności pozamiejskowej zmieniły radykalnie strukturę demograficzną na niekorzyść Tatarów. Liczba ich spadła do 25 % ogółu ludności. Prym wiodli odtąd Rosjanie, na drugim miejscu znaleźli się Ukraińcy, a w dalszej kolejności Niemcy, Żydzi, Grecy, Bułgarzy i Ormianie. W takiej postaci zastała Krym druga wojna światowa i ofensywa niemiecka. Wojska niemieckie zdobyły półwysep w listopadzie 1941 roku i pozostały tam do kwietnia 1944 roku. Tatarzy powitali zdobywców z wielkimi nadziejami na odbudowanie niezawisłości państwowej. Nie wiedzieli, że Krym w pierwszym rządzie był przewidziany dla kolonizacji niemieckiej. Szybkie otrzeźwienie sprawiło, że tylko nieliczne grupy kolaborowały z Niemcami. Ale dwu- i pół-

letnia okupacja doprowadziła do dużych zmian w strukturze ludnościowej. Niemcy wyniszczyli Żydów, swoich rodaków przewieźli do Reichu, a Greków wysłali do Grecji.

Na wiosnę 1944 roku Stalin postanowił zlikwidować kwestię tatarską. Oskarżył całą ludność o współpracę z Hitlerem i polecił wywieźć wszystkich — bez względu na partyjną przynależność i dawne zasługi — za Ural, do Azji Środkowej i Krasnodarskiego Kraju pomiędzy Ukrainą i Kaukazem, stosując system geograficzno-terytorialnej rozsyпки. Wywózka w bydłowych wagonach, bez opieki lekarskiej, wody i prowiantu zdziesiątkowała deportowanych. W ówczesnej sytuacji, kiedy cały Zachód zachwycał się Stalinem i jego polityką, nie znalazł się w „wolnym świecie” nikt, kto by napiętnował nowe zbrodnie, idące śladem niedawnych okropności hitlerowskich. Dla zesłańców nastał straszny czas głodu i poniewierki. Zaprowadzono reżym stanu wyjątkowego ze wszystkimi konsekwencjami, które z tego wynikały, a więc ograniczenie praw obywatelskich i zawodowych, obowiązek meldowania się na posterunkach milicji, zakaz zebrań, religii i szkolnictwa. Zaś na posiedzeniu Prezydium Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej sekretarz Bachmurow publicznie uzasadnił przesładowania udziałem wojskowych formacji tatarskich w walce przeciwko Armii Czerwonej, organizowaniem rzekomych akcji sabotażowych na zapleczu wojsk sowieckich i biernym stosunkiem większości społeczeństwa tatarskiego wobec „zdrajców”.

Po śmierci Stalina

Dopiero po śmierci Stalina przypomniano sobie o niedoli Tatarów. Uczynił to Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZS w lutym 1956 roku, mówiąc w słynnym tajnym referacie, że Stalin zastosował masowy terror z rozmysłem i pragnął nawet wysiedlić Ukraińców, ale było ich zbyt dużo i brakowało odpowiednich terenów do deportacji w takich rozmiarach. Rada Najwyższa uchwaliła 11 lutego 1957 roku cofnięcie ukazów o deportacji narodów kaukaskich i Kałmuków, ale nie wspomniała o Tatarach. Czekali oni na to aż do ukazu z 5 września 1967 roku. Ale zakaz repatriacji do kraju ojczystego pozostał nadal w mocy, i to jest kością niezgody pomiędzy deportowanymi a reżymem w Moskwie.

Krym, po zesłaniu ludności tatarskiej i po rozwiązaniu Autonomicznej Republiki, dekretem z 30 czerwca 1945 roku przyłączono do Rosji jako enklawę na wzór regionu Królewa w dawnych Prusach Wschodnich, ohrzczonego obwodem kaliningradzkim. Krym miał być ryglem rosyjskim przeciwko Ukrainie i Rumunii. Po śmierci Stalina doszło do zmiany w układzie prawnym. Ukazem z 19 lutego 1954 roku Półwysep Krymski przydzielono Ukrainie. W międzyczasie mozaika ludnościowa uległa ogromnym zmianom. Tatarów doliczono się w ostatnim spisie z 1970 roku aż 6 tysięcy! Rosjan jest tam obecnie ponad milion, Ukraińców prawie pół miliona, Żydów 25 tysięcy, a Polaków tyleż co

Tatarów. Zniknęli Grecy, Bułgarzy, Ormianie. Jest natomiast jeszcze mała garstka karaimów. Wszystkich razem milion osiemset tysięcy. Cały półwysep ma powierzchnię liczącą trochę więcej niż 25 tysięcy kilometrów kwadratowych. Gęstość zaludnienia nie jest zbyt wielka, ale ludności przybywa, szczególnie na południowym wybrzeżu — atrakcyjnej sowieckiej Riwierze.

Tatarzy krymscy są rozrzućeni pomiędzy pięcioma republikami Środkowej Azji i na licznych połaciach Republiki Rosyjskiej, głównie za Uralem, w Krasnojarskim Kraju i w kemerowskim obwodzie jak też we wspomnianym już Krasnodarskim Kraju. Niesłychana witalność i rozrodczość w wielkich rodzinach, gdzie ośmioro dzieci to reguła, a bywa i jedenaścioro, a nawet czternaścioro, sprawiły, że liczba Tatarów w porównaniu ze stanem podczas wywózki wzrosła czterokrotnie. Największe ich skupisko to Uzbekistan. Tam jest ich obecnie, według spisu ludności, 573 tysiące, ale są to dane z 1970 roku. Obecnie liczba ta na pewno przekroczyła sześćset tysięcy. Następne co do wielkości skupisko Tatarów to Kazachstan, gdzie oficjalnie jest ich 287 tysięcy, a przypuszczalnie już ponad 300 tysięcy, dalej Tadżykistan — 70 tysięcy, Kirgistan — 69 tysięcy. W samej Rosji Tatarów krymskich rozsianych w rozległej diaspory jest chyba ponad sto tysięcy. Większość to synowie, wnukowie i prawnukowie wysiedleńców z 1944 roku. Nikt nie wie, ilu z nich chce naprawdę wrócić do kraju ojców i dziadków. Reszta Dżemilew, jeden z głównych działaczy ruchu rewindykacyjnego, twierdzi, że według jego ocen gotowość do wyjazdu na Krym wykazuje około pół miliona ludzi.

Ale czy Moskwa się na to zgodzi? Ukraińscy dysydenci, jak np. niedawno zmarły na obczyźnie generał Piotr Hryhorenko oraz Czernow i Karawanśkyj opowiadali się za zadośćuczynieniem krywdy wyrządzonej Tatarom. Hryhorenko był głównym ordonikiem ich sprawy. Namawiał ich do publicznych manifestacji, sam piętnował zbrodnie Stalina jako faszystowskie, za co go zamknęli do więzienia i do specjalnej kliniki psychiatrycznej. Jeździł do Taszkientu i brał udział w wiecach protestacyjnych. To za jego sprawą przybyła do Moskwy w maju 1968 roku pierwsza delegacja z dalekiego Uzbekistanu. Wówczas Breżniew kazał Tatarów rozpuścić, a przywódców aresztować. Od tego czasu trwa nierówna walka o przywrócenie praw sponiewieranemu narodowi. Kreml zdaje się grać na zwłokę. Nie chce w żaden sposób stworzyć precedensu, który mógłby wywołać lawinę podobnych żądań rewindykacyjnych. Natomiast przedstawiciele opozycji: wdowa po Anatolu Marczenko, Łarysa Bogoraz, Aleksander Podrabinek, Aleksander Daniel, Aleksy Smirnow z Moskwy, Janis i Kunta Rożkałns z Rygi, Ołes Szewczenko z Kijowa w pełni popierają rewindykacyjny program Tatarów krymskich.

Bohdan OSADCZUK

Berlin, 8 sierpnia 1987 r.

W sowieckiej prasie

Sowiecka chronologia jest „rzeczą samą w sobie”. Zdarzenia historyczne pojawiają się w oficjalnej historii i znikają z niej, wynurzają się znowu w zmienionej wersji i ponownie rozpluwają jak fata morgana. Władza sowiecka obchodzi w bieżącym roku siedemdziesięciolecie. W przeddzień jubileuszu tylko dwie daty nie budzą wątpliwości: 25 października 1917, dzień, w którym partia bolszewików pod przewodnictwem Lenina przejęła władzę w Rosji, oraz kwietniowe (1985) plenum KC PZPR, na którym Michaił Gorbaczow wyłożył na miesiąc przed objęciem stanowiska generalnego sekretarza partii główne rysy swego programu. Nieprzypadkowo (przypadek jest zawsze uświadomioną koniecznością!) Gorbaczow wybrał kwiecień. W kwietniu 1917 roku Lenin przyjechał do Rosji i ogłosił „tezy kwietniowe” — zapowiedź rewolucji socjalistycznej. Po nowych „tezach kwietniowych” Gorbaczowa czas odmierzała kolejne plena. Na każdym z nich, a także na XXVII Zjeździe, Gorbaczow rozszerza, uściśla i tłumaczy projekt nowej rewolucji. W obecnym roku odbyły się już dwa plena, styczniowe i czerwcowe. Styczniowe poświęcono polityce kadrowej partii, a czerwcowe gospodarce. Referat Gorbaczowa, zatytułowany „O zadaniach partii w dziedzinie fundamentalnej przebudowy zarządzania gospodarką”, zarysował kontury reformy gospodarczej, na której ma się oprzeć rewolucja Gorbaczowa.

Lekturę niekończącego się — 110 stron! — referatu Gorbaczowa należy poprzedzić artykułem ekonomisty Nikołaja Szmieleva pt. „Zaliczki i długi”, opublikowanym w czerwcowym numerze *Nowego mira* (1987). Jest to najostrzejsza i najbardziej konsekwentna krytyka sowieckiego modelu ekonomicznego, jaka pojawiła się w prasie sowieckiej. Zwrócono na nią uwagę także dlatego, że Gorbaczow powoływał się na nią w swym referacie. Na pytanie, co myśli o teście Szmieleva, generalny sekretarz odpowiedział: „Podzieliłbym go na dwie części. Pierwsza dotyczy analizy sytuacji w gospodarce i tu obraz bliski jest rzeczywistości. Powiemy to jasno na plenum. Druga zawiera propozycje autora. Dopuszcza on np. możliwość bezrobocia. Nie, to nam nie odpowiada”.

Spójrzmy najpierw na pierwszą część artykułu Szmieleva. Za przyczynę wszystkich trudności uważa on „wieloletnie próby przełamania obiektywnych praw ekonomicznych”, w wyniku których „powstała gospodarka nie poddająca się niemal planowaniu”, którą jednak usiłuje się planować. Centralne planowanie obejmuje — pisze Szmielew — prawie dwadzieścia cztery miliony produktów. „Pora nazwać głupotę głupotą, niekompetencję niekompetencją, a królujący wciąż stalinizm stalinizmem” — podsumowuje Szmielew.

W rezultacie gospodarka sowiecka „odrzuca postęp naukowo-techniczny” i produkuje rzeczy zbędne, kiedy brak niezbędnych. Szmielew sporządza listę, która uchodziłaby za „ekstremistyczną”, gdyby wyszła spod pióra przeciwnika władzy sowieckiej: „Produkujemy niemal dwa razy tyle metalu co Stany Zjednoczone... a potrzebny nam jest inny metal innej jakości; nie potrzebujemy więcej energii, nie potrzebujemy więcej wody... przerażające straty wody, marnotrawionej w istniejących już sieciach irygacyjnych... sięgają 75%; niepotrzebny nam import zboża... który równa się praktycznie corocznym stratom naszych własnych zbiorów; nie potrzeba nam więcej traktorów... produkujemy ich i tak sześć do siedmiu razy więcej niż Stany Zjednoczone; natomiast istniejący park traktorów powinien działać...; nie potrzeba nam więcej obrabiarek, i tak mamy ich dwa i pół raza więcej niż Stany Zjednoczone, natomiast potrzeba nam obrabiarek innego typu, które pracowałyby nie na jedną, a chociażby na dwie zmiany, nie mówiąc już o trzech; nie potrzeba nam też więcej butów: i tak produkujemy ich więcej niż ktokolwiek na świecie, a kupić w sklepie nie ma co”. Optymistycznie oceniając — pisze Szmielew — 17%-18% sowieckiej produkcji odpowiada światowym standardom; pesymistycznie — 7%-8%.

Cóż więc robić? Nikołaj Szmielew proponuje „przebudowę”. Niektóre punkty jego programu można zrealizować od razu. Proponuje on np. skierowanie do obrotu zapasów, które przedsiębiorstwa chowają na wypadek przerw w dostawach; zdaniem Szmieleva w zapasach tych zamrożonych jest 450 miliardów rubli. Gorbaczow zgadza się z tą propozycją, choć wartość zapasów ocenia na nie więcej niż 300 miliardów rubli. Wśród propozycji Szmieleva widnieje i ta, którą Gorbaczow odrzucił jako absolutnie nie do przyjęcia: „Powinniśmy bez strachu i rzeczowo rozważyć, co może nam dać stosunkowo nieduża rezerwowa armia pracy...”. Zdaniem Szmieleva „realne ryzyko utraty pracy, przejście na chwilowe bezrobocie lub konieczność pracy tam, dokąd posłą byłoby całkiem dobrym lekarstwem na lenistwo i nieodpowiedzialność”.

Szmielew traktuje „rezerwową armię pracy” przede wszystkim jako lekarstwo dla „mas pracujących, które osiągnęły niemal całkowitą obojętność wobec wydajnej, sumiennej pracy”. Są i inne zdania. Dziennikarz Fiodor Burłackij, wierna tuba Gorbaczowa, pisze w *Prawdzie* z 18 lipca br., że dyrektorzy przedsiębiorstw sowieckich gotowi są obciążyć liczbę pracowników o jedną czwartą, a nawet o jedną trzecią. W skali całego kraju dałoby to kilkadziesiąt milionów ludzi. „Co z nimi zrobić?” — pyta Burłackij i odpowiada — „prawo do pracy jest główną zdobyczą socjalizmu”.

Gorbaczow uwzględnił w swym referacie dwie propozycje Szmieleva: reformę cen i reformę rynku. Szmielew rozumuje jak ekonomista i wywód jego jest logiczny. Zaleca przede wszystkim „znaczące podwyższenie cen artykułów przemysłowych i usług komunalnych”, ponieważ dotowanie zbyt niskich cen podstawo-

wych towarów przemysłowych pochłania ponad 50 miliardów rubli. Należy więc, zdaniem Szmieleva, podwyższyć ceny sowieckie i dostosować je do poziomu światowego. Wreszcie należy „ustalić realny i jednolity kurs rubla i przekształcić go w walutę wymienialną, jak dolar czy funt”.

Reforma cen i rubla konieczna jest, zdaniem Szmieleva, z dwóch powodów, o których inni ekonomiści wspominają zaledwie półgębkiem, a Gorbaczow wcale. Zdaniem Szmieleva należy zacząć od krajów RWPG zwrotu „znacznego długu”, a następnie stworzyć „wspólny rynek” krajów RWPG. Proponuje też rewizję „całej naszej polityki pomocy ekonomicznej dla krajów socjalistycznych i rozwijających się. I w tym przypadku chodzi o miliardy”.

W sumie Szmielew proponuje powrót do NEP-u i uważa, że „odejście od leninowskiej nowej polityki ekonomicznej niesłychanie zaszkodziło budownictwu socjalistycznemu w ZSSR”. Zdaniem Szmieleva odejście od NEP-u, kolektywizacja i wszystko, co po niej nastąpiło doprowadziło do powstania monstrualnego aparatu biurokratycznego, który zdławił budownictwo socjalistyczne. Równocześnie autor „Zaliczek i długów” cytuje (po raz pierwszy od sześćdziesięciu pięciu lat) słynne słowa Lenina: „Wszystko u nas utonęło w parszywym biurokratycznym błocie 'resortów'. Konsekwentna walka z tym wymaga dużego autorytetu, rozumu i silnej ręki. Resorty to gówno; dekrety — też gówno”. Lenin napisał te przenikliwe słowa w 1922 roku, pięć lat po rewolucji, o systemie, którym osobiście kierował.

Szmielewowi pozwolono na zacytowanie tych rzadko wspomnianych słów (świetnie wykorzystał je Andriej Płatonow w opowiadaniu „Usomniewszość Makara”, wzbudzając tym gniew Stalina), ponieważ nikt dziś nie może mieć wątpliwości, o kim myślał Lenin, mówiąc o „dużym autorytecie, rozumie i silnej ręce”.

Referat Gorbaczowa o gospodarce był referatem politycznym. Lektura tego referatu na plenum była najoczywistszym dowodem, że racjonalna gospodarka nie da się pogodzić z sowieckim systemem. Przemówienie trwało sześć godzin. Na sali siedzą przywódcy Związku Sowieckiego, śmietanka umysłowa kraju, ludzie mający w małym palcu wszelkie osiągnięcia najnowszej techniki, a generalny sekretarz czyta im jak dzieciom przez sześć godzin bajkę o reformach. Rytuał się nie zmienia: generalny sekretarz przemówi, a słowo ciążem się stanie.

Porównując referat Gorbaczowa z artykułem Szmieleva, dochodzimy do wniosku, że z czysto ekonomicznego punktu widzenia dałoby się nieco poprawić obecną kryzysową sytuację w gospodarce sowieckiej, wymagałoby to jednak rezygnacji z ambicji światowych i przekształcenia ZSSR w trzeciorzędne państwo. Wówczas można by zmienić strukturę zarządzania i zaufać ekonomistom. Szmielew proponuje dostosowanie ambicji politycznych do możliwości ekonomicznych. Gorbaczow żąda dostosowania możliwości ekonomicznych do ambicji politycznych.

Główną ambicją polityczną generalnego sekretarza jest umocnienie władzy partii, czyli własnej. Na czym ma polegać „funda-

mentalna przebudowa zarządzania gospodarką”, o której mówi Gorbaczow (pamiętajmy, że idzie nie o przebudowę gospodarki, tylko modelu zarządzania)? Na ograniczeniu władzy centralnego organu planowania, *Gosplanu*. Kiedy w 1920 roku związki zawodowe zaczęły pretendować do udziału w zarządzaniu gospodarką, chcąc konkurować z partią, Trocki uznał, że trzeba „przetrzeć” związki zawodowe. Gorbaczow „przetrzepuje” *Gosplan*, który w latach breżniewowskiego „zastoju” zdobył za dużą władzę kosztem partii. W latach chińskiej rewolucji kulturalnej Mao kazał siekać ogniem „sztaby” rewizjonistów, mając na myśli swoich przeciwników w KC i w Biurze Politycznym. Gorbaczow kieruje ogień w *Gosplan*, sztab główny aparatu zarządzania, liczącego 18 milionów urzędników. „Rewolucja gospodarcza” Gorbaczowa polega — na papierze — na tym, że „głównym ogniwem planowania i zarządzania staje się przedsiębiorstwo i zjednoczenie”. *Gosplan* można rozpędzić. Fiodor Burłackij sugeruje dwukrotne, a może i trzykrotne zmniejszenie aparatu zarządzania. Przy tym wszystkim plan zostaje podstawą życia w ZSSR. Występując przed kierownictwem środków masowej informacji Gorbaczow jednoznacznie powiedział (*Prawda* z 15 lipca br.): „Ten i ów proponował też rzeczy, które wykraczają poza ramy naszego systemu, np. rezygnację z gospodarki planowej. Nie zgodziliśmy się na to i nie zgodzimy nigdy, ponieważ zamierzamy socjalizm umocnić, a nie zastąpić innym ustrojem”.

Odrzucono też koncepcję „wolnego rynku”, co oczywiście nie pozwoli na radykalną reformę cen. Jest oczywiste, że przy katastrofalnie niskiej wydajności pracy w ZSSR w razie wolnego rynku wypadłoby zrezygnować np. z produkcji broni, która byłaby za droga nawet dla armii czerwonej.

Projekt reformy został zatwierdzony. Pozostaje czekać na rezultaty. Konkretnie, już zastosowane środki pozwalają przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie reforma. Przede wszystkim zmieniono skład najwyższego organu partii. Na czerwcowym plenum wprowadzono do Biura trzech nowych ogniw — Aleksandra Jakowlewa, Nikołaja Słuckowa i Wiktora Nikonowa. Wszyscy trzej są zarazem członkami KC. W efekcie „pokój nr 1”, do którego wstępu mają tylko członkowie Biura Politycznego będący zarazem członkami KC, składa się dziś z sześciu osób. Ta szóstka stanowi najwyższą władzę ZSSR: generalny sekretarz Gorbaczow, dwaj sekretarze ideologiczni, Ligaczow i Jakowlew, i trzech sekretarze ekonomiczni — Słuckow, Nikonow i Zajkow. „Trójka ekonomiczna” będzie trzymać w swych rękach całą gospodarkę ZSSR, kontrolować *Gosplan*, rząd i aparat biurokratyczny.

Ustawa o reformie ekonomicznej została uchwalona w czerwcu, ale zmiany przeprowadzane są już od ponad roku. Wszystkie pochodzą z arsenału Stalina. Oślepiiony „liberalizacją” w dziedzinie sztuk pięknych, świat nie dostrzega przykręcenia śruby w gospodarce. Do stalinowskich metod należą: przyjmowanie produkcji przez państwo, wyraz całkowitego braku zaufania do przedsiębiorstw (zupełnie zresztą uzasadnionego); wprowadze-

nie w głównych przedsiębiorstwach (np. w elektrowniach atomowych) stanowiska referenta KC — oczu i uszu Moskwy — nie podlegającego nikomu poza KC; ograniczenie swobody zmiany miejsca pracy (wolno tylko raz do roku, za pośrednictwem urzędu zatrudnienia i za zezwoleniem milicji); przejście przedsiębiorstw na system rozrachunku ekonomicznego (samofinansowania) dokonuje się w sposób nakazowy, bez względu na to, czy są do tego przygotowane.

Na zakończenie sześciogodzinnego referatu Gorbaczow oświadczył: „... Naszym głównym zadaniem — od KC do Podstawowej Organizacji Partyjnej — jest zabezpieczenie normalnego funkcjonowania gospodarki narodowej”. „Naszym zadaniem” znaczy zadaniem partii.

Trzy tygodnie po wspomnianym referacie Gorbaczow przemówił do kierownictwa środków masowego przekazu i związków twórczych: naczelni redaktorzy gazet i czasopism, kierownictwo Związku Pisarzy Sowieckich, Związku Filmowców, agencji prasowych szerzą słowo Gorbaczowa, kształtują opinię publiczną w kraju i za granicą. Jest to ulubione audytorium Gorbaczowa. Amerykański dziennikarz Strob Talbott napisał w *Time* poświęconym „rewolucji Gorbaczowa” (27 lipca br.), że „reklamowy sukces” Gorbaczowa jest niebywały i przerósł nawet „wielkiego mistrza komunikacji” Reagana.

Gorbaczow — przyznajmy mu sprawiedliwość — docenia swoje sukcesy i pomoc współuczestników: „Wysoko cenimy wkład, który wnoszą w przebudowę nasze środki masowego przekazu” (*Prawda* z 15 lipca br.).

Generalny sekretarz zebrał „środki masowego przekazu”, żeby przekazać im kilka dyrektyw. Zaczyna się bowiem nowy etap. „Główne kwestie strategiczne zostały rozwiązane — oświadczył. — Nadszedł czas pracy konstruktywnej”. To pozornie niewinne słówko ma w ZSSR bogatą historię. Towarzysz Stalin w swoim czasie mądrze zauważył, że „potrzebna nam jest konstruktywna krytyka”. Zupełnie niedawno Jegor Ligaczow odwiedził redakcję *Sowietskoj kultury* i też mądrze stwierdził, że „potrzebna nam jest konstruktywna *glasnost*”. Fiodor Burlackij, czołowy sowiecki politolog, uważa, że kwestia nie wymaga nawet wyjaśnień: „Czyż trzeba przypominać, że niekonstruktywna krytyka jest najprymitywniejszym wyrazem świadomości społecznej?”.

Co ma na myśli Gorbaczow, mówiąc o przejściu na nowy, wyższy etap „konstruktywnej pracy”? Przede wszystkim sygnalizuje, że z powodzeniem zakończono poprzedni, na którym rozwiązywano „strategiczne kwestie”. „Nie myślę — cieszy się Gorbaczow — by ktokolwiek miał dziś zgodzić się z myślą, że można się obejść bez partii”. „Bez partii, zdolnej stworzyć naukowe podstawy i zaproponować odpowiednią politykę”, przebudowa jest niemożliwa. „Społeczeństwo socjalistyczne potrzebuje aktywnej, silnej partii, a sama partia potrzebuje bujnego, pełnego życia”. Wreszcie: „partia znowu dowiodła, że spełnia swą misję kierowniczej siły w społeczeństwie. To ona jest prawdziwym organizatorem społeczeństwa i jego awangardą polityczną”.

Wydawałoby się, że to nic nowego. Zapisane to jest czarno na białym w konstytucji ZSSR, zatwierdzonej w dobrych latach rządów towarzysza Breżniewa (1977). Podkreślając rolę partii i jej niezbędność, Gorbaczow chce powiedzieć, że w ostatnich latach rządów Breżniewa jej rola osłabła, aż nastał on i przywrócił partii należne jej miejsce. To pierwsza myśl, jaką chciał — co podkreśla — przypomnieć w referacie na czerwcowym plenum. Ta właśnie myśl ma stać się nicią i gwiazdą przewodnią sowieckiej propagandy i środków masowego przekazu: pod przewodnictwem Gorbaczowa partia, jak w 1917 roku, znowu obejmuje władzę!

Referat zawierał też drugą myśl (a może nawet i trzecią, ale Gorbaczow twierdzi, że dwie): naród sowiecki zauważył, że „istnieją sprzeczności między słowami a czynami”. Gorbaczow przyznaje, że póki co życie sowieckich obywateli się nie zmieniło, że — na razie, podkreśla — dostali tylko słowa. W związku z tym druga myśl: zabrać się poważnie za „pierwszoplanowe, pilne zadania”: funkcjonowanie handlu, porządek na ulicach, budownictwo mieszkaniowe, zaopatrzenie. Od siedemdziesięciu lat ludzie męczą się z braku mieszkań, zaopatrzenia, transportu, sklepów... Pora wreszcie rzucić im jakiś ochłap.

Środki masowego przekazu niczego nie mogą zrobić (nie mogą np. zbudować mieszkań ani dać ludziom chleba czy mięsa); skoro jednak nie można zmienić rzeczywistości, można zmienić jej obraz. To ma na myśli generalny sekretarz, mówiąc o przejściu na etap „konstruktywnej pracy”: „Jest bardzo ważne, abyśmy dostrzegali wszystko, co rozwija się pozytywnie”. To nie znaczy — zapewnia Gorbaczow — że dość już krytyki. Ale „jawność nie znaczy, że wszystko wolno. Jawność to krytyka niedostatków, ale nie podkop pod socjalizm...”. Występujący po Gorbaczowie kierownicy sowieckich mass mediów w pełni się zgodzili, że pora postawić tamę jawności. Naczelny redaktor *Drużby narodow* Barzudin skarżył się, że „w przeszłości szukamy tylko elementów negatywnych”. Jakiś anonimowy głos dorzucił: „Ten i ów rozumie jawność jako pokaz negatywnych zjawisk”. Na to Gorbaczow odpowiada krótko i przekonywująco: „To niesłuszne”. Naczelny redaktor *Izwestii* ostrzega: „Wydaje mi się, że wszystkich nas już trochę zmęczyła jawność i mówienie wprost”. Gorbaczow oświadcza: „Biuro Polityczne jest przekonane, że jawność jest normalnym stanem społeczeństwa... Ale jawność to nie tylko krytyka. To także wszystko, co się dokonuje konstruktywnego, to afirmacja nowego, wszystkiego, czegośmy dokonali”.

Nie ograniczając się do teorii, Gorbaczow radzi konkretnie, sugeruje „czasopismom i gazetom, a nawet literaturze pięknej główny temat”: oto mamy dwa sąsiadujące ze sobą rejony, dwa przedsiębiorstwa, dwa obwody, dwie republiki — trzeba pokazać, jak „w jednej podejście prowadzi wzwyż... a w drugiej obezwładnia kolektywy i jednostki”. W najbliższym czasie należy się spodziewać fali artykułów, esejów, opowiadań i powieści na zadany przez generalnego sekretarza temat.

W poprzednim przeglądzie pisałem, że pod koniec maja br.

grupa niedawno zwolnionych więźniów politycznych ogłosiła, że zamierza wydawać niezależny biuletyn informacyjny *Głosnost*. Stwierdziłem, że po raz pierwszy „jawnosc zdaje egzamin”. Dnia 3 lipca br. na konferencji prasowej zarezerwowanej dla dziennikarzy zagranicznych wydawcy *Głosnosti* pokazali pierwszy numer biuletynu. Pisany jest na maszynie i liczy 48 stron. Nakład ok. 50 egzemplarzy. Numer zawiera oświadczenie redakcji, że konieczna jest prasa niezależna, opis sytuacji w czystopolskim więzieniu, kronikę kulturalną i inne materiały. Najciekawszy jest moim zdaniem dział „Kluby dyskusyjne, seminaria, odczyty”. Informuje on o dyskusjach, jakie toczą się w Moskwie w kręgach inteligenckich na aktualne tematy. Na przykład w klubie „Badania pokojowe i społeczne” rozważano 21 marca 1987, czy możliwe są prawdziwe zmiany w gospodarce sowieckiej. Wypowiadało różne zdania, wszyscy jednak zgodzili się, że „za dwa-trzy lata kierownictwo zrozumie, że chcąc zrealizować potencjalne możliwości przeprowadzanych obecnie reform trzeba koniecznie pójść dalej w demokratyzacji społeczeństwa”.

13 lipca br., dziesięć dni po ukazaniu się pierwszego numeru *Głosnosti*, redaktor pisma Siergiej Grigorianz otrzymał oficjalną odpowiedź na prośbę o legalizację pisma. Wiceprzewodniczący Komitetu Prasowego oznajmił mu, że pismo nie zostanie zarejestrowane, ponieważ zgody na publikację udziela się tylko wydawnictwom państwowym i społecznym, a po drugie w Związku Sowieckim i tak ukazują się tysiące gazet i czasopism. *Głosnost* jednak nie konfiskowano. Pismo nie jest ani dozwolone, ani zakazane. Jest to sytuacja charakterystyczna dla aktualnego etapu gorbaczowowskiej jawności. Pismo można w każdej chwili zdelegalizować, a wydawców aresztować. Są poza prawem.

W Paryżu wystąpił niedawno na konferencji prasowej Jurij Fiodorow, przedostatni zwolniony członek grupy, która w 1970 roku usiłowała porwać samolot. Skazany na piętnaście lat, Jurij Fiodorow odsiedział cały wyrok i dopiero w 1987 udało mu się wsiąść do samolotu i odlecieć na Zachód. Po wyjściu z więzienia żył w Aleksandrowie, około stu kilometrów od Moskwy. „Pytałem ponad tysiąc ludzi — opowiadał Fiodorow — jaki jest ich stosunek do reform Gorbaczowa. Mniej więcej 30 % odnosi się do tej kampanii zdecydowanie wrogo, około 50 % nie wierzy, by przebudowa i jawność mogły cokolwiek zmienić na lepsze, a ok. 20 % w ogóle nie rozumie sensu tych pojęć i nie interesuje się nimi”.

Puszkina kończy „Borysa Godunowa” słowami bojara Mosalskiego do narodu: „No i czemuż milczycie? Krzyczcie: niech żyje car Dymitr Iwanowicz!”, po czym dodaje w didaskaliach: „Naród milczy”.

Dziś nowi bojarzy wzywają: „Krzyczcie — niech żyje generalny sekretarz Michaił Siergiejewicz!”. A naród milczy, bo nie widzi — na razie — różnicy między Michaiłem Siergiejewiczem a Leonidem Iljiczem...

Adam KRUCZEK

26 lipca 1987

600-lecie chrystianizacji Litwy

W dniach od 24 do 26 czerwca 1987 odbyło się w gmachu Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie Międzynarodowe Kolokwium Historii Kościelnej, poświęcone chrystianizacji Litwy. Spotkanie to, które zgromadziło 12-tu historyków, miało miejsce w ramach obchodów 600-lecia nawrócenia tego kraju (w 1986 roku obchodzono 800-lecie chrztu Łotwy). Promotorem kolokwium był Papież Jan Paweł II, który przesłał uczestnikom list z Błogosławieństwem Apostolskim. Kilka dni później odwiedził On Mszę Pontyfikalną w Watykanie (nie mogąc się osobiście wybrać do Wilna), podczas której został beatyfikowany były biskup wileński Jerzy Matulaitis — Matulewicz.

Warto wymienić tu przybyłych na sympozjum (kursywą, temat prelekcji):

— dr Marija GIMBUTAS, profesor archeologii europejskiej i studiów indo-europejskich na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles — *Przedchrześcijańska religia Litwinów*;

— dr Manfred HELLMANN, profesor emerytowany Uniwersytetu w Münster (RFN) — *Papieże a Litwa w XIII i XIV wieku*;

— Rasa MAZEIKA, doktor Uniwersytetu w Toronto — *Stosunki Wielkiego Księcia Olgierda ze wschodnimi i zachodnimi chrześcijanami*;

— Michał GIEDROYC, historyk ściśle współpracujący z uniwersytetami Oksfordzkim i Harvardzkim — *Opcje Litwy przed Krewem 1385 roku*;

— dr William URBAN, profesor w Monmouth College (Stan Illinois) — *Państwo Krzyżackie a chrystianizacja Litwy*;

— dr Jerzy KŁOCZOWSKI, profesor KUL-u oraz Sorbony w Paryżu — *Polska a chrystianizacja Litwy*;

— ks. dr Tadeusz KRAHEL, profesor na Wyższym Seminarium Białostockim oraz Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie — *Organizacja kościelna w początkach Kościoła na Litwie*;

— ks. prof. Marek ZAHAJKIEWICZ, dyrektor Instytutu Historii Kościoła na Fakultecie Teologicznym KUL-u — *Teoria i praktyka ewangelizacji w „procesie” chrystianizacji Litwy*;

— dr Kaspar ELM, profesor historii średniowiecznej na Freie Universität w Berlinie — *Rola Zakonów Krzyżackich w chrystianizacji Litwy w XIII-XIV wieku*;

— ks. prof. Paulius RABIKAIUSKAS T.J., dziekan Fakultetu Historii Kościoła Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie — *Chryścianizacja Żmudzi w 1413-1417 r.*;

— prof. Tore S. NYBERG, doktor filozofii, lektor Historii Średniowiecznej na Uniwersytecie Odensee w Danii — *Skandynawia a chrystianizacja południowo-wschodniego Bałtyku*;

— ks. prof. Algimantas KAJACKAS, z Fakultetu Teologicznego w Kownie — *Historia oraz najnowsze poszukiwania archeologiczne w Katedrze Wileńskiej*.

Zaskakuje więc pozytywnie obecność tylu specjalistów historii Średniowiecza. Nie chodzi tu o ilość, lecz o różnorodność narodowości reprezentujących, rzecz jasna, historiografię własnego kraju; jednak uczestnicy przed-

stawiali przy tej okazji szerszą optykę poruszonego tematu, nie ograniczając się do analizy z punktu widzenia jedynie narodowego. Przybyli na kolokwium mogli porównać wyniki swych badań. Jest to niewątpliwie sukces organizatorów, powiększony faktem, iż nie było dużych rozbieżności w przedstawionych tezach, z wyjątkiem może roli Państwa Krzyżackiego w rejonie geograficznie nas interesującym. Szkoda poza tym, że nie był obecny żaden przedstawiciel Kościoła Prawosławnego.

Można mieć nadzieję, iż spotkanie to przyczyni się do pogłębienia współpracy szerszej niż to miało miejsce dotychczas.

W czasie dyskusji wyłoniła się możliwość przyszłej wymiany zdań, więc współpracy na bazie też Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Z czasem, zatarła się zła opinia polskiej historiografii średniowiecznej o Jagiellonach (pamiętamy jak Długosz negatywnie oceniał Władysława Jagiełłę). Wtedy to obserwuje się narodziny dwóch granic: politycznej na Wschodzie, religijnej na Zachodzie. Pomiędzy tym podziałem znaleźli się przodkowie Ukraińców i Białorusinów. Jak ułożyły się ich stosunki z sąsiadami? Odpowiedź nam na pewno przyniosą następne spotkania, przewidziane w przyszłym roku, z okazji 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej.

Witold Jacek ZAHORSKI

Kronika litewska

Według informacji *Musu Pastoge* z dn. 18 maja 1987 kierownictwo Narodowego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK), w związku z zabiegami o przydzielenie wileńskiego arcybiskupstwa do litewskiej prowincji kościelnej, oświadczyło: 1. że część archidiecezji wileńskiej przydzielona przez Kreml Litwie jest faktycznie uniezależniona od polskiej prowincji. Jest ona pod zarządem ks. Gutauskasa, członka litewskiej konferencji biskupów; 2. arcybiskupstwo, na skutek Jałty i polsko-sowieckiego układu granicznego, jest faktycznie podzielone na trzy części z administratorami w Wilnie; 3. otrzymano informacje z Watykanu, że nie są przewidziane zmiany gdyż a) takie zmiany można wprowadzać, gdy granice są zatwierdzone przez międzynarodowe traktaty, a obecne granice są ustalone jednostronnie przez Moskwę; b) Watykan nie uznaje włączenia przemocą Litwy do Związku Sowieckiego. Świadczy o tym uznawanie litewskiego przedstawicielstwa przy Stolicy Apostolskiej; c) w Watykanie sądzą, że oficjalne rozstrzygnięcie sprawy arcybiskupstwa wileńskiego byłoby uznaniem sowieckiej aneksji, gdyż sprawa mogłaby być załatwiona tylko drogą zawarcia traktatu ze Związkiem Sowieckim. ■ Sekretarz litewskiej kompartii p. Griškevicius w raporcie do centralnego komitetu tejże partii poucza: „W naszej pracy z kadrami musimy ściśle trzymać się leninowskiej polityki narodowościowej. Skład narodowościowy kadr kierownictwa musi odpowiadać strukturze narodowościowej mieszkańców republiki. Zbyt wielu Litwinów jest na stanowiskach ministrów, dyrektorów agencji i komitetów, podczas gdy niemiejskowie narodowości są nieobecni lub za mało reprezentowani. Młodzieży litewskiej brak sowieckiej mentalności. Nacjonalizm musi być wykorzeniony. Z roku na rok seminarium teologiczne zapełnia się maturzystami z rejonów Ignalina, Pren i Wyłkowyszek. Od lat ludność Wilna, Szawel i Święcian wyraża aktywnie swe nastawienie religijne. W tych miastach partia nie dążyła należycie

do wzmożenia działalności ateistycznej, należy więc zdecydowanie a inteligentnie demaskować objawy religijnego ekstremizmu”. ■ Jak się przedstawia sprawa rusyfikacji? W roku 1940 mieszkało na Litwie 50-60 tysięcy Rosjan, a według danych z prasy krajowej liczba ich jest obecnie oceniana na 350 tysięcy, z innymi Słowian, to jest Polaków, Białorusinów i Ukraińców łącznie na 320 tysięcy. ■ Pod rządami Gorbaczowa walka z religią nie tylko nie została złagodzona, lecz się zaostrzyła. Gorbaczow podczas wizyty w republikach bałtyckich twierdził, że Baktowie więcej dostają od Moskwy, niż jej dają. Pisarze litewscy nie śpieszą się z korzystaniem z odwilży, pomni, że zawsze po odwilży następował mróz. ■ *Zmiany w stosunku do emigracji*. Nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora *Gimtasis Kraštas* (Kraj Rodzinny), pisma przeznaczanego dla emigracji, dotychczas utrzymywanego w tonie tak komunistycznym, że jego oddziaływanie było minimalne. Nowy redaktor nadał pismu kierunek patriotyczny, jest on nastawiony na urabianie przychylniejszych poglądów młodego pokolenia na emigracji. W oczach emigracji odwilż została mocno zmrożona decyzją rządu wstrzymania całkowicie ruchu turystycznego między Litwą a zagranicą na okres czerwca br., tak aby żaden Litwin nie mógł przybyć na wileńskie uroczystości jubileuszu 600-lecia chrztu Litwy, ani też wyjechać na takie uroczystości do Rzymu. ■ W Wilnie został otwarty prywatny sklep z wędlinami, dostępny dla wszystkich za ruble. Stęsknieni rodacy z Kanady pono przysłali zamówienia, ale obustronne przepisy handlu zagranicznego nie dopuściły do tej transakcji. ■ W procesie A. Patackisa, oskarżonego o rozpowszechnianie nielegalnej prasy, miał świadczyć niejaki J. Prapiestis, lecz odmówił on zeznań. W związku z tym został powołany do wojska i wysłany do Czarnobylu, zaś Patackisa zwolniono. ■ 14 czerwca 1987, w rocznicę wielkich deportacji na Syberię, miała miejsce w Rydze wielka demonstracja. Przed pomnikiem wolności złożono wieńce i żądano uwolnienia więźniów politycznych i wolności dla Łotwy. Demonstrację organizowała łotewska grupa Helsinki. Były też delegacje litewska i estońska. Tego dnia nie było aresztowań. *Sowietskaja Łatwija* pisze o tych manifestacjach: „... na wezwanie rozgłośni wrogich wobec ZSSR, podporządkowanych CIA, niektórzy obywatele złożyli kwiaty pod Pomnikiem Wolności. Według wypowiedzi organizatorów celem tej akcji było uczczenie pamięci bliskich, którzy osiem dni przed napadami Niemiec hitlerowskich na Związek Sowiecki zostali przesiedleni w głąb kraju. Jak wiadomo, środki te miały charakter prewencyjny i były wymierzone przeciwko osobom określonej kategorii”. ■ Nijole Sadunaite, nauczycielka skazana na 6 lat za współudział w rozpowszechnianiu KKK Litwy, po odbyciu kary była wciąż nekana przez policję, aż wreszcie ukryła się i napisała pamiętniki z pobytu w łagrach, które doczekały się tłumaczeń i wydań w kilku językach. Podobno napisała też część drugą. Pozbawiono ją mieszkania, gdyż od dłuższego czasu nie była w nim zameldowana. ■ Litewski port bałtycki, niegdyś niemiecki Memel, ma już 200 tysięcy mieszkańców, w tym około 130 tys. katolików. Niemcy wyewakuowali całą ludność — Niemców i Litwinów luteran. Z ofiar zebranych w kraju i na emigracji zbudowano tam nowy kościół katolicki, który przed 25 laty został skonfiskowany. Protesty o jego zwrot nie ustają. W ub. roku pomimo szykan złożono petycję z 76 tysiącami podpisów, zebranych w kraju. Poruszono nawet senat australijski i szereg instytucji niemieckich, by apelowały o zwrot kościoła w Kłajpedzie i katedry wileńskiej. ■ W okręgu kaliningradzkim nie ma żadnego kościoła czy kirchy. Z okazji tysiąclecia chrztu Rusi ma być otwarta cerkiew prawosławna w okolicach Kaliningradu, który już ma 370 tysięcy ludności, tj. tyleż co przedwojenny Królewiec. Okręg ten był dotychczas niedostępny dla cudzoziemców, ale to ma się zmienić. Litwini zwalniani z łagrów, bez prawa osiedlania się na Litwie, wybierali na miejsce osiedlenia pobliski okręg kaliningradzki. ■ *Warszawska Polityka* zamieszcza wrażenia swego korespondenta z Wilna, zacerpnię-

te ze źródeł oficjalnych, więc tendencyjne i czasem niecisłe, np. że w Wilnie jest czynnych 11 kościołów katolickich. (Inne źródła podają mniejszą liczbę); że w druku jest litewski modlitewnik o nakładzie 160 tysięcy (?) i ukazał się litewski dwustronnicowy kalendarz w nakładzie 5.500; że w re-ościadczył, że papież nie dostanie zezwolenia na przyjazd na Litwę. Będą mogli przybyć przedstawiciele Kościoła prawosławnego oraz delegaci z gran-nicy. Wileński Czerwony Sztandar ma nakład 50 tys., z czego połowę sta-nowią prenumeratorzy w Związku Sowieckim, 22 tys. jest wysyłanych do Polski, a reszta jest rozsprzedawana w kioskach. Redaktor Sztandaru jest członkiem centralnego komitetu litewskiej partii. *Polityka* podaje też, że koło Ostrej Bramy starsze kobiety sprzedają dewocjonalia. W powiecie uciańskim za tolerowanie prowadzenia handlu przed kościołem proboszczowie płacili grzywny po 50 rubli. ■ 16 marca 1987 prezydent Reagan wysto-sował list z okazji 15-lecia samizdatowej *Kroniki Kościoła Katolickiego Litwy*. Od roku 1972 wyszły już 72 numery tego wydawnictwa. Rozgłosnie *Voice of America* i *Free Europe* nadawały na kraj wiadomości zaczerpnięte z *Kroniki*. Jak i za poprzednich lat dzień 16 lutego został proklamowany Dniem Niepodległości Litwy. ■ Rzecznik zachodnioniemieckiego minister-stwa spraw zagranicznych w piśmie do przewodniczącego VLIK-u i Światowej Rady Bałtów zapewnił, że Republika Federalna nie uznaje inkorporacji Lit-wy do Związku Sowieckiego. ■ VLIK zakłada swe przedstawicielstwo na Europę w Strasburgu, gdzie będzie utrzymywał stały kontakt z parlamen-tem europejskim, w którym Litwini mają wielu przyjaciół. ■ 7 marca 1987 przybyła do Częstochowy pielgrzymka Litwinów zamieszkających w PRL. Wiek-szość uczestników była w barwnych strojach narodowych. Licznie reprezen-towane były okręgi Sejny i Wrocław. ■ W końcu kwietnia br. odbył się na Litwie tydzień polskiej książki. W księgarniach były polskie wystawy, a w Kownie zespół amatorski przy zakładach „Inkaras” obchodził swój ju-bileusz. ■ 15 maja na posiedzeniu międzynarodowego PEN-Clubu w Lugano powzięto uchwałę potępiającą prześladowania litewskich intelektualis-tów i odbieranie im ich rękopisów. Wymienieni byli: Petkus, Gajauskas, Jesmantas i Peculionis. Wstrzymali się od głosu delegaci: bułgarski, chiński i energowski. Z Sowieców przybyli tylko obserwatorzy, natomiast byli obecni delegaci klubów emigracyjnych łotewskiego i estońskiego oraz Litwin jako członek centrali amerykańskiej. ■ Nie wszyscy byli więz-niowie polityczni są przyjmowani na Zachodzie z otwartymi ramionami. Do Francji przybył Litwin, inż. Simokaitis, po odbyciu kary 15 lat i głodówkach protestacyjnych celem uzyskania zezwolenia na wyjazd. Miał on i inne trudności. Poselstwa amerykańskie i nowozelandzkie odmówiły mu wizy, gdyż przed 17 laty usiłował porwać samolot celem ucieczki na Zachód. Jest więc zakwalifikowany jako porywacz samolotu — terrorysta. Francja udzie-liła mu azylu (może czasowo?) i osiedlił się w Paryżu. ■ W czasie swej wizyty w Polsce papież wielokrotnie wspominał Litwę, co przypomniało Litwę liczny towarzyszącym mu dziennikarzom i trafiło do prasy światowej. Na Wawelu, gdzie urodził się patron Litwy św. Kazimierz i gdzie bywał bło-gosławiony Mikołaj Giedroyc, papież wyraził żal, że nie może odwiedzić Litwy, gdyż władze sowieckie nie dały na to zezwolenia. ■ Papież wysto-sował długie postanie do Episkopatu i wiernych na Litwie (ponad 3 tysiące słów), zakończone wzruszającą modlitwą za Litwę. Wśród postaci zasłużo-nych dla chrystianizacji Litwy wymienieni są trzej królowie — Mindaugas (Mendog), Jogaila (Jagiełło), królewicz św. Kazimieras (Kazimierz) i bis-tulewicz. ■ Kanadyjski tygodnik litewski *Tėviškęs Žiburiai* przypo-mina, że po zakończeniu wojny antysowiecka partyzantka na Litwie trwała ponad 6 lat. Całkowicie przemilczano ten fakt na świecie. Tępieni, mordo-wani, wysłali listy do papieża z prośbą o pomoc i wsparcie moralne. Papież

Pius XII, poddając w wątpliwość autentyczność tego listu, też sprawę prze-milczał. Obecny papież Jan Paweł II przy każdej okazji przypomina światu o ucisku na Litwie. „Żaden papież w dziejach nie zrobił tyle dla Litwy” — pisze tygodnik.

E. ŻAGIELL

Kronika niemiecka

Reżyser Henryk Baranowski, prowadzący od siedmiu lat zachodniobrzeźniński *Transformtheater*, zaprezentował kolejne, międzynarodowe przedstawienie pol-skiego autora. Po *Starej kobiecie Różewicza* i *Królu Dawidzie Kajzara* wy-stawił *Operetkę* Witolda Gombrowicza w nowym tłumaczeniu Christy Vogel. Baranowski powierzył główne role — hrabiego Fiora Tadeuszowi Łomnic-kiemu, barona Firuleta Aleksandrowi Wysockiemu (aktor *Teatru Studio*). Księciem Himalaj był berlińczyk Mattias Meyer. *Morgenpost* zatytułowała recenzję ze spektaklu — *Bogate malarstwo obyczajów z tradycji Felliniego*. ■ Z krakowskiego *Przekroju* dowiadujemy się, że znany reżyser i scenograf Konrad Swinarski (1929-1975) był rodowitym Niemcem, wychowanym w polskiej rodzinie. ■ W Kolonii odbył się wieczór dyskusyjny poświęcony kwestii współczesnego antysemityzmu w Polsce zorganizowany przez GFPS (*Towarzystwo Pomocy Stypendystom z Polski w RFN*). Dr Helga Hirsch (dziennikarka) zreferowała publikacje, które złożyły się na ubiegłoroczny nu-mer *Aneksu*, poświęcony temu zagadnieniu, a Zofia Oryńska-Bakuniak (so-cjolog) omówiła dyskusję wywołaną esejem Jana Błońskiego na temat anty-semityzmu, jaka wywijała się na początku roku na łamach *Tygodnika Powszechnego*. Spotkanie, w którym wzięło udział ok. 20 Niemców i Pola-ków, miało bardzo ożywiony, chwilami gorący przebieg. ■ Na zaproszenie *Polskiej Rady Ekumenicznej* przebywała w PRL delegacja wspólnoty chrześ-cijańskiej kwakrów z RFN. ■ Według DPA w pierwszym półroczu br. 5.668 Polaków poprosiło o azyl w RFN. ■ W niemiecko-niemieckich opera-cjach finansowych jedną markę NRD wymienia się na jedną markę RFN. W zachodnich kantorach bankowych za jedną markę RFN wypłaca się 6,5 marki NRD, natomiast za 100 marek NRD można otrzymać zaledwie 16 marek RFN (w 1982 roku za 100 marek wschodnich płacono jeszcze 24,5 marki zachodnie). Tendencja spadkowa utrzymuje się bez przerwy. W Niemczech Wschodnich zauważono gwałtowny wzrost czarnego rynku wymiany walut. ■ PRL-owskie firmy eksportujące „siły robocze” zatrud-niają na różnych budowach w RFN ponad 4 tys. robotników. Na „czarno” pracuje ich na pewno ponad 50 tysięcy. ■ Wyjazd indywidualny („tu-rystyczny”) do RFN na podstawie zaproszenia: osoba zapraszająca — naj-częściej podstawiona — musi zwrócić się do konsulatu PRL w Kolonii z proś-bą o formularz, wypełnić go, po czym przesłać pocztą wraz z przekazem pieniężnym (36 DM) i znaczkiem pocztowym na odpowiedź. Czeków i prze-kazów bankowych konsulat nie przyjmuje. Przybiecie stempla trwa ok. 6 ty-godni. Szybciej pieczętą (8 dni) załatwia kolońskie biuro podróży *Polorbis*, ale to kosztuje już 50 DM. Podobno „pan Staszek” z konsulatu „uwierzy-telnia” zaproszenia od ręki za 100 DM. Placówka konsularna PRL w Kolo-nii poświadczyła w pierwszym półroczu 1987 ok. 230 tys. zaproszeń. Jeśli pomnożyć to przez wspomnianą podstawową opłatę (36 DM = 20 \$ US), konsulat z przybijaniem okrągłych stempelków staje się jedyną dochodową placówką w PRL-owskiej służbie zagranicznej. ■ W tegorocznym kongresie

Fundacji im. Alexandra von Humboldta, który odbył się w Bonn, wzięło udział 45 naukowców z Polski, objętych programem stypendialnym tejże Fundacji. ■ *Polityka wschodnia Watykanu* za pontyfikatu papieża Jana Pawła II-go. Odczyt pod tym tytułem wygłosił Dominik Morawski na zaproszenie Klubu Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszeńskiego oraz Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego. Odbył się on na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium, przy udziale słuchaczy obu narodowości, pod przewodnictwem Aliny Perth-Grabowskiej. ■ Akademia biskupia w Akwizgranie (*Bischöfliche Akademie des Bistums Aachen*) zorganizowała we współpracy z Grupą Roboczą „Solidarności Eschweiler-Aachen” dwudniowe spotkanie z azylantami i przesiedleńcami, poświęcone stosunkom polsko-niemieckim od 1918 roku do końca drugiej wojny światowej. Rozważano również możliwości na przyszłość, wynikające zarówno z wymiany listów polskich i niemieckich biskupów w 1965 roku jak z umowy, podpisanej w grudniu 1970 roku przez rządy RFN i PRL. Referaty obrazujące problematykę i wprowadzające do żywej i ciekawej dyskusji wygłosiła Nina Kozłowska, historyk z Monachium, zajmująca się głównie najnowszymi dziejami Polski. ■ Od prawie pół roku lokalne radio niemieckie w Dortmundzie nadaje raz w tygodniu w godzinach wieczornych 15-minutową audycję w języku polskim. Ma ona charakter informacyjno-publicystyczny. Informuje o najważniejszych wydarzeniach w środowisku polskim w tym mieście, a także o sprawach gospodarczych, społecznych i kulturalnych na terenie Dortmundu i okolicy. Zasadniczym celem programu jest poradnictwo społeczne i prawne dla uchodźców politycznych i przesiedleńców z Polski. Treść audycji przygotowuje zewnętrzna grupa, której pracą kieruje Jacek Piotr Proszowski. ■ Gert Linden, diakon z archidiecezji kolońskiej, wysłał do Polski za pośrednictwem Fundacji im. Maksymiliana Kolbego (Fryburg Bryzgowijski) 200 aparatów słuchowych. ■ Wczesniejsze wieczory Klubu Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszeńskiego w Monachium: spotkanie z Markiem Celtem, autorem książki dokumentalnej *Biali kurierzy* (nakł. autora, Monachium 1986). Celt (skoczek „cichociemny”), kurier rządu na tereny zajęte przez Sowiety, spisał swoje relacje subiektywnie; książka jest kontrowersyjna, zawiera bowiem silne akcenty antyukraińskie, obciąża mniejszości żyjące na terenach wschodnich Rzeczypospolitej odpowiedzialnością za współpracę z bolszewikami. Doskonale wypadł wieczór z Leopoldem Ungerem (Bruksela). Prelegent zaprezentował tezę, że Gorbaczowa wybrano w Sowietach najzupełniej świadomie, po to, by „naprawić” kulejące imperium, które przegrywało w wysiłku technologicznym z Zachodem. ■ Na warszawskiej giełdzie używanego Mercedesa 250 D sprzedano za 26,5 mln zł, BMW td z 1984 roku poszedł za 11,5 mln zł. ■ Studencki teatr Studiobühne w Kolonii gościł Teatr KTO z Krakowa, który wystawił *Die Abschiedsvorstellung* (Występ pożegnalny) Petera Müllera i Teatr Ósmego Dnia (obecnie Ferrara) ze sztuki — *Auto da fè* (według Małej apokalipsy Tadeusza Konwickiego) i *Wenn eines Tages in einer zufriedenen Stadt...* (Jeśli pewnego dnia w mieście szczęśliwym...), podług Dżumy Alberta Camusa. ■ 1.500 polskich dzieci z województw katowickiego i krakowskiego mogło spędzić letnie wakacje w RFN dzięki pomocy i pośrednictwu prywatnej organizacji *Patenschaft e. V. Karlsruhe*, założonej przez adwokata Rolf'a Dietera Rupperta (przy współpracy archidiecezji krakowskiej i diecezji katowickiej). Zaproszone dzieci goszczono w niemieckich domach. ■ Znany tłumacz literatury polskiej, Klaus Staemmler (Frankfurt) został odznaczony w Warszawie nagrodą *Société Européenne de Culture*. ■ Nakładem wielkiej oficyny Suhrkamp Verlag we Frankfurcie ukazał się zbiór esejów filozoficznych Leszka Kołakowskiego pt. *Narr und Priester* (Błazen i ksiądz). Książka została wydana i opatrzona posłowiem przez Gesinę Schwan z okazji przypadającej w październiku br. 60-tej rocznicy urodzin polskiego filozofa. Opatrzona zdjęciem autora obszerna recenzja Ursuli Homann ukazała się na

łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ Organizacje i instytucje zachodniemieckie wysiedleńców otrzymały od rządu w roku 1987 dotacje w wysokości 11,5 mln marek na działalność kulturalną. ■ Zbliżona do SPD, ale zarządzana przez prawie tej partii Fundacja im. Kurta Schumachera przyznała nagrodę pokojową NSZZ „Solidarność”. *Laudatio* prof. Lwa Kopielewa i wręczenie nagrody: 26 września br. w Sali Cesarskiej frankfurckiego ratusza. ■ Niemieckie wydanie wspomnień eks-ambasadora Romualda Spasowskiego — *Abschied von Warschau* (Pożegnanie z Warszawą), nakładem *Gustav Lübbe-Verlag* (Bergisch-Gladbach k/Kolonii), miało złą prasę w RFN. ■ Olbrzymi napływ przesiedleńców pochodzenia niemieckiego z Europy Wschodniej do RFN. Do połowy lipca br. przez obóz we Frydlandzie przewinęło się ponad 20 tysięcy osób, w tym ponad 15 tys. z Polski. Przewiduje się, że do końca roku liczba przesiedleńców może osiągnąć 50 tysięcy. Przybyśże z Polski relacjonują, że fala wyjazdów spowodowana jest w dużej mierze chęcią ucieczki przed katastrofalną sytuacją gospodarczą. ■ Z programu lipcowego *Niezależnej Polskiej TV* w Berlinie: rozmowy z organizatorami *Polskich Dni Kultury* w zachodniobermberskiej dzielnicy Kreuzberg — przewodniczącym *Polskiej Rady Socjalnej* w Berlinie, Witoldem Kamińskim i kierowniczką *Urzędu Kultury Kreuzberg*, Ulrike Treziak; prezentacja malarzy i grafików polskich towarzyszących *Polskim Dniom Kultury*; fragmenty prób teatru Teresy Nawrot na podstawie opowiadania Hemingwaya — *Śniegi Kilimandżaro* i rozmowa z nią; fragmenty przedstawienia *Teatru Ósmego Dnia* — *Auto da fè*. ■ Redaktor naczelny *Agencji INTERPRESS*, Jan Grzelak, podpisał w Kolonii i Wiesbaden porozumienie o współpracy z dyrekcjami zachodniemieckich programów telewizyjnych (I i II program). ■ *Instytut Literaryjny* w Darmstadtzie gościł Stanisława Barańczaka (obecnie Harvard) z odczytem pt. *Polska poezja krajowa lat osiemdziesiątych: nowe zjawiska i tendencje rozwojowe*. Spotkanie z polskim poetą i pisarzem zakończyło się interesującą dyskusją, w której uczestniczyli m.in. Lothar Herbst i Leszek Szaruga. ■ W nakładzie 20 tys. egzemplarzy ukazał się pierwszy numer *Dialogu*, dwumiesięcznika *Wspólnoty Roboczej Niemiecko-Polskie Porozumienie*. Wspólnota ma jednoczyć 13 prorożymowych Towarzystw Niemiecko-Polskich z północnej części RFN. Redaktor naczelny *Dialogu* zapowiada „szerogą gamę poglądów, które w naszym magazynie otrzymają prawo głosu”. Mamy więc artykuły m.in. Eugeniusza Guza (*PAP*), Michała Jaranowskiego (*Życie Warszawy*) i Adama Krzemińskiego (*Polityka*) oraz wywiad z Jerzym Jaskiernią (PRON). Redakcja mieści się w Bonn (*Pressebüro Kirchner*) i poszukuje na gwałt pieniędzy i poparcia w kołach chadeckich. ■ Rozgłoszenia *Deutschlandfunk* nadała w niemieckim programie godzinną audycję Helgi Hirsch, poświęconą sprawom polskim. Autorka omówiła szczegółowo niemieckie wydanie książki Teresy Torańskiej *Oni*, jak również książkę *Polnische Jahre* (Polskie lata) Gerharda von Jordana (recenzja Kamili Chylińskiej w *Kulturze* nr 3/1986), przeprowadziła z nim wywiad i poświęciła wiele miejsca niedawno wydanej w *Więzi* książce pt. *Dziesięciu sprawiedliwych*. ■ W Poznaniu obradowała XX Konferencja Wspólnej Komisji Podręcznikowej *Historyków Polski i RFN*. Obrady jej członków koncentrowały się na zagadnieniach obejmujących okres XIX i XX wieku w badaniach naukowych obydwu państw. Poświęcono również uwagę ostatniemu okresowi stosunków polsko-niemieckich 1945-1987. Podsumowania dokonali: ze strony niemieckiej prof. dr Gotthold Rhode (Moguncja) oraz ze strony polskiej prof. dr Stanisław Trawkowski z *Instytutu Historii PAN*. ■ Lothar Herbst wygłosił w *Instytucji Slawistyki Uniwersytetu im. Jana Gutenberga* w Moguncji odczyt pt. *Drogi i bezdroża polskiej literatury oficjalnej, niezależnej i emigracyjnej. Próba oceny*. Polski poeta z Wrocławia miał również w Moguncji wieczór w *Katolickiej Gminie Akademickiej*; mówił o literaturze niezależnej i czytał własne wiersze (tłum. Marii Kureckiej). W kościele

polskim w Berlinie Zachodnim Herbst wygłosił krótkie wprowadzenie do kasety spektaklu poetyckiego *Prawdę niesiemy w zaciśniętych ustach*, wydanej przez Komitet Kultury Niezależnej we Wrocławiu, i granego przez aktorów teatru *Nie Samym Teatrem*. W berlińskiej Akademii Sztuki Lothar Herbst czytał po polsku wiersze ze zbioru *Listy z podróży*, natomiast niemieckie tłumaczenia czytała Traudl Kulikowsky. ■ Tegoroczna wymiana wakacyjna dzieci i młodzieży Polski i NRD obejmie — podobnie jak w roku ubiegłym — ok. 300 tys. uczestników z obydwu stron. Wygląda to w ten sposób, że dzieci wypoczywają, zaś młodzież starsza i studenci pracują. W szkołach i na uczelniach wywierana jest presja na młodzież, żeby w ogóle zebrać 150-tysięczny kontyngent na wyjazd do NRD. Jeden z uczestników: „To nie są wakacje, tylko wyjazdy na roboty z pruskim regulaminem w kieszeni”. ■ 65-te urodziny Władysława Bartoszewskiego obchodzono uroczystości na Uniwersytecie im. Ludwika Maksymiliana w Monachium.

Andrzej J. CHILECKI

W związku z opracowywaniem „Słownika autorów wydających na emigracji od 1939 roku” zwracamy się o pomoc w zbieraniu materiałów i z prośbą o ich przesyłanie do nas. Jednocześnie zawiadamiamy, że będziemy rozsyłać Ankietę, dotyczącą danych bio-bibliograficznych.

S. CHĄDZYŃSKI
M. PROKOP

Korespondencję prosimy nadsyłać na adres:

„Słownik autorów wydających na emigracji od 1939 r.”
c/o Sergiusz Chądzynski,
6, rue de l'Ouest, 92000 Nanterre, Francja

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM4,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

Wolna trybuna

Komitet Kultury Niezależnej - wątpliwości

Powstanie po wprowadzeniu stanu wojennego Komitetu Kultury Niezależnej zdawało się zapowiadać nie tylko uporządkowanie chaotycznych poczynąń różnych środowisk, ale także ich koordynację. Dyskusja na temat tego czy „centralizować”, czy „decentralizować” inicjatywy niezależne staje się bezprzedmiotowa w momencie, gdy w grę wchodzi pieniądze — a jak wiadomo KKN nimi dysponuje, i to w sposób absolutnie niejawnym. Ja wiem, że to nieprzyzwoicie w salonie o mamonie, ale... Nic mi nie wiadomo o publicznym rozliczaniu wpływów i wydatków. Wiadomo natomiast o utrzymywaniu publicznie fikcji o honorowym charakterze nagród „Solidarności”. Kto ma się na to nabrać? Policja? Nie bądźmy dziećmi! Po co utrzymuje się ową fikcję, nie bardzo rozumiem. Może jedni dostają, a drudzy nie. Może jedni więcej, drudzy mniej. Nie wiem. Wiem natomiast, że prócz ogłoszenia swych imion, laureaci otrzymują pięknie wykonane dyplomy oraz — przynajmniej w dwóch znanych mi wypadkach — relatywnie grube „koperty”. Nic w tym wstydliwego, czerwony w końcu też swoim płaci. Dlaczego o tym nie mówić, jeśli przynajmniej się do podobnych praktyk działacze SDP przyznający nagrody za niezależną działalność dziennikarską?

Dlatego, myślę, by utrzymywać fikcję. Dla samej zasady. Fikcyjność bowiem jest jednym z podstawowych chwytów działania KKN. Słynne „oświadczenia” Komitetu są niczym więcej, niż sumą ogłoszonych już na początku stanu wojennego „kodeksów honorowych” poszczególnych środowisk twórczych. Fikcyjny charakter ma podpisanie przez KKN (za pośrednictwem OKN-a) umowy o współpracy z TKK NSZZ „Solidarność”. I tak wiadomo, że wszyscy jedziemy na jednym wózku, po co więc zaraz bumagi, podpisy i pieczęcie? Ludzie! Mnoży się byty

instytucjonalne ponad wszelką konieczność. Nazywa się to w normalnym języku „biciem piany”. W czasie podpisywania owego „porozumienia o współpracy” zarówno w OKN-ie jak i w TKK działał Kulerski: czyżby podpisywał umowę o współpracy z samym sobą? Nie chcę, broń Boże, by powyższe zdania odebrano jako krytykę samego Kulerskiego, którego odwaga i inteligencja tak wiele uratowały i stworzyły. Chodzi mi natomiast o fakt, że został przez „nawróconych działaczy kulturalnych” wmanewrowany w swoistą „grę salonową” części opozycji. Im prędzej zda sobie z tego sprawę, tym lepiej — tym bardziej, że „firmuje” tę zabawę swoim nazwiskiem. Szkoda, zaiste, jego energii, służącej w tym wypadku za parawan działań fikcyjnych. To w końcu nie jest zabawa towarzyska,

W wywiadzie dla *Kultury* przeprowadzonym z przedstawicielem KKN czytamy o piśmie *Wybór*, że robią je ludzie „z nami związani, my tylko pomagamy”. Znam sprawę ze źródła. Początkowo pomoc uzależniono od ujawnienia przez redakcję składu osobowego (czyżby nasi milusińscy działacze prowadzili dla potomności kartoteki?). Potem zaś pomoc ta doprowadziła w praktyce do upadku pisma, nie mogącego znaleźć dojścia do drukarni. By zdać czytelnikowi sprawę z tego, o co chodzi, muszę wyjaśnić, że *Wybór* — w odróżnieniu od *Arki*, *Obecności*, *Wezwania* czy *Kultury Niezależnej* — był pismem o objętości ok. 15 stron znormalizowanego maszynopisu drukowanym w zmniejszeniu na jednej kartce formatu A4 składanej na pół. Wydrukowanie takiego pisma w nakładzie 1.000 egzemplarzy zajmuje przy druku offsetowym ok. 20-30 minut, ryzyko prawie żadne nawet na „dojściach” do offsetu w drukarniach państwowych. Z założenia *Wybór* powinien być ukazywać się szybko — redakcja zakładała możliwość rytmu 2-3-tygodniowego. Miał pełnić funkcję informatora: na jego treść składały się recenzje literackie, filmowe i plastyczne oraz kronika wydarzeń artystycznych. Był pismem o świetnej szacie graficznej, każdy numer przynosił kilka wierszy — ot i wszystko. Jedna wada — był pismem niezależnym. Naprawdę nie trzeba było wielkiego wysiłku ze strony KKN, by w ramach wspomnianej w wywiadzie „pomocy” nie dopuścić do upadku pisma. Ale też niewiele trzeba było, by pismo uznane z jakichś względów za niewygodne dla „salonu” zablokować: wystarczy raz i drugi opóźnić druk (wydawcą była NOW-a, której współpraca z KKN jest dość ścisła), a kontynuacja pracy redakcyjnej staje się bezsensowna. Nikt nie kupi informatora kulturalnego datowanego dwa miesiące wstecz. Tak zatem wygląda — zapewne nie zawsze — owo „tylko pomagamy”.

Sprawa *Wyboru* jest tu tylko przykładem. Można takie przykłady niestety mnożyć. Jednym z nich jest sprawa nagłej ostatnio

rezygnacji wielu niezależnych wydawnictw z druku tomików poetyckich. Rzecz jest dużo poważniejsza niż sama publikacja książek. Jak wiadomo, dynamika twórczości poetyckiej, zwłaszcza w środowiskach młodych literatów, jest jednym z głównych elementów dynamiki całości życia literackiego w Polsce. Debiutanci na ogół wypowiadają się wierszem — dlaczego tak jest, to temat na rozprawę doktorską, nie tu miejsce, by to rozważać. Tutaj chodzi o to jedynie, że KKN nie czyni literalnie nic, by stworzyć warunki ułatwiające start młodym, zwłaszcza start literacki. Podobno druk poezji wydawnictwom się „nie opłaca”, podobno tomiki „nie idą”. Można bez trudu udowodnić, że jest to winą źle skonstruowanej sieci kolportażu. Nie wierzę, by książka poetycka wydana w nakładzie 2-3 tysięcy egzemplarzy nie została sprzedana — należy jedynie zbudować sieć kolportażu kierowanego do poszczególnych środowisk (polonistyka, środowiska twórcze), należy też pomyśleć o promocji takiej książki, o jej reklamie. Jak mamy budować rynek, to go, w imię Boże, budujmy — ale nie metodami prymitywnymi. Tu pole do popisu dla aktywności KKN jest ogromne — niestety (by pozostać przy jednym tylko przykładzie) nie zauważyłem dotąd choćby noty w organie Komitetu o ważnej inicjatywie, jaką było powstanie w Siedlcach poetyckiej oficyny wydawniczej im. Grzegorza Przemyska — opublikowano w niej dotąd cztery zbiorki wierszy. Kto ma tym ludziom, działającym pod własnymi nazwiskami na głębokiej prowincji, czyli tam, gdzie za taką demonstrację niezależności można nieźle „bęknać”, pomóc? Choćby przez to, że dostrzeże ich inicjatywę, że — choćby nawet ostro i krytycznie — ją opisz... By jednak wiedzieć o podobnych inicjatywach, panie i panowie z Komitetu musieliby wyjrzeć poza ściany salonu, w którym urzędują.

Kolejna sprawa to problem publikacji pism. To też podobno wydawcom się „nie opłaca”. Typowym przykładem kłopoty z wydawaniem *Wezwania* — pierwszego w stanie wojennym pisma literackiego o ambicjach zbliżonych do *Zapisu* czy *Pulsu*. Ale pismo powstało „bez wiedzy i zgody” czynników zbliżonych do KKN, którego członkowie zabawiali się wówczas eksperymentem pt. *Nowy Zapis*, w którym publikowano teksty anonimowe, jak choćby nie podpisany „Raport z oblężonego miasta” Herberta. Zapewne w związku z tym nagrodzono nagrodą „Solidarności” później od *Wezwania* powstałą *Arkę*. Nie przeczę, że *Arce* nagroda się należy, podobnie zresztą, jak spóźniona i opatrzona pretensjonalnym uzasadnieniem nagroda dla *Obecności*, ale na skandal zakrawa pominięcie w „przydziale” laurów pisma, które zainicjowało ruch niezależnej prasy kulturalnej w warunkach wyjątkowo trudnych, którego redakcja podjęła rzeczywiście pionierską pracę. I jak to się dzieje, że KKN znajduje wydawcę dla

własnej *Kultury Niezależnej*, nie będąc jednocześnie w stanie pomóc w tym innym redakcjom — jak choćby znakomitej *Karcie*, której problemy wydawnicze to historia specjalna ostatnich kilku lat ruchu kultury niezależnej. Nie jest problemem dla członków KKN „dojście” do redakcji i zaferowanie pomocy — jeśli w ogóle takiej pomocy Komitet jest w stanie udzielić.

Dysponując olbrzymią większością pieniędzy przeznaczonych na niezależną działalność kulturalną, KKN nie może udawać, że „tylko” pomaga — od decyzji Komitetu i od środków, jakimi dysponuje, zależy w niezależnej kulturze bardzo wiele. Członkowie KKN doskonale o tym wiedzą. Trzeba nie mieć cienia wstydu, by w tej sytuacji twierdzić w wywiadzie dla *Kultury*: „Poruśzamy się w obszarze niezależności opartym na modelu wolnego demokratycznego społeczeństwa”. Nie przesadzajmy, panowie! To kolejna szkodliwa fikcja. „Siła przebicia”, jaką posiada KKN jest w stanie zdecydować o być albo nie być kolejnych inicjatyw, o szansach przetrwania niezależnych twórców, zwłaszcza na prowincji. Po co więc udawać, że tak nie jest? Dotyczy to szczególnie inicjatyw młodzieży twórczej — owym debiutantom trudno konkurować z potentatami typu „Przedświtu” czy „Nowej”. Tu każda wpadka oznacza nie tylko likwidację wydawnictwa czy pisma, ale także prowadzi często do rozbitcia rodzącego się środowiska, które nigdzie nie znajduje pomocy czy choćby zachęty do dalszej pracy. Zauważmy: w kraju wychodzi około 30 czasopism młodzieżowych, w tym kilka o ambicjach literacko-artystycznych. Dlaczego zatem nie ma o nich wzmianki w organie KKN? Kto, jeśli nie Komitet, ma wesprzeć choćby psychicznie — a jakże to jest ważne dla anonimowo jeszcze, choćby ze względu na „brak nazwiska”, działających debiutantów! Promocja inicjatyw młodzieżowych w ogóle nie istnieje. KKN jakby nie zdawał sobie sprawy z faktu, że jest to podcinanie gałęzi, na której sam siedzi. I tak np. młode literackie środowiska Krakowa, Wrocławia czy Poznania wciąż borykają się z problemami, których rozwiązanie, przynajmniej w pewnej mierze, leży w mocy KKN — trzeba jednak najpierw wiedzieć o istnieniu tych środowisk, znać ich problemy, wykazać minimum zainteresowania, nie czekać, aż owi prowincjusze złączą szukaną z „górami” (która w dodatku rozpocznie żmudne ich „sprawdzanie”). Padają wartościowe inicjatywy — poznańskie pismo literackie *Bez Debitu*, poznańskie wydawnictwo „Głosy” — to ostatnie o nie małym dorobku, przez nikogo z Komitetu nie zauważonym. Zapewne — silni, zwłaszcza w dużych ośrodkach, sami się w końcu przebijają. Słabi, jak to słabi, zostaną złamani. Czy jednak rzeczywiście chodzi o to, by w kulturze promować taki „darwinowski” model ewolucyjny?

Wielkie słowa o promowaniu w nagrodach „Solidarności”

związków z kulturą Zachodu znajdują wątpliwe potwierdzenie w praktyce. Kontrowersje wokół nagrody dla „Słownika” Kopańskiego (moim zdaniem bezsensowne) zaczynają się mnożyć, gdy zdamy sobie sprawę z faktu, że nie nagrodzono pomnikowego dzieła Ryszarda Przybylskiego „Klasycyzm albo prawdziwy koniec Królestwa Polskiego” ani tomu Wisławy Szymborskiej „Ludzie na moście” (Szymborska wydaje tomiki niesłuchanie rzadko!), nagrodzono zaś wątpliwej wartości zbiór wywiadów Jacka Trznadla o socrealizmie oraz poezje Brylla. Ale — tu zgoda — wokół nagród zawsze powstają problemy, zawsze można dyskutować te lub inne kandydatury. Wydaje się jednak, że trzeba umieć zachować równowagę. Przyznajmy np. nagrody Newerlemu *tylko* za „Zostało z uczty bogów”, z pominięciem świetnej powieści, jaką jest „Wzgórze Błękitnego Snu” (przy jednoczesnym narzekaniu na brak dobrej prozy...) świadczy o tej równowagi widocznym zachwianiu. Nie powinno być potknięć zbyt dotkliwych — a te, niestety, zdarzają się za każdym razem, od pierwszego rzutu nagród „Solidarności”. Być może jest w tym wszystkim nadmiar „polityki” przy niedomiarze kultury.

W tym też aspekcie rzecz rozważając, KKN jest instytucją wyrastającą z rzeczywistości komunistycznej i przez tą rzeczywistość skażoną. Powieliła w wielu wypadkach zasady działania „polityki kulturalnej socjalistycznego państwa”, tyle, że w odbitce negatywowej. Wiele samozadowolenia przebija z wypowiedzi przedstawiciela Komitetu o tym, że oto możemy sobie w kulturze niezależnej pozwolić na krytykę dzieł wydawanych „w podziemiu”. A cóż to znów za wielkie osiągnięcie? Wciąż tu pobrzmiwa ujmowanie zjawisk kultury niemal wyłącznie w kategoriach politycznych. To „niedawanie argumentów przeciwnikowi” jako usprawiedliwienie braku wolności słowa jest nie tak znów słabym echem „okresu błędów i wypaczeń” i trzeba o tym raz wreszcie głośno powiedzieć. W tym też kontekście szkoda, że KKN wciąż nie potrafi zainicjować rzeczowej oceny stanu kultury w Polsce (to, co zawiera raport „Polska pięć lat po Sierpniu” jest zaledwie wstępnym rozpoznaniem, i to niezbyt dobrze wykonanym) ze szczególnym uwzględnieniem tego, co dzieje się „w podziemiu”. Czas wreszcie zacząć głośno i dobitnie mówić o zalewie kiczu opozycyjnego, o różnych „sutannach w akwarium” Kaliny, o dziesiątkach tandetnych obrazów, o setkach koszmarnych znaczków „Poczty Solidarności”, o grafomanii w rodzaju „Operacji Kartagina” Mandaliana itd. Raport na ten temat byłby może najważniejszym zadaniem, jakie ma do wykonania KKN. Tego się jednak nie robi, gdyż takie postępowanie naruszyłoby atmosferę salonowych grzeczności.

Nie od rzeczy byłby też raport zdający sprawę ze stanu struktur organizacyjnych kultury powstającej w kraju poza kontrolą

państwa. W gruncie rzeczy bowiem „sami nie wiemy, co posiadamy”, zaś owa niewiedza prowadzi z jednej strony do niepotrzebnego dublowania wysiłków, z drugiej ogranicza możliwości podejmowania nowych inicjatyw. Od lat powtarza się w środowiskach wydawniczych postulat utworzenia przy KKN banku tytułów książek, które należy wydać — wiadomo, że istnieją lub powstają wydawnictwa, które — nie posiadając orientacji w tej materii i dysponując jednocześnie „wolnymi mocami przerobowymi” — drukują to, co im akurat wpadnie w rękę. Nie chodzi o to, by KKN narzucał publikowanie jakichś tekstów, lecz powinien mieć listę godnych wydania pozycji i starać się promować nowe teksty. Wszystko to przecież można zorganizować w ten sposób, by raport o stanie kultury niezależnej nie stanowił od razu materiału dla policji — nikt w końcu nie żąda zestawu „nazwisk, adresów i kontaktów”.

Musi znaleźć się wyjście pozwalające na połączenie zasady koordynacji działań kulturalnych z zasadą swobodnej inicjatywy. Nie można z góry wyrzekać się „centralizacji”, gdyż w niektórych dziedzinach — jak np. w sferze rozdziału środków — i tak jest ona faktem. Sądzę, że taka „centralizacja” w dużej mierze uzdrowiłaby sytuację: od pewnego czasu bowiem w środowiskach artystycznych coraz gęściej od dwuznaczności, plotek i pomówień. Ludzie mający z tym choć odrobinę wspólnego wiedzą np., że szwedzkie LO (informowała o tym prasa tego kraju) przeznaczyły kilkadziesiąt tysięcy koron na pomoc dla polskich pisarzy. Co się z tymi pieniędzmi stało — nie wiadomo nawet w przybliżeniu. Osobiście dotychczas nie zetknąłem się w moim środowisku — a jest ono naprawdę rozległe i różnorodne i knuje, że aż ziemia drży — z żadną formą pomocy finansowej: czy to w postaci stypendium, czy zapomóg. A wiele osób z tego środowiska na taką pomoc i zasługuje, i jej naprawdę potrzebuje. Tym bardziej przykro mi o tym mówić, że osobiście pośredniczyłem w przekazywaniu naprawdę niebagatelnych sum z Zachodu dla środowiska literackiego w kraju. Być może takie stypendia są udzielane, ale zasady ich przydziału i sposób starania się o nie powinny być przez KKN jasno sformułowane i podane do publicznej wiadomości.

Inna sprawa. Sądzę, że do powinności KKN należy opracowanie rzeczowego raportu na temat sytuacji materialnej poszczególnych środowisk twórczych. Wiadomo ogólnie, że wielu ludzi żyje na skraju nędzy, że rosną koszty nie tylko utrzymania, ale także inwestycyjne (ceny papieru, książek, blejtramów, albumów, kaset video i magnetofonowych, instrumentów, maszynopisania itp.) — to nie są sprawy bagatelne. Taki raport jest obecnie koniecznością. Ważny jest choćby dlatego, że może stanowić podstawę żądań środowisk artystycznych wobec państwa. Wystą-

pienie z takimi żadaniami należeć winno do podstawowych obowiązków Komitetu.

Powoli zmierzam ku konkluzji. Komitet Kultury Niezależnej jest instytucją powstałą w okresie szoku spowodowanego wprowadzeniem stanu wojennego. Powstał — co jest samo przez się zrozumiałe — w sposób tajny. Ale nie można chyba dłużej tolerować sytuacji, w której całość działalności KKN jest utajniona. Nikt nigdy nie ogłosił zasad działania Komitetu, jego zadań, sposobu łączności z Komitetami regionalnymi, kodeksu rozdziału funduszy itp. Nie wiadomo nawet, gdzie i w jaki sposób można zgłaszać kandydatury do nagród „Solidarności”. Wszystko tu jest niejawne i nieokreślone, a przez to dowolne — działa na zasadzie klasycznej reguły życia PRL-owskiego „jakoś to będzie”. Szlachetne intencje ludzi tworzących KKN nie powinny być podawane w wątpliwość. Należy jednak — im prędzej, tym lepiej — dokonać publicznej oceny ich dotychczasowej działalności. Nie po to, by kogoś ganić lub chwalić, lecz po to, by w miarę możliwości usprawnić — jeżeli to w ogóle możliwe — działalność Komitetu. Byłoby bowiem nieszczyć, gdyby zaczęły powstawać jakieś ciała konkurencyjne, gdyby miało dojść do gorszących przetargów i oskarżeń.

Minie niebawem sześć lat działalności KKN. Zważmy, że jest to okres dłuższy, niż czas trwania drugiej wojny światowej. Nic zatem dziwnego, że ludzie zaangażowani w tajną działalność, poddani nienormalnym ciśnieniom, „z własnego prawa biorący nadania”, mogą czuć się zmęczeni, że są mniej odporni na stressy, że wreszcie wielu z nich działa już wyłącznie „siłą rozpędu”, która z biegiem lat maleje. Należy jednak pamiętać, że KKN nie jest ciałem „samym dla siebie”, że podlega społecznemu mecenatowi i że powinien się wobec tego mecenasa od czasu do czasu rozliczyć. Przedstawiciel KKN powiada w wywiadzie dla *Kultury*: „W kulturze niezależnej jest ciągle coś do zrobienia. I to pozwala jej się rozwijać”. To są frazesy. Czytelnik *Kultury* — czy to w kraju, czy na emigracji — powinien dowiedzieć się z takiego wywiadu czegoś więcej niż bałamutne głędzenie o tym, że „kultura niezależna tworzy enklawę wolności, miejsca, gdzie mogą się spotkać ci, którzy nie lubią czerwonego”. To nie jest definicja przestrzeni kultury niezależnej. To jest definicja kawiarni w warszawskim „Czytelniku”.

Napisałem ten artykuł nie po to, by kogokolwiek oskarżać, lecz po to, by wydostać się z dusznej atmosfery salonu, w którym wszyscy sądzą, że tak w ogóle to „fajnie jest”. Nie jest wcale „fajnie”, jest tragicznie, a zapowiada się, że będzie jeszcze gorzej. Czas, jak myślę, podjąć poważną dyskusję dotyczącą form i zasad działania instytucji kulturalnych niezależnych od państwa. Nie może to być dyskusja przy drzwiach zamkniętych. Te instytucje

bowiem działają za społeczne pieniądze — czy to zebrane w kraju, czy na wychodźstwie — i w imieniu szerszych niż one same społeczności. Być może wyrażone w tym artykule postulaty są naiwne, może też kogoś uraziłem — trudno: wolę publicznie wypowiedzieć swe wątpliwości, niż „dyplomatycznie” milczeć.

Bogdan STASIKOWSKI

POD PATRONATEM
FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ
W NOWYM JORKU

odbędzie się

WYSTAWA I LICYTACJA

obrazów polskich malarzy XIX i XX wieku oraz książek, dotyczących sztuki. 50 pozycji książkowych i ok. 100 obrazów olejnych, akwareli, pastel i druków. Ważniejsze nazwiska malarzy w kolejności alfabetycznej: B. Abramowicz, T. Ajdukiewicz, S. Bergman, J. Chełmiński, J. Chełmoński, J. Cybis, S. Daczyński, V. Hofman, J. Jasiński, J. Kossak, W. Kossak, F. Kostrzewski, B. Kleczyński, J. Lebenstein, L. Loeffler, S. Masłowski, S. Mielżyński, A. Orłowski, A. Piotrowski, K. Pochwański, M. Reyner, T. Rybkowski, Z. Sidorowicz, F. Siemanowski, W. Skoczylas, P. Stachiewicz, Z. Stryeńska, H. Szczygliński, F. Topolski, I. Trusz, A. Wieruskowski, S. Wolski, W. Zakrzewski i wielu innych.

Wystawa i licytacja odbędzie się w salach Fundacji Kościuszkowskiej 15 East 65 Street, New York, N.Y. 10021 w sobotę 10 października 1987. Wystawa od godz. 10-tej do 15-tej. Licytacja tego samego dnia od 16-tej do 19-tej. Wszystkie eksponaty pochodzą ze zbiorów POL-ART GALLERY w Nowym Jorku. Piękne, na kredowym papierze, ilustrowane katalogi prosimy zamawiać w:

POL-ART GALLERY
216 W. 252 Street, Bronx, N.Y. 10471, USA
Tel.: 1-212-549-35-83

H. i S. Dobczyński — właściciele

Cena katalogu łącznie z przesyłką w USA i Kanadzie \$5,00. Inne kraje \$7,00 (lotniczo). Katalog zawiera wskazówki udziału w licytacji drogą pocztową. Podaje też fotografie, tworzywo, wymiary w cm, nazwisko artysty oraz orientacyjną cenę obrazu.

Książki

Szkoła wrażliwości

Przytaczając felieton Jerzego Kwiatkowskiego poświęcony swojej krytyce, postawił Jan Józef Lipski swych recenzentów przed zadaniem niebywale trudnym. Oto bowiem ostatnie zdania felietonu Kwiatkowskiego: „Solidna analiza tej krytyki wymagałaby narzędzi bardziej precyzyjnych. Ale przedtem trzeba te 'Szkice o poezji' Jana Józefa Lipskiego — wydać”.

Na pewno wymaganiom Kwiatkowskiego tutaj nie sprostam. Ale książka — co odnotować należy z satysfakcją — została wreszcie wydana przez Instytut Literacki*, co — jeśli nie nastąpi szybki jej przedruk przez niezależne wydawnictwa krajowe (do czego namawiam) — bardzo ograniczy krąg jej odbiorców. A szkoda, gdyż książka ta winna stanowić jeden z podstawowych tomów biblioteki każdego polonisty (innych czytelników nie wyłączając, oczywiście), zwłaszcza tego, który interesuje się przemianami poezji współczesnej. Fakt, że Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik w Warszawie odstąpiła od publikacji tego tomu jest kolejnym przykładem zła, wyrządzanego przez „politykę kulturalną socjalistycznego państwa” polegającą m.in. na karaniu czytelników za „przewiny” autorów. Zaiste: gdyby dziś Kopernik został choćby tylko sympatykiem opozycyjnej organizacji, zapewne nie pozwolono by mu opublikować jego książeczki o obrotach jakichś tam „sfer niebieskich”. Zbyt długo — i zbyt nudno już — mówić o tych praktykach...

Do perypetii towarzyszących opublikowaniu „Szkiców” Lipskiego dorzucę jeszcze jeden kamyk: swego czasu, jako współredaktor *Pulsu*, zwróciłem się do autora — nie wiedząc, że książka jest złożona w Czytelniku, lecz znając ze świeżej lektury szkice i recenzje rozsiane po czasopiśmie — by zechciał zebrać swój krytyczno-literacki dorobek i opublikować książkę w naszej Bibliotece

* Jan Józef Lipski, *Szkice o poezji*, Instytut Literacki, Paryż 1987, str. 198.

ce. Lipski od razu się wobec tego pomysłu zdystansował, wspominał o zamiarze publikacji oficjalnej (oczywiście było wówczas, że do wydania książki członka KSS KOR dojść nie może), przede wszystkim jednak zwrócił uwagę na... zbyt dużą objętość książki i konieczność zużycia na jej produkcję sporej ilości papieru. Przyznam, poruszyła mnie mocno ta lekcja pokory, tym bardziej, że sam niedawno opublikowałem w Bibliotece współredagowanego przez Lipskiego *Głosu* własny zbiór krytyczno-literacki.

Pokora Lipskiego tym bardziej mnie poruszyła, iż wiedziałem, że mam do czynienia z autorem, który przez cały niemal okres po roku 1956 (ale i wcześniej także) bardzo wnikliwie towarzyszył przemianom naszej poezji. Konieczność opublikowania jego książki wydawała mi się oczywistością — tym bardziej, że krytyk ten, w odróżnieniu od wielu innych, zawsze unikał redukcji literatury do sytuacji, w której powstaje. Skupia się przede wszystkim na samym utworze — z niego też wyprowadza swe kategorie poznawcze: rzadkie to wypadki, gdy recenzent nie przystępuje do opisu oferowanego mu świata z gotowym wzorcem jego „poprawności”. Lipski, w odróżnieniu od wielu innych „badaczy literatury”, szanuje swoistość, samoistość poetyckiej rzeczywistości. W komentarzu do wierszy Zbigniewa Bieńkowskiego napisze: „Dla mnie zawarty jest tu — i w paru innych miejscach tomiku — niebywały ładunek poetyckiej ekspresji. Jest tu coś z atmosfery poetyckiej tych nielicznych dzieł, czy też ich fragmentów, przy okazji których bezradni (czy też po prostu nieporadni) starzy krytycy pisali o „natchnieniu”. Nie wiadomo, co to znaczy, w każdym razie był to dla nich sygnał, którym zawiadamiali czytelnika o niecodzienności, jedyności swego doznania. Niech w tej więc funkcji, odarty w miarę możliwości ze swych słownikowych, wytartych treści, z pozorów, że coś wyjaśnia i nazywa — posłuży ten wyraz i tu”.

Omawiając poezję Mieczysława Jastruna, wyznaje Lipski: „Nie wierzę w taką poezję, która nie proponowałaby sobą filozofii świata i człowieka”. W całym tomie — w całej swej krytyczno-literackiej drodze — jest autor wierny temu sposobowi odczytywania liryki: ale myliłby się ten, kto by sądził, że Lipski redukuje poezję do filozofii. Jest ona dlań czymś więcej i jeśli zdamy sobie sprawę z faktu, iż w swych początkach filozofia europejska — w dziełach presokratyków choćby, do których Lipski chętnie i często się odwołuje — wypowiadała się językiem poezji, wówczas zrozumiemy, że autorowi chodzi o odbudowę tego rozumienia czy tylko odczuwania liryki, które czyni z niej jakby koronę ludzkich władz poznawczych: warto przypomnieć, że podobnie traktował poezję uczeń Petrarke, mało u nas znany filozof Colluccio Salutati. Język poezji jest w tym ujęciu językiem scalającym ludzkie doświadczenia. W dalszym ciągu cytowanej przed chwilą wypowiedzi przeczytamy: „Ważne tu dla mnie jest (...): moc naiwnego przeświadczenia o estetyce słowa tak wydestylowanej, że aż oderwanej od tego wielkiego i nieustannego szukania transcendencji, które z braku lepszego określenia nazywamy niekiedy 'filozofią'. (...) Poezja nie może pozostać obca i obojętna nicze-

mu, co ludzkie, nie może przestać być rzeczą ludzką. Jest 'tylko' innym językiem, specyficznym narzędziem”.

W sposób niezwykle dobitny to „filozoficzne” ujęcie poezji ukazane zostało w analizie arcytrudnej i wyjątkowo pojemnej liryki Aleksandra Wata (pomysłowość analiz Lipskiego to czysta wirtuozeria). Autor zwraca przy tym uwagę na interesujące odrodzenie się w tej twórczości doświadczeń baroku — warto o tym wspomnieć, gdyż nawiązania do baroku odnajdziemy także u innych poetów, o których czytamy w tym tomie, choćby u Wirszpy, Białoszewskiego czy Ślückiego, ale także u twórców nie opisanych w tej książce, np. u Jarosława Marka Rymkiewicza. Poetyka neobarokowa — pisze Lipski analizując Wata — „zdaje się wykluwać z gmatwaniny tendencji współczesnej liryki”. Jest to, sądzę, ważne spostrzeżenie, potwierdzone później w rozwoju poszukiwań autorów młodszych, także poetów „pokolenia 68” — Barańczaka, Krynickiego, obecnie Zagajewskiego (tom „Jechać do Lwowa”, ale też wcześniej już w „Odzie do wielości”). Jakby wzmocnieniem tej tendencji jest tłumaczenie XVIII-wiecznej metafizycznej poezji angielskiej dokonane przez Barańczaka. Ale przecież także barokowy był opisywany przez Lipskiego Grochowiak, do barokowych doświadczeń nawiązują wiersze Małgorzaty Baranowskiej i — przede wszystkim może — w baroku upatrywali swe korzenie poeci londyńskiej grupy „Kontynenty”, których antologię recenzuje w swej książce Lipski.

Jest tu autor „Szkiców o poezji” bliski poszukiwaniom Ryszarda Przybylskiego, lecz gdy Przybylski posługuje się zwodniczym moim zdaniem (choć uzasadnioną z jego punktu widzenia) etykietką „klasycyzmu”, Lipski wskazując barokową spuściznę jest bardziej konkretny i precyzyjny. Tu pora na refleksję natury ogólniejszej: jest jednym z nieszczęść polskiej literatury, że krytycy tej rangi, co Jan Józef Lipski czy Andrzej Kijowski nie mogą z racji swego społecznego temperamentu skupić się na pracy literackiej. Zostawiają po sobie ułomkowe, rozproszone dzieła, fragmenty, prolegomena zaledwie do książek, które powinny być zostać napisane, gdyby przyszło im żyć w spokojniejszych czasach. Ich rozległa erudycja, zdolność kojarzenia odległych zjawisk, pogodzenie dystansu ze współczesnictwem, umiejętność spojrzenia syntetycznego wspartego wnikliwą analizą — wszystko to zostaje zagubione i (jak w wypadku Kijowskiego) niewykorzystane do końca.

A właśnie w takich — nienapisanych niestety — pracach mamy do czynienia z ważnym procesem „odnawiania znaczeń”, do czego nawołuje m.in. Maria Janion. I tak np. przy okazji omówienia poezji Anny Kamieńskiej, pisząc o aleksandryzmie tej liryki, zauważa Lipski: „Chciałbym jednak zastrzec się przeciw akcentom negatywnym, deprecjonującym, które zwykle pojawiają się, gdy mowa o zjawiskach pokrewnych jakoś aleksandryzmowi (sam ów termin nieważnie lekcją waler). Wzruszenie towarzyszące przeżywaniu sztuki było już nieraz w dziełach źródłem wielkiej miary osiągnięć artystycznych, nie ma więc

powodu, przez demagogiczne przeciwstawianie go przeżywaniu 'życia', zakładać jego bezpłodność".

Tym, co naprawdę interesuje Lipskiego w poezji, jest skuteczność artystyczna pisarskiego rzemiosła. Mamy zatem do czynienia z podziwu godną otwartością krytyka, z jego wielokierunkową wrażliwością nie podporządkowaną z góry powziętym mniemaniem o tym, jaka poezja „być powinna”. W wartościowaniu artystycznym — czytamy — „ocena (...) nie powinna chyba — czy też nie musi — tyczyć zgodności zasady filozoficznej stworzonego przez poetę świata i filozofii krytyka. Nie widzę powodu, by pozytywista nie miał czuć intelektualnej satysfakcji ze śledzenia nowoodkrytego wariantu najbardziej nawet metafizycznej koncepcji i wzruszenia płynącego z rozpoznania objawiającej się raz jeszcze starej ludzkiej tęsknoty, bezsilności i rozpacz. Cemu zaś go to wzrusza, a tamto nie — zostawmy bez odpowiedzi, bo pytać chyba nie ma sensu”.

Interesujące przy tym, w jaki sposób, mimochodem niejako, burzy Lipski potoczne przekonania o komunikatywności lub niekomunikatywności poezji współczesnej. I tak np. w omówieniu liryki Mieczysława Jastruna zauważa: „Utarł się mit o rzekomej niekomunikatywności Przybosa i jego uczniów, podczas gdy rozumienie tej najbardziej ametafizycznej poezji spośród wszystkiego, co znam, jest tylko funkcją treningu wyobraźni przestrzennej i asocjacyjnej”. To prawda, podobnie jak jest prawdą, że poezja pozornie prosta i czytelna — jak choćby twórczość Wisławy Szymborskiej — bywa trudniejsza do pełnego i poprawnego odczytania niż skomplikowane technicznie utwory awangardowe. Lipski wie o tym doskonale: świadectwem niech będą jego wnikliwe i precyzyjne analizy pozornie „łatwych” wierszy Anny Kamieńskiej czy Jerzego Ficowskiego.

Żałuję bardzo, że ze swego rozproszonego, lecz obszernego dorobku mógł autor zebrać tylko część. Żałuję też, że nie towarzyszy temu zbiorowi szkic stanowiący ogólniejszą refleksję nad stanem współczesnej poezji polskiej — mało kto jest tak jak Lipski upoważniony do podobnej oceny. Wydawać by się mogło, że jest to krytyk, który nie ma jasno określonego, zwłaszcza z formalnego punktu widzenia, stałego punktu odniesienia. Mogłoby o tym świadczyć następujące wyznanie: „Nie znam oczywiście obiektywnej recepty, która pozwala rozróżnić poetę od wierszopisa, wiem jednak dla siebie, że jeśli po przeczytaniu tomu pozostaje w wyobraźni i pamięci jakieś syntetyczne, całościowe wspomnienie lektury, coś pośredniego między obrazem i pojęciem, trudnego do sprecyzowania, lecz niewątpliwego, wówczas można być pewnym, że obcowało się z poezją”. Wyznanie to, oczywiście, świadczy o tym, że Lipski posiada jasny punkt odniesienia: jest nim mianowicie poezja — w całej swej różnorodności, w swym bogactwie, sprzecznościach i wieloznaczności. Otwartość Lipskiego — dodajmy: nie tylko w odczytywaniu dzieł literackich — na różne języki i odmienne głosy jest uczącą pokory szkołą wrażliwości.

Muszę przyznać, że już dawno nie odczuwałem w trakcie lek-

tury takiej satysfakcji i wściekłości jednocześnie. Satysfakcji z jasności i precyzji krytycznego wywodu, ze specjalnego wyczułenia na to, co nazywa się uczenie poezją *docta* — zastanawiające zresztą, że te szkice-recenzje pisane na przestrzeni blisko trzydziestu lat składają się w tak spójną, również językowo i pojęciowo, książkę: jakby były pisane w tym samym czasie — świadczy to o trwałości kryteriów, którymi posługuje się Lipski. Wściekłość zaś brała się stąd, że paru pętałów zabawiających się czymś, co nazywają „polityką kulturalną socjalistycznego państwa” śmie decydować o obecności lub nieobecności w naszym życiu intelektualnym ludzi takiego jak Lipski formatu; strat powodowanych przez praktyki tych kulturalnych eunuchów nie da się wymierzyć — w przypadku Lipskiego jest to o tyle ważne, że jego książka, już teraz opublikowana z wieloletnim opóźnieniem, nie tylko stanowi ważny głos we współczesnej krytyce, lecz działa inspirująco, prowokuje do podjęcia istotnych dyskusji na temat współczesnego rozumienia zadań poezji (dla przykładu kapitalne stwierdzenie: „Gdy filozofowie rezygnują z systemów ontologii — zaczynają je tworzyć poeci”), roli awangardy, związków dzisiejszej liryki z jej tradycją... Mój Boże: kiedyż wreszcie jeden dureń z drugim zrozumieją (czy to w ogóle możliwe?), że w publikacji podobnych książek jak „Szkice o poezji” nie o autora (a w każdym razie najmniej o niego) chodzi, że takie książki potrzebne są naszej kulturze jak tlen do oddychania? I któż w końcu czerpie karłą, złośliwą satysfakcję z tego, że udało mu się „wyprowadzić na emigrację” wielkiego krytyka? Stać nas na to?

Leszek SZARUGA

Sztuka i myślenie

„dłonie poety płoną”

Józef Czechowicz, *To wiem*

W roku 1972 Adam Zagajewski zadebiutował zbiorem wierszy pt. *Komunikat*. W dwa lata później opublikował wraz z Julianem Kornhauserem książkę broniącą realizmu w literaturze pt. *Świat nie przedstawiony*. Dziś ma czterdzieści dwa lata, mieszka w Paryżu i jest członkiem redakcji *Zeszytów Literackich*. W ciągu ostatnich paru lat wiersze Zagajewskiego przetłumaczono w Ameryce i w Anglii, a w Niemczech i we Francji ukazały się tłumaczenia i wierszy i esejów.

Między *Światem nie przedstawionym* a dzisiejszą popularnością upłynęło nie tak wiele lat. W tym czasie Zagajewski podróżował, wydawał kolejne zbiory wierszy, prozę i eseje. W roku 1981 ukazała się w Niemczech jego książka pt. *Polen:*

Staat im Schatten der Sowjetunion. W roku 1985 został laureatem nagrody im. Kurta Tucholskiego, przyznanej mu przez szwedzki PEN-Club. W ubiegłym roku reprezentował wraz z Miłoszem polską literaturę na kongresie PEN-Clubu w Nowym Jorku. Z generacji poetów nazwanej „pokoleniem 68” (albo Nową Falą) Zagajewski jest jedynym, który doczekał się międzynarodowego rozgłosu.

W roku 1983 Zagajewski opublikował dwie książki: w Instytucie Literackim zbiór wierszy pt. *List — Oda do wielości*, i w wydawnictwie Znak w Krakowie powieść pt. *Cienka kreska*. W tym samym roku ukazał się w *Kulturze* (nr 11/1983) jego esej o Józefie Czechowiczu — *Wyobraźnia — siódmy kontynent*. Esem o Czechowiczu i *Odą do wielości* rozpoczął Zagajewski dyskusję nie tyle ze swoim pokoleniem — około czterdziestki, a nie jest to za wcześnie, wszyscy zaczynają już iść własną drogą — ile z samym sobą: ze swoim własnym stosunkiem do sztuki i rzeczywistości. Gra toczy się tylko pozornie o wybór, w gruncie rzeczy zaś o proporcje. Zagajewski zaczął rozgrywać partię o własną literackość i miejsce w literaturze niemal jakby na wyrost; stał się teoretykiem swojego pisarstwa, zanim jeszcze był pisarzem o jako takim dorobku.

W eseju *Wyobraźnia — siódmy kontynent* obrał sobie za patrona — i odskocznię do zmiany taktyki literackiej — Czechowicza, poetę z ubocza, z prowincji, z obrzeża grup literackich. Nie wątpię, że wybór był nieprzypadkowy, dokonany po namyśle, podyktowany poczuciem osobistej więzi. Zagajewski zajmuje się w nim tymi wypowiedziami autora *Nuty człowieczej*, w których analizował on stosunek filozofii do poezji i związku między wyobraźnią a światem realnym w utworze poetyckim. *Wyobraźnia*, pisał, była dla Czechowicza „wehikułem wolności”, „... miała go bronić przed szaleństwami epoki, przed jej modami, maniami, kolektywizmami”. Zaś w praktyce poetyckiej, w wierszach sąsiadowała tylko z różnymi rejonami „realnego czy duchowego świata”. „Sąsiadować — pisał Zagajewski — to znaczy być blisko, tuż obok, przez ścianę, ale zarazem odróżniać się, być zupełnie gdzie indziej. Ściany mogą być grube lub cienkie, może nawet dochodzić do osmozy, ale zawsze jednokierunkowej. To wyobraźnia karmi się światem”. Podporządkowane historii i polityce jak w *Świecie nie przedstawionym*, czy grze między wyobraźnią a rzeczywistością — myślenie Zagajewskiego o literaturze (i o sobie jako artyście) wydaje się być zawsze nacechowane pewną programowością. Tak jakby zamiast tworzyć literaturę, cały czas zastanawiał się, jak ją tworzyć i jak się w niej ustawić — profilem tylko, czy twarzą do rzeczywistości i sztuki.

W *Cienkiej kresce*, jedynej jak dotąd powieści, sięgnął Zagajewski po temat rozpisany wcześniej przez wielu polskich pisarzy: Gombrowicza w berlińskiej partii *Dziennika*, Brandysa w *Miejsiacach*, Różewicza w jego dawnych poematach-kolażach, Helmuta Kajzara w sztukach teatralnych. Bohaterem książki — sterylnej, celowo ascetycznej, złożonej z epizodów-obrazów — jest Henryk Oset, na przemian narrator i bohater opowieści, młody grafik

zaangażowany w opozycję, który w Berlinie Zachodnim otrzymuje stypendium. Parę scen z życia wielkiego miasta, parę sztampowych spotkań z przedstawicielami naiwnej lewicy artystycznej, wielka symboliczna i wizyjna scena ucieczki przed kolegą szkolnym (przykład na tezę o przenikaniu się wyobraźni z rzeczywistością), zakończona pod murem berlińskim karabinową salwą. Tytułowa „cienka kreska” jest przezwiskiem Henryka z jego czasów szkolnych i kreską jego rysunków. Na planie teoretycznym — którego w książce sporo — cienka kreska jest także ową ścianą, przez którą, podobnie jak w eseju o Czechowiczu, rzeczywistość i wyobraźnia sąsiadują ze sobą. W zakończeniu dochodzi do spotkania między polskim i niemieckim malarzem. Pożar zaplanowany przez Niemca w ramach *happening'u* zamienia się w prawdziwy: „Piękny popłoch udało mi się dzisiaj wytworzyć, powiedział. Nigdy jeszcze nie zaszedłem tak daleko”. Ten ostatni w książce epizod szkicuje Zagajewski delikatnie, faktycznie cienką kreską, jako rozmowę dwóch głów widocznych w świetle świecy. Rozmowa-obraz przechodzi w wiersz i w senną fantasmagorię. Dwie głowy dwóch artystów — o różnych życiorysach i oczekiwaniach — zasypiają koło siebie. Symboliczna ściana wody oddziela ich od reszty świata, ale nie zatapia. Dyskusja na temat sztuki i rzeczywistości, życia i wyobraźni trwa. Na koniec zwycięża rzeczywistość snu: nad biednym Polakiem, który wie, że sztuka nie jest niewinna i że nie wolno w jej imię wywoływać prawdziwego pożaru, i nad młodym Niemcem — żyjącym rzekomo oczekiwaniem przygody, ale gruntownie planującym swój artystyczny nieład — który pokpiwa z moralizującego Polaka, któremu do sztuki ciągle potrzebna jest idea. Cienka kreska zdaje się dzielić wszystko od wszystkiego i wszystko z wszystkim łączyć. *Wyobraźnia* karmi się światem, sztuka karmi się sztuką.

Zbiór wierszy *Jechać do Lwowa (Aneks, 1985)* wydany został z ilustracjami z *Dzienników* Józefa Czapskiego. Wiersze, pełne pięknych obrazów i często dość przypadkowych skojarzeń, są z reguły pozbawione wewnętrznej dramaturgii. Dramatyczne tematy zostały w nich poddane estetyzującym zabiegom, pozbawione ironii i bólu. Oczyszczone — zgodnie z teorią, której Zagajewski daje wyraz i w wierszach i w esejach — przez dystans. Jak w wierszu *Pokolenie*, dedykowanym zmarłemu przed paroma laty Hemutowi Kajzarowi i w sąsiadującym z nim wierszu *Błyskawice* (który na dobrą sprawę powinien nosić tytuł *Pokolenie*), poświęconym Adamowi Michnikowi. Między tymi dwiema dedykacjami (i biografiami duchowymi) rozpięta została w domyśle własna biografia poety. *Pokolenie* to delikatny i precyzyjny w psychologicznym rysunku hołd złożony odmiennej osobowości artystycznej; rówieśnikowi zbyt tragicznie, zbyt szybko wyłuskanemu przez los. Jest to historia spaceru, zamknięty w poetyckim obrazie skróty życia i postaw wobec życia i sztuki. Elegia i apologia: „... Chciało mi się śmiać, / nie wierzyłem, że można iść aż tak / powoli, tam, gdzie on biegł tak szybko, / iść w drugą

stronę a patrzeć przed siebie, jak płaskie sylwetki / Egipcjan. A jednak tak właśnie / idziemy, powiązani lekkimi sznurami / przyjaźni / ... / Nie odwracaj się, gdy usłyszysz / mój szep. W wielkim tłumie Greków, / Egipcjan i Żydów, w tym spopielenym / żyznym pokoleniu idziesz prosto przed / siebie, jak wtedy, bez pośpiechu, sam".

W wierszach, w których Zagajewski posługuje się liczbą mnogą (*Błyskawice*, *Nowe doświadczenia*, *Piosenka emigranta*) myśl jest zbyt rozciągliwa, uroczysta retoryka idzie w parze z przypadkowością obrazów i porównań, aforystyczność zbyt jest aforystyczna. Zagajewski nie wyzwolił się od retoryki, ale nauczył się pięknie pisać i sprawnie, dynamicznie posługiwać swoimi obrazami. Gdzieś pojawiają się wiersze, jak duże i mniejsze perły. Na przykład najlepszy w tym zbiorze poemat, *Franz Schubert, konferencja prasowa*, językowo autentycznie natchniony, pisany z pośpieszną zadyszką, wybornie oddającą tok myśli i mowy monologującego. Zagajewski umieszcza swojego bohatera zarazem w środku i „poza”: jednak znacznie bardziej w życiu, niż w historii, bardziej w przeżywaniu niż w analizowaniu. W monologu kompozytora panuje chaos i fragmentaryczność, niezrozumienie epoki i przyleganie do niej, spontaniczność i dystans, radość i ból życia. Nade wszystko zaś zakwestionowane zostały w nim wszelkie zbyt pojemne pojęcia: „... Nie było epoki, / trawa zielona, jesiony, rzeczy / nieruchome, ważki nad stawami, / nie było epoki, drewniana podłoga, / małowodne krzesła, tak Wiedeń, / smak kawy ten sam co teraz, / gołębie na parapetach. / Nie, nie przewidywałem Wiosny Ludów, / nie wiem, nie pamiętam... / ... / Los był dla mnie za duży, jak namiot, / serce kołatało się niezgrabnie w wielkich pokojach. Tak, talent, / rozgryzione gorzkie ziarno kawy / ... / tak, przysnąłem, myliłem się / czasem, skąd miałem wiedzieć, / że jestem Schubertem, ja się stawałem, / szukałem drogi, koloru...”

Prawdziwy język poezji Zagajewskiego, ten który wydaje się najbardziej autentyczny, znaleźć można jakby na dwóch różnych krańcach. Z jednej strony jest to język powagi; strofy wypełnione obrazami gęstymi od substancji, z myślą nawlekąną na nie i wraz z nimi rosnącą. Z drugiej strony obrazy umiarkowane, lub raczej miarkowane, z wbudowaną bezpośrednio refleksją. Żywiołem poetyckim Zagajewskiego nie jest igranie ze słowem (czego często próbuje), ale właśnie owe obrazy o moderowanej hieratyczności i kontrolowanym bogactwie skojarzeń i porównań. Piękne, gładko sunące obrazy obudowujące myśl, która w otoczeniu bardziej ascetycznym nie uniósłaby wiersza. Wzorem jest tu Miłosz, ale w wierszach Zagajewskiego panuje niedostatek tego, co dla Miłosza tak charakterystyczne: obnażanie sedna rzeczy i przeżycia, swoboda intonacji, esencjonalność krajobrazu.

Wysiłek zamykania doświadczeń i przemyśleń w obrazy, wysiłek umieszczania się w samym centrum najistotniejszych, najbardziej ufilozoficznych problemów współczesnego świata. Najbardziej wyraźny w nieudanym poemacie *Goty*, wypełnionym podniosłymi obrazami, a zakończonym nieprzekonywującym

wyznaniem wiary w obecność milczącego Boga. Zbyt mało w nim obrazów skupiających, przypominających soczewkę, zbyt wiele na podobieństwo luster podkładanych pod rozmaitymi kątami. W innych wierszach dużo ładnych banałów przeświadczonych o własnej oryginalności, myśli niedomyślane do końca, obrazy hipertroficzne, z których postulowana wielość rzeczywistości wylewa się jak z niedomkniętego garnka. Sporo linijek z Miłosza: próba zaaplikowania własnym wierszom jego sposobu obiektywizacji „nieobjętej ziemi”. Próby niekiedy udane; w wierszach bardziej zwartych, w których Zagajewski — podobnie jak Miłosz — jest selektywnym okiem, a refleksja niemal całkowicie wbudowana została w obraz. Jak w *Rogach obfitości*: „... O zmierzchu / pod kwitnącymi akacjami przechodzą / żołnierze. Skrzypią skórzane buty. / Wozy z sianem, rogi obfitości, jadą na południe. / Głosy i milczenie, wszystko nas przerasta”. I w wierszu *Przymierze*, w którym Zagajewski opowiada o wrażeniach z egipskiego muzeum w Turynie, dając wyraz tej samej filozofii, którą później rozwinięto w esejach. W sumie najbardziej celne, najpiękniejsze wydają się wiersze bezinteresowne; te, w których Zagajewski nie stara się powiedzieć więcej, niż mówi, i nie mówi więcej, niż widzi. Tak jest w wierszach *Ostatni dzień roku* i *Noc*, a nade wszystko w wierszu *W bocznej ulicy*, obrazie który czekał na swojego poetę: „W bocznej ulicy, która nie należy / do żadnego miasta, tylko rośnie / jak za długi rękaw i zrasta się / z podobnymi do niej ulicami / innych miast, stara kobieta karmi / dzikie koty i przemawia do nich / sennymi słowami. / Jej palców dotykają / różowe języki, małe orchidee”.

Problematyka esejów *Solidarność i samotność* (pierwsza publikacja książkowa *Zeszytów Literackich*, 1986) zbieżna jest z problematyką wierszy i powieści. Tytuł może mylić; nie chodzi o polską „Solidarność”, choć jej duchowe dziedzictwo jest punktem wyjścia i dojścia pierwszego z pięciu tekstów (tytuł: 1983), lecz o poczucie wspólnoty ze społecznością ludzką, i o samotność — jako drugą podstawę (lub alternatywę) świadomej egzystencji. Zagajewski: „... chcę się zapaść w uliczkę nie tyle boczną, ile mało uczęszczaną, w ulicę noszącą imię nie Piłsudskiego czy Dmowskiego, ale Irzykowskiego raczej”. I opisuje fenomen, który nazywa duchowością negatywną (czyli nihilistyczną, czyli anarchiczną), tę z którą zerwanie było tak istotne dla przełomu duchowego w Polsce z końcem lat 70-tych. Pokrywa się to z owym fragmentem listu Andrzeja Kijowskiego, który Kazimierz Brandys cytuje w drugim tomie *Miesiący*: „Ciekawe, jak zmienił się w ogóle polski sposób bycia. Zniknęło gdzieś komedianctwo, dowcipnisiostwo, zgrywa, ironia. Nie ma w ogóle dowcipów!... To już nie jest kraj ani Gogola, ani Kafki, ani Mrożka, lecz zupełnie nowych jakości moralnych i zupełnie nowych tematów. Już ani Marek Nowakowski do niego nie pasuje, ani Iredyński”.

Zagajewski przyswoił sobie swobodę elokwencji i inteligentną, dobrze w przykładach osadzoną dygresyjność od współczesnych mistrzów gatunku: Miłosza, Kundery, Brodskiego. Problematykę

swoich esejów sprowadził do dwóch-trzech pytań istotnych dla niego samego, jako dla pisarza, istotnych dla procesu kształtowania własnej osobowości. I odpowiada na nie mnożąc przykłady, obrazy, budując hipotezy i starając się za ich pomocą doprowadzić do identycznych wniosków. Jego siła leży nie tyle w oryginalności myśli, ile w obrazowych przykładach i stylistycznej urodzie wywodu. Tezy, lub raczej teza, pasuje do wszystkiego, do czego ją przykłada. Przypomina to trochę marksizm, a trochę owe zagadki, na które odpowiedź bez względu na pytanie zawsze jest jednakowa. Refleksje na temat przełomu duchowego w Polsce lat 70-tych także zdają się być symetryczne do osobistych poszukiwań autora. Pytanie brzmi: jaki wybrać stosunek do rzeczywistości, jaki rodzaj duchowości wyzwala największą siłę poznawczą i energię twórczą. I to kusi, i tamto pociąga. Duch negatywny, pisze Zagajewski, jest bardziej utalentowany artystycznie (drwina, ironia, absurd). Duch pozytywny, etyczny, hierarchiczny — ten, który zwyciężył w Polsce w okresie tuż przed-solidarnościowym — grozi schematyzmem w sztuce i ideologią w życiu. Wniosek: „Być w środku, nie poddając się wpływowi ducha negatywnego, nie uciekając się do pomocy ducha nazbyt pozytywnego, nie ulegając rozpacz, nie potępiając współczesnej cywilizacji; być przeciwnym totalitaryzmowi, ale nie definiować się wyłącznie przez ten sprzeciw..., być w środku, nie płacząc, nie krzycząc, nie snując nadzwyczajnych, utopijnych planów. Być w środku to znaczy widzieć całą pajęczynę sprzeczności, w której nieuchronnie tkwimy, i nie chcieć jej podrzeć”. Bliższy prawdy był może Gombrowicz, twierdząc, że raz jesteśmy jednym, raz drugim i rzecz w tym, żeby się umieć wymykać: nie pozwolić się zamknąć w określonej formie. Tak czy inaczej, zasada „złotego środka” okazuje się identyczna z owym „sąsiedowaniem” i okazyjną osmozą, o których Zagajewski pisał w eseju o Czechowiczu.

Janina KATZ HEWETSON

Człowiek i jego książki: Wojciech Gniatczyński (1924-1985)

Poznałem go jesienią 1947 na studiach w Irlandii. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, uczęszczali razem na wykłady, bywali w tych samych lokalach. Ten wysoki i przystojny szatyn potrafił oczarować każdego uśmiechem i ujmującą nieśmiałością. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Dachau. Myślę, że to one spowodowały także wahania i opory, które hamowały jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim Cork wybijał się wszechstronnym czytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał mało i nie śpieszył się z drukowaniem. Cekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. A może potrzebował większego dystansu do napisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w 1982 donosił, że lekarze nareszcie postavili właściwą diagnozę jego choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, a przeszedłszy wcześniej na emeryturę, będzie mógł swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykły był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami, nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go w końcu wydawnictwo Veritas. To w jego pismach, *Życiu* i *Gazecie Niedzielnej*, pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. W 1954 wyszedł dzięki animatorowi emigracyjnych debiutów poetyckich, Józefowi Bujnowskiemu, jego tomik „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by się rozszedł.

Te wczesne wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Wyziera z nich poeta dyskretny, delikatny, cedzący z trudem słowa, nie celebrujący swojego dokonania. Ich ton charakterystyczny to melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał, że „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu”. Ale znał też dym inny: „Dym śmierdzący, żółty — z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z ogromem i istotą Londynu, w którym próbował się zadowolić.

Potem zaofiarowano mu pracę w radiu. Opuścił więc literackie środowisko londyńskie, lecz również w Monachium znalazł wśród kolegów w pracy wielu pisarzy. Gniatczyński nie był jednak twórcą płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Wiersze drukował rzadko, głównie w *Wiadomościach*, dlatego ubolewał, kiedy przestały wychodzić.

Dla poezji miał zawsze wysokie uznanie. Ideał widział w poezji zwężkiej, używającej trafnego słowa, wyzbytej taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności, niesprawdzałości w wyrażanych w niej uczuciach. Nie miała ona do czynienia z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego, poeta dobiera słowa do słów i nie należy go pytać o intencję, bo on sam wnet nie rozpoznaje, co jest autopsją, a co zmyśleniem. Sądził, że utwór sam w sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał, twierdząc, że poezja jest zawsze *implicite* a nie *explicite*, ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

Pośmiertnie wydane „Wiersze dla Magdalenki”^{**} są drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmują całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie były już drukowane w czasopiśmie

emigracyjnych. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”, „Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem” oraz przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P. B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną, najgłębiej skrywaną przed innymi do końca: obozowych przeżyć. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wrócił w majakach. Być może Gniatczyński ocalił życie, bo grał na klawirze w orkiestrze obozowej.

Lecz nie o sobie mówi w wierszach, ale o dzieciach. Przypominał ich tragedię, przyrównując ich los do nieszczęśliwego zakończenia krucjaty dzieci. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Była tłem zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Stała się częścią okrutnego czasu. Poeta napisał więc najtrafniej:

*A niebo było błękitne
jak cyklon w komorze gazowej.*

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć wycieczce w krainę nie ludzką, gdzie nastąpiły drastyczne przemieszczenia i perwersyjne kompensaty dokonane przez zbrodniczą przemysłowość zdeprawowanego człowieka:

*Ciężka na świecie zima
polska.
Na grudzie zeschnięte
zielska.
Tylko w komorze gazowej
ciepło.
Tylko w sercu człowieka
piekło.*

Lektura jego poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki). Każe też boleć nad losem całej jego twórczości, niedokończonych i rozproszonych. Gniatczyński, niewątpliwie obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go nurtowało i powoli dojrzewało. Możemy natomiast zadbać o teksty wydane, utwory rozproszone po czasopiśmie i pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o jego twórczości, której część przynosi wydany obecnie zbiór.

Florian SMIEJA

* Wojciech Gniatczyński, *Wiersze dla Magdalenki*, postłowie Jana Nowaka, Veritas, Londyn 1986.

Nadesłane nowości wydawnicze

MIŁOSZ (Czesław). *Trzy zimy oraz Głosy o wierszach*. Opr. Renata Gorczyńska i Piotr Kłoczowski. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena \$ 11, £ 4,50).

GOMBROWICZ (Rita). *Gombrowicz w Argentynie. Świadeictwa i dokumenty 1939-1963*. Przełożyły: z francuskiego Sophie Bogdan, z hiszpańskiego Anna Husarska. Str. 278 i 2 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1987).

Gomułka i inni. *Dokumenty z archiwum KC, 1948-1982*. Wstęp, wprowadzenia i przypisy Jakuba Andrzejewskiego. Str. 272. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena \$ 14, £ 7).

CZARNOCKI (Stefan). *Artykuły i przemówienia 1932-1939*. Str. 270 + 33 i 11 nlb. (Wyd. staraniem żony i dzieci, Londyn 1986).

Była taka szkoła. Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej w Wilnie, 1915-1939. Red. Ewa Sławińska-Zakościelna. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1987).

FROG (Janina), SOCHACKA (Tamara). *Dwie rozmowy z przywódcą KPN Leszkiem Moczulskim*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni 1987).

WĘDZIAGOLSKI (Karol). *Pamiętniki. Wojna i rewolucja — Kontrrewolucja — Bolszewicki przewrót — Warszawski epilog*. Wyd. II. Str. 442 i 6 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

CHRUŚCIŃSKI (Kazimierz), BUFEL DE VAURE (Guy). *Mówicie po polsku? Parlez-vous polonais? Manuel de langue polonaise pour débutants*. Str. 306 i 6 nlb. (Wyd. Université de Provence, Aix-en-Provence 1987. Cena F. 140).

CICHOWLAS (Jan). *Ostatni z romantyków*. Str. 48. (Wyd. nie podane, druk Sigma Press, Albany, N.Y., 1987).

Filozofia polska na obczyźnie. Red. Wiesław Strzałkowski. Str. 267 i 1 nlb. (Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie jako tom VI prac Kongresu Kultury Polskiej, Londyn 1987).

Oto Ameryka — Polityka i społeczeństwo. Red. Irena Lasota. Str. 200. (Wyd. CSS/IDEE, Nowy Jork 1987).

Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. Tom I: *Kampania wrześniowa 1939*. Część czwarta: *Przebieg działań od 15 do 18 września*. Str. 606 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1986).

Komunikat 100 Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Str. 32 (Wyd. jak wyżej, Londyn, marzec 1987).

Eucharystia pierwszych chrześcijan. Ojcowie Kościoła uczą o Eucharystii. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 450).

WOJTYŁA (Karol). *Poezje i dramaty*. Wyd. II. Str. 415 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 500).

BLÜTH (Rafał Marcelli). *Pisma literackie*. Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 480).

Documenta occupationis XII. *Eksploracja siły roboczej i grabież ziem polskich przez Wehrmacht w końcowym okresie II wojny światowej*. Wybór źródeł i opracowanie E. Kozłowski i P. Matusiak. Str. 716 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1986, cena zł 950).

- LOHMANN (Jan). *Pięte przykazanie*. Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, cena zł 160).
- KUNERT (Andrzej Krzysztof). *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939-1944*. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1987, cena zł 700).
- WOŹNIAKOWSKI (Jacek). *Świecy*. Str. 137 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 200).
- MOSKWA (Jacek). *Antoni Marylski i Łaski*. Str. 306 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 500).
- SUJAK (Elżbieta). *Rozważania o ludzkim rozwoju*. Str. 275 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 400).
- KŁOCZOWSKI (Jerzy), IVINSKIS (Zenonas), FIJAŁEK (Jan), WOJTKOWIAK (Zbysław). *Chryścianizacja Litwy*. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 500).
- Bibliografia historii polskiej za rok 1984*. Opr. W. Bukowski, S. Głuszek, A. Malcówna. Str. 465 i 1 nlb. (Wyd. Ossolineum 1987, cena zł 980).
- SWIĘCH (Jerzy). *La poésie polonaise du temps de la guerre 1939-1945*. Str. 28 i 2 nlb. (Wyd. Université Paris VIII, Dép. de langues slaves, Paris 1987).
- Karolina Borchardt (album malarstwa). (Wyd. Galerie Internationale, New York).
- Journal philosophique* nr 14, mai-juin 1987. (Wyd. Centre de recherche philosophique Saint Thomas d'Aquin, Paris).
- Joachim Lelewel à Bruxelles de 1833 à 1861. Textes réunis par Teresa Wysokinska et Stéphane Pirard. Str. 256 i 4 nlb. (Wyd. Centre International Lelewel d'études et d'informations historiques, Bruxelles, avec le concours de l'UNESCO).
- LELEWEL (Joachim). *Textes choisis*. Textes choisis et commentés par Teresa Wysokinska. Str. 256. (Wyd. Office International de Librairie, 1986).
- MOLNAR (Miklos). *De Bela Kun à Janos Kadar. Soixante-dix ans de communisme hongrois*. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Presses de la Fondation Nationale des Sciences Politiques, Institut Universitaire de Hautes Etudes Internationales, Paris 1987).
- POGONOWSKI (Iwo Cyprian). *Poland. A Historical Atlas*. Str. 321 i 1 nlb. (Wyd. Hippocrene Books, New York 1987).
- Essays in Polish History and Culture*. Edited by Y. Grabowski. Str. 122. (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences in Canada, Toronto 1986).
- PELENSKI (Jarosław, opr.). *The Political and Social Ideas of Vjacslav Lypynskij*. Str. 508. (W: „Harvard Ukrainian Studies”, vol. IX, nr 3/4, December 1985. Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).
- THOMPSON (Ewa M.). *Understanding Russia. The Holy Fool in Russian Culture*. Str. 229 i 7 nlb. (Wyd. University Press of America, Lanham-NY-Londyn 1987).
- GIEDROYĆ (Michał). *Lithuanian Options prior to Krevė*. (Nadbitka z „La cristianizzazione della Lithuania”, wyd. Pontificio Comitato di Scienze Storiche, Roma 1987).
- KOTT (Jan). *The Bottom Translation*. Przeł. Daniela Międzyrzecka i Lillian Vallee. Str. 165 i 1 nlb. (Wyd. Northwestern University Press, Evanston, IL, USA 1987).
- SADUNAITE (Nijole). *A Radiance in the Gulag. The Catholic Witness of Nijole Sadunaite*. Trans. by Rev. Casimir Pugevicius and Marian Skabeikis. Str. 148 i 6 nlb. (Wyd. Trinity Communications, Manassas, VA, USA 1987).
- DARSKI (Józef). *Afghanistan in the Polish Opposition Press*. (Nadbitka z „Central Asian Survey” vol. 6, nr 2, str. 89-103, 1987).
- PROKOPCZYK (Czesław). *Zbigniew Herbert's Poetry and its Explication through Antinomies*. (Nadbitka z „The Polish Review” vol. XXXII, nr 1, 1987, str. 71-84).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

23-5-87

W kościele Św. Krzyża we Wrocławiu odbyło się sympozjum „Różne rozumienie niezależności kultury i wolności twórcy”, otwierające Krajowe Biennale Młodych „Droga i Prawda”, największą w Polsce wystawę plastyczną młodych twórców (granica wieku uczestników 35 lat), zorganizowaną przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych we Wrocławiu. Podobnie jak poprzednie (w 1985 roku), obecne Biennale odbywa się pod patronatem Metropolity Wrocławskiego ks. kardynała H. Gulbinowicza. Bierze w nim udział 140 artystów z całego kraju; eksponowanych jest ok. 500 prac — malarstwo, grafika, tkanina i fotografia. Wystawę otworzył kardynał H. Gulbinowicz.

1-6-87

W klasztorze OO Paulinów w Częstochowie zdeponowano archiwum b. prezydenta R.P. Ignacego Mościckiego, przesłane m.in. przez Ambasadę Polską w Szwajcarii.

15-6-87

Nagrody „Solidarności” pracowników wydawnictw (po zł 20.000) za rok 1986 otrzymali: Igor Newerly za powieść „Zostało z uczyt bogów” (Instytut Literacki i NOW-a) i Łukasz Socha za „Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sądownie 1944-1954” (NOW-a).

17-6-87

W dorocznych nagrodach przyznawanych przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, nagrodę w kategorii tłumaczeń poetyckich otrzymał Czesław Miłosz za autorską antologię przekładów z różnych języków pt. „Mowa więźna”, wydaną przez PIW. Miłosz ufundował nagrodę dla polskich tłumaczy i na ten cel przeznaczył powyższą swoją nagrodę (zł 75.000).

18-6-87

Ks. Skuciński, obywatel PRL, który ma paszport konsularny, przed pięciu laty został skierowany przez Watykan do pracy misyjnej w Iranie. W kwietniu 1986 roku został aresztowany przez władze irańskie, a zwolniony pod koniec maja ub. roku; dnia 12 sierpnia został aresztowany ponownie. Ks. Skucińskiemu zarzuca się bliżej niesprecyzowane działania na szkodę bezpieczeństwa Iranu, a mianowicie — ks. Skuciński, który był kapłanem polskich robotników, pracujących w Iranie, wypowiadał kiedyś pięciu z nich, skazanych za szpiegostwo na rzecz ZSSR; władze irańskie są przekonane, że skazańcy powierzyli kapłanowi jakieś sekrety dotyczące ich misji i kontaktów. Rzecznik rządu PRL, Jerzy Urban, zapewnia że PRL interweniuje na najwyższym szczeblu w sprawie uwolnienia ks. Skucińskiego. Jak dotąd — interwencje te są bezskuteczne.

1-7-87

Tygodnik *CDN Głos wolnego robotnika* w numerze 192 pisze o druku powieści Pasternaka „Doktor Żiwago” w *Życiu Literackim* Machejka. Notatka jest zatytułowana „Machlojki Machejka”. „Jako tłumacz drukowanej w odcinkach w *Życiu Literackim* powieści Borysa Pasternaka 'Doktor Żiwago' figuruje nikomu nieznany Igor Sniatyński. Kim jest ów tajemniczy 'tłumacz'? Otóż są to dwie osoby: redaktor naczelny Władysław Machejek i sekretarz redakcji Jerzy Domański. Panowie ci dokonali mistyfikacji chyba bez precedensu w polskiej kulturze! — żywcem przepisują z pierwszego wy-

dania „Doktora Żiwago”, które ukazało się nakładem paryskiej *Kultury* w tłumaczeniu Pawła Hostowca (właściwe nazwisko — Jerzy Stempowski). Dla niepoznaki od czasu przekręcają jakieś zdanie — ze szkodą dla tekstu. Pomysłowi 'tłumacze' za swój trud biorą honorarium jak za tłumaczenie!” (NAI).

15-7-87

Korespondenci niemieccy w Polsce podają informacje o powstaniu grupy politycznej „Dzikania”. W skład tej grupy wchodzi pięć środowisk. Są to wszystko środowiska katolickie i wszystkie popierają inicjatywę wydawania legalnie periodyku *Res Publica* pod redakcją Marcina Króla. *Res Publica* stanowi jedno z tych pięciu środowisk. Pozostałe, to środowisko byłych członków Stowarzyszenia PAX, grupa trzynastu z Krakowa Mirosława Dzielskiego, ugrupowanie związane z podziemnym czasopiśmie *Głos* pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza oraz gdańskie środowisko Młodej Polski Aleksandra Halla. Podziemny *Przegląd Wiadomości Agencji* podaje, że 17 czerwca odbyło się zebranie „Dzikań” w sali warszawskiej Romy. Tematem tego spotkania była dyskusja nad pojęciami narodu, państwa, opozycji i władzy.

16-7-87

Szykany wobec polskich turystów w demokracjach ludowych. W Rumunii turystom z Polski oferuje się kwatery tylko najniższej kategorii, na kampingach III klasy — w dodatku bez wyżywienia. Kontrola celna w Bułgarii nie ogranicza się do punktów granicznych, ale może być przeprowadzana na obszarze całego państwa. W Jugosławii celnicy każą płacić za przewożony bagaż i za tranzyt w dolarach — opłata wynosi od 30 do 100 dolarów plus 100 dolarów za przejazd. Celnicy węgierscy pobierają tzw. cło gwarancyjne w wysokości 30 % wartości artykułów, które — zdaniem celników — mogą być sprzedane na Węgrzech. Cło jest wymierzane w dolarach. Jak dotąd, ze strony władz PRL protestów nie było.

17-7-87

Wisława Szymborska i Jerzy Ficowski odmówili przyjęcia nagrody Funduszu Literatury, natomiast Sławomir Mrożek nagrodę przyjął.

20-7-87

Wkrótce nakładem PA „Interpress” ukaże się w języku polskim i rosyjskim dwutomowa praca pt. „Pamięć Polski” poświęcona sowieckim żołnierzom poległym w walkach o wyzwolenie Polski w czasie drugiej wojny światowej. Książka, opracowana pod redakcją Janusza Przymanowskiego, Romana Murawiego i Hanny Prokopczuk, zawiera 78 tys. dotychczas zidentyfikowanych nazwisk żołnierzy sowieckich, których prochy spoczywają na cmentarzach polskich. Wydawnictwo zawierać będzie ponadto: fotogramy, fragmenty prozy i poezji żołnierskiej a także biografie poległych śmiercią bohaterską. Należy tu przypomnieć, że na 175 wojskowych i cywilnych cmentarzach oraz w 140 mogiłach zbiorowych spoczywa 488.841 żołnierzy sowieckich z 600 tys. poległych w walkach o „wyzwolenie Polski”. W niemieckich obozach koncentracyjnych, znajdujących się w okupowanej Polsce, zamordowano ok. 800 tys. sowieckich jeńców wojennych.

21-7-87

PRL produkuje rocznie 100 mld papierosów fatalnej jakości. Papieros polski ma opinię najgorszego na świecie.

1-8-87

Rząd PRL nie przyznał wiz lotnikom Południowej Afryki, mającym wziąć udział 1 sierpnia br. w uroczystym odsłonięciu tablicy, upamiętniającej czyn

polskich, amerykańskich, brytyjskich i południowoafrykańskich lotników, którzy niesli pomoc walczącej Warszawie. Z Południowej Afryki mieli przyjechać płk Kruger, obecny dowódca 31 eskadry, która brała udział w lotach nad Warszawę oraz płk Van Eyssen, który brał udział w lotach nad Warszawą, został zestrzelony w okolicach Otwocka i uratował się wyskakując na spadochronie z palącego się samolotu. 40 lotników południowoafrykańskich straciło życie, niosąc pomoc walczącej stolicy. W tym samym czasie, kiedy odbywała się uroczystość w Warszawie, płk Kruger i płk Van Eyssen złożyli wieńce, które mieli zabrać ze sobą do Warszawy, pod pomnikiem lotników południowoafrykańskich w Pretorii. Uroczystość tę pokazano w dzienniku telewizyjnym z odpowiednim komentarzem. Na uroczystość odsłonięcia epitafium mieli być również zaproszeni przedstawiciele jednostek, które dokonywały zrzutów broni, amunicji, lekarstw i żywności. Były to załogi: Royal Air Force — dywizjony 138, 148 i 178; U.S. Air Force — 13-th Heavy Bomber Wing of the 8-th Air Force i 335-th Fighter Group; South African Air Force — dywizjony 31 i 34; Polskie Siły Powietrzne — Eskadra 1586 do zadań specjalnych wydzielona z dywizjonu 301. Dywizjonowi 301 rozkazem Nr 20 z dnia 15 września 1944 roku Naczelny Wódz, generał broni Kazimierz Sosnkowski, nadał zaszczytne imię „Obrońców Warszawy”.

5-8-87

Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat Zygmunt Mycielski, wybitny kompozytor i krytyk muzyczny, wieloletni redaktor naczelny *Ruchu Muzycznego* i prezes Związku Kompozytorów. ■ Sąd Rejonowy w Łodzi skasował wyrzucenie dr. Marka Edelmana z pracy jako „niezgodne z zasadami współżycia społecznego”. Wyrok nie jest prawomocny, dyrektor szpitala Al. Leo odwołał się do wyższej instancji.

ZACHÓD — EMIGRACJA

19-5-87

Zmarł w Burbank w Kalifornii w wieku 92 lat Stanisław Szukalski, znany też jako Stach z Warty, założyciel szczepu Szukalszczyków, herbu Rogate Serce, rzeźbiarz, malarz, grafik oraz pisarz.

21-5-87

W Galerie La Chapelle w Vence (Francja) odbyła się wystawa malarska Adama Macedońskiego, która spotkała się z dużym zainteresowaniem.

27-5-87

W galerii Espace Bateau Lavoisier na Montmartre w Paryżu otwarta została wystawa malarska Zdzisława Sosnowskiego.

15-6-87

Zmarł w Wellingtonie (Nowa Zelandia) w wieku 88 lat prof. dr. Kazimierz Wodzicki. W czasie ostatniej wojny prof. Wodzicki był konsulem generalnym RP w Nowej Zelandii. Do ostatniej chwili pracował naukowo na Uniwersytecie Wellington, który ostatnio nadał mu tytuł doktora *honoris causa*. Prof. Wodzicki jest autorem ponad 120 prac naukowych i szeregu książek w językach europejskich.

18-6-87

W Anglo-Byelorussian Society w Londynie Nina Taylor wygłosiła odczyt pt. „Białoruski obrzęd Dziadów i *Dziady* miekiewiczowskie”. W jego ramach przedstawiła po raz pierwszy niewydaną pracę folklorystyczną nieżyjącej już badaczki mgr Olimpii Swianiewiczowej, która opisała ten prastary zwyczaj

w oparciu o materiały lokalne. Pozwoliło to prelegentce poddać rewizji dotychczasowy sposób ujmowania młodzieńczego utworu Mickiewicza.

20-6-87

W związku z otwarciem Biblioteki Muzeum Polskiego w Rapperswilu urządzona została wystawa dawnych map ziem polskich, oparta głównie na cennej kolekcji płk. Romana Umiastowskiego. Podczas uroczystości przemawiali: z zurychskiej biblioteki uniwersyteckiej Monika Bańkowska, z instytutu slawistycznego — German Ritz, a z Instytutu Historii Europy Wschodniej i Szwajcarskiego Archiwum Socjalnego — Thomas Durrer, podkreślając współpracę Muzeum Polskiego z uniwersytetem w Zurychu.

7-7-87

Zmarł w Johannesburgu (Afryka Południowa) ks. Tadeusz Walczak, który brał udział w tworzeniu organizacji podziemnych we Lwowie w 1939 roku. Aresztowany i wywieziony do Moskwy, został skazany na śmierć. Uratowała go amnestia. Wstąpił do Drugiego Korpusu jako kapelan, dzieląc jego losy i za swoją działalność został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po demobilizacji wyjechał do Północnej Rodezji na pracę misyjną, a od 1974 roku był kapłanem Sióstr Służebniczek w Republice Południowoafrykańskiej.

14-7-87

W Bernie (Szwajcaria) odbyła się konferencja prasowa na temat „Glasnost’ — a prawda o Katyniu”. Głównymi prelegentami konferencji byli: prof. J. M. Bocheński, OP, prof. Krystyna Marek i prof. L. Revesz.

29-7-87

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 82 lat James Burnham, socjolog, od 1955 roku wydawca i czołowy publicysta czasopisma *The National Review*. Wydał szereg książek, z których „Managerial Revolution” zdobyła rozgłos światowy. Burnham był bardzo bliskim przyjacielem Kultury, która dużo zawdzięcza jego pomocy i przyjaźni. W Bibliotece „Kultury” ukazały się przekłady jego książek: „The Struggle of the World”, „Containment or Liberation” i „The Managerial Revolution”. W najbliższym czasie zamieścimy o nim obszerny artykuł-wspomnienie.

1-8-87

Zmarła w San Antonio, TX (US) w wieku 93 lat Pola Negri (prawdziwe nazwisko Apolonia Barbara Chałupiec), ur. w Janowie. Była ona w swoim czasie jedną z bardziej popularnych gwiazd filmowych, rywalizującą z Głorią Swanson; była narzeczoną Rudolfa Valentino i przyjaciółką Charlie Chaplina. Na niej kończy się dynastia Polek, które zrobiły karierę w Stanach Zjednoczonych, jak Ganna Walska czy Citadini.

6-8-87

Zmarł w Toucy (Francja) w wieku 99 lat Leon Noël, dyplomata, wieloletni ambasador Francji w Polsce i Czechosłowacji, pełnomocny minister do rokowań o rozejm z Niemcami i Włochami w roku 1940. W czasie urzędowania w Warszawie zwalczał politykę min. Józefa Becka i próbował mieszać się do polityki wewnętrznej Polski w sposób często wykraczający poza dobre obyczaje dyplomatyczne. Po klęsce wrześniowej poparł generała Władysława Sikorskiego, przyczyniając się w dużym stopniu do tego, że generał Sikorski został szefem rządu RP i Naczelnym Wodzem na emigracji.

8-8-87

Zmarł w Penley (Wielka Brytania) w wieku 86 lat ppłk Leon Gnatowski, w czasie ostatniej wojny bojowy dowódca Batalionu Wilków oraz z-ca dowódcy 5 Wileńskiej Brygady Piechoty.

15-8-87

Nagrodę Pisarską Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za rok 1986 przyznano *ex aequo* po 250 £ dr. Tadeuszowi Kryscie-Karskiemu za całokształt znany z pracy pisarskiej z dziedziny historii Wojska Polskiego, a szczególnie za „Materiały do historii Wojska Polskiego” oraz Tadeuszowi Chciukowi-Celtowi za książkę „Biali kurierzy”.

KRONIKA KANADYJSKA

Dnia 19 maja na zebraniu dyrektorów Funduszu Wieczystego Millenium rozpatrzono wszystkie aplikacje o dotacje i dokonano rozdziału przeznaczonych na ten cel kwoty \$ 86.000. Jest ona znacznie niższa od przyznanej i rozdzielonej w ubiegłej kadencji.

Ze sprawozdania przewodniczącego Fundacji, Teodora Barankiewicza, za okres ostatniej kadencji (1 listopada 1985 - 31 października 1986) wynika, iż kapitał na 31 października 1986 roku wyniósł \$ 1.346.976. Wzrósł w okresie sprawozdawczym zaledwie o \$ 31.170, gdyż skończyło się najpoważniejsze źródło wpływów całego 20-lecia istnienia Fundacji — loteria BINGO. Z tego źródła wpłynęło w ciągu 20 lat ogółem \$ 1.117.085. Prezes Barankiewicz zaznaczył, iż kapitał będzie się niestety kurczył. Dochody z inwestycji wynoszą przeciętnie 10 %, a zważywszy proces inflacyjny nie sposób nie stwierdzić, iż działalność Funduszu zostanie uszczuplona.

W okresie sprawozdawczym do rozdzielenia było \$ 126.208 i sumę tę rozproszono następująco:

Związek Harcerstwa Polskiego — na szkolnictwo	\$ 10.000
ZHP — na pomoc dla niezamożnej młodzieży	3.000
Instytut Badawczy	15.000
Związek Nauczycielstwa Polskiego KPK — wydział szkolny ..	5.000
KPK — Okręg Toronto — Ośrodek Pomocy Imigrantom	7.500
Polonistyka na uniwersytetach: Toronto, Winnipeg, Hamilton	13.300
Szkoły języka polskiego (wydatki organizacyjne)	13.800
Stypendium dla KUL-u	5.500
Polski Instytut Naukowy — Montreal	5.000
Zespoły młodzieżowe, artystyczne itp.	10.400
Biblioteki, wydawnictwa, zakup książek	6.800
Indywidualne stypendia — ogółem	27.800
Różne	3.300

Fundacja rozdzieliła \$ 1.137.000.

W ciągu dwudziestu lat działalności Fundacja rozdzieliła \$ 1.137.000. ■ Andrzej Kołodziej, scenograf polski, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i wydziału architektury Politechniki w Krakowie, który przybył do Kanady w 1984 roku, otrzymał tegoroczną nagrodę Ontario Arts Council im. Pauline McGibbon za scenografię trzech sztuk wystawionych w teatrze w Barrie. ■ Sprawozdanie finansowe komisji Skarbu Narodowego w Kanadzie za okres ostatniej kadencji, 24 marca 1985 - 22 marca 1987, wykazuje wpływy w wysokości \$ 22.763. Do głównej komisji przekazano \$ 22.390, a pozostałą sumę przelano na konto nowej kadencji. W porównaniu z poprzednią kadencją wpływy wzrosły o \$ 4.167. Prezesem komisji wybranym ponownie został p. Zbigniew Giera. ■ W dniach 23 i 24 maja wybranych ponownie została konferencja organizacji światowej „Solidarności”. Obok przedstawicieli tych organizacji z Kanady, USA, Francji i Szwecji uczestniczył w obradach Jerzy Milewski, kierownik Biura Koordynacyjnego „Solidarności” w Brukseli. Sytuację w Polsce przedstawił Mirosław Chojcecki. ■ W czerwcu zmarł w Surrey, Brytyjska Kolumbia, Zenon Buczewski, publicysta, kronikarz, bibliograf i działacz harcerstwa polskiego w Kanadzie.

B. H.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 15 maja 1987.

Pan Józef Szrett w artykule pt. „Drzwi zamknięte” (*Kultura* nr 5/476, 1987) zamieścił przypis (str. 6), w którym uznał: „Warto przypomnieć młodszemu, że BBWR — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem — był tworem sanacyjnym z późnych lat trzydziestych. Była to próba, podjęta pod dowództwem płk. Adama Koca, by doprowadzić do szerokiej kolaboracji z tamtą, o ileż uczciwszą ekipą rządzącą”.

Przypis ten jest całkowicie błędny. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem — BBWR powstał w latach dwudziestych, po przewrocie majowym i w wyborach do Sejmu (4 marca) i Senatu (11 marca) 1928 roku zgłosił we wszystkich okręgach wyborczych swoje listy kandydatów. Czołowym przywódcą BBWR był płk Walery Sławek, który też ten „twór sanacyjny” rozwiązał po wyborach 1935 roku (w których opozycja nie brała udziału) i ukonstytuowaniu się nowego Parlamentu.

Natomiast płk Adam Koc powołał do życia w roku 1937 Obóz Zjednoczenia Narodowego — OZON, którego deklarację ideowo-polityczną odczytał przez radio 27 lutego 1937 roku. Na schyłku grudnia tegoż roku płk Koc ustąpił z przywództwa OZON-u; na jego czele stanął gen. Stanisław Skwarczyński. OZON przetrwał do wojny 1939 roku.

Ocena, czy powołanie OZON-u było próbą kolaboracji z ówczesną ekipą rządzącą, czy też raczej pogłębiło przepaść między nią a opozycją jest kwestią poglądów politycznych. Nie mogę jej więc w tym sprostowaniu rozwijać. Po prostu p. Szrettowi pomylił się BBWR z OZON-em. Jak przypominać młodszemu — to dokładnie.

Łączę wyrazy poważania

Dr Lidia CIOŁKOSZOWA

Szanowny Panie Redaktorze,

Melbourne, 26 czerwca 1987.

W czerwcowym numerze *Kultury* ukazał się artykuł Adama Nasielskiego pt. „40 lat prasy polskiej w Australii”, z krytyczną oceną dwóch głównych pism 150-tysięcznej australijskiej Polonii, melbournieńskiego *Tygodnika Polskiego* i sydneyjskich *Wiadomości Polskich*.

Właśnie przygotowywałem materiały, w celu wykorzystania ich do zamierzonego artykułu, jaki miałem przestać do Pańskiego miesięcznika, o prasie australijskiej Polonii. Adam Nasielski ubiegł mnie, koncentrując się przede wszystkim na *Tygodniku* i *Wiadomościach*.

A zaczęło się od redagowanej przez Stefana Połotyńskiego *Stronicy Polskiej* — *The Polish Page*, jaka ukazywała się od stycznia 1928 roku w wydawanym w Brisbane *The Muses Magazine* — będzie więc w przyszłym roku 60-lecie istnienia polskiej prasy w Australii. Największy rozwój polskiej prasy na antypodach mieliśmy w latach pięćdziesiątych, kiedy wy-

chodziło pięć drukowanych pism tygodniowych i jeden dwutygodnik. W latach sześćdziesiątych, wśród różnych nowych publikacji, wychodził także jedyny w swoim rodzaju, publicystyczny miesięcznik *Nurt*. Lata osiemdziesiąte przynoszą wzrost nakładu, objętości i dalszą stabilizację trzech ogólnaustralijskich pism: *Tygodnika Polskiego*, *Wiadomości Polskich* oraz miesięcznika *Przegląd Katolicki*. W ostatnich latach powstały także nowe pisma najnowszej emigracji: *Suwerenność* w Melbourne i polsko-angielski *Kurier Zachodni* w Perth. W ubiegłym roku została podjęta w Melbourne inicjatywa wydawania kolorowo ilustrowanego miesięcznika — magazynu *Tu i Tam* dla całej polonijnej diaspory.

Artykuł Adama Nasielskiego nie tylko zwrócił uwagę na temat właściwie do dwóch pism, ale także przedstawia te pisma niezgodnie ze stanem faktycznym i w ujęciu co najmniej karykaturalnym.

Adam Nasielski informuje w swoim artykule, że wymienione tygodniki przechodzą „w nowy okres — w fazę przedruków” i że jeden tygodnik zawiera przeciętnie jedynie 19 % oryginalnego materiału, a drugi 11 %. W znacznej części polskiej prasy emigracyjnej zamieszczane są przedruki i to w wielu pismach w dużym zakresie. Do nielicznych wyjątków należy paryska *Kultura* i zaledwie kilka jeszcze czasopism. Ani *Tygodnik Polski* ani *Wiadomości Polskie* nie biją rekordów w przedrukach.

Jako redaktor *Tygodnika Polskiego* pragnę odpowiedzieć na zarzuty Adama Nasielskiego.

Po objęciu w sierpniu 1977 roku redakcji *Tygodnika Polskiego* przeprowadziłem zasadnicze zmiany w redagowaniu (po ogłoszeniu ankiety wśród czytelników). W efekcie nakład pisma wzrósł w okresie pierwszych czterech lat o czterdzieści kilka procent, osiągając największy nakład od założenia *Tygodnika*, a ilość stron powiększyła się z 10 do 12.

Największa zmiana nastąpiła w przejściem *Tygodnika Polskiego*, w listopadzie 1983 roku, na druk offsetowy (*Wiadomości Polskie* przeszły na ten rodzaj druku rok wcześniej). Zmiana ta pozwoliła zwiększyć ilość stron w naszym piśmie do szesnastu, zamieszczać więcej fotografii i rysunków oraz drukować w dodatkowym kolorze. Nastąpił dalszy wzrost nakładu. Zbiegło się to z osiedleniem się w Australii dużej, liczącej ponad 15 tysięcy osób najnowszej emigracji.

Opierając się na przeciętnej z ostatniego okresu rocznego, w szesnastostronicowym *Tygodniku Polskim*, zamieszczanych było około 50 % przedruków (co jest spotykane w dużej stosunkowo ilości naszych pism emigracyjnych, zwłaszcza ukazujących się poza Wielką Brytanią). Należy przy tym dodać, że szereg tekstów nadsyłają autorzy, którzy przesyłają je do kilku pism. Dochodzą również artykuły publicystyczne od autorów z opozycji krajowej, wysyłane w kopiach do różnych pism emigracyjnych.

We wspomnianym przez Adama Nasielskiego „złotym wieku” polskiej prasy w Australii też były przedruki (głównie z londyńskich pism — *Dziennika Polskiego* i *Tygodnika Polskiego*). Było ich mniej niż obecnie, gdyż przede wszystkim ilość stron była znacznie mniejsza, przeciętnie dziesięć, a nie szesnaście, jak obecnie.

W polskiej prasie emigracyjnej w Australii, na przykładzie *Tygodnika Polskiego*, redakcję stanowi jedna osoba, wykonująca wszystkie niezbędne prace dziennikarskie, poczynając od redagowania a kończąc na funkcji redaktora technicznego, a ponadto adiustacja i korekta, dział ogłoszeń i ogólne kierownictwo administracyjne. Wynika to z konieczności ograniczania budżetu, opartego na samowystarczalności naszego pisma. A więc jest to właściwie prowadzenie pisma, a nie tylko redagowanie. *Tygodnik Polski* nie posiada drukarni i mimo stale rosnących kosztów wydawania pisma, dotychczas finansowo daje sobie radę, nie korzystając z żadnych dotacji.

A w porównaniu do lat poprzednich, *Tygodnik Polski* ma następujące „naj”: największy nakład, największą ilość stron, największą różnorodność

tematów, najwięcej młodych autorów z najnowszej emigracji i jest najbardziej przygotowany na stopniowe przejmowanie pisma przez najnowszą i najmłodszą emigrację.

Zapraszam autora artykułu „40 lat polskiej prasy”, mieszkającego w Australii, do redakcji *Tygodnika Polskiego*, ażeby mógł znaleźć potwierdzenie tego co napisałem.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI
redaktor
Tygodnika Polskiego

Wiedeń, 3 lipca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia: w numerze *Kultury* z maja br. ukazał się artykuł p. Marii Danilewicz Zielińskiej pt. „Gorzkie żale, przybywajcie...”. Opierając się częściowo na pracy p. Bohdana Urbankowskiego, ogłoszonej w czasopiśmie *Poezja* z marca 1986 roku, p. Zielińska, wyliczając osoby współdziałające z polskimi ośrodkami kulturalnymi działającymi we Lwowie po zajęciu go przez wojska rosyjskie, wymienia również moje nazwisko. Listę tę p. Zielińska powtarza za p. Urbankowskim. Ponieważ artykuł p. Urbankowskiego nie został w swoim czasie rozpowszechniony, a jego autor wraz z redaktorem *Poezji* był poddany nieznanym mi bliżej represjom, nie widziałem ani możliwości, ani potrzeby prostowania dotyczących mnie danych, które — z wyjątkiem wiadomości o moim żydowskim pochodzeniu — nie są zgodne z rzeczywistością. Słuszny w zasadzie, lecz niezbyt opanowany w sposobie dowodzenia artykuł p. Urbankowskiego wymaga jednak jako źródło rozważań p. Zielińskiej, gdy o mnie chodzi, następującego sprostowania: aresztowany przez rosyjską policję polityczną w nocy z 12 na 13 stycznia 1940 roku we Lwowie, przebywałem do listopada tegoż roku w więzieniu lwowskim, a następnie, po zaoocnym osądzeniu za działalność kontrrewolucyjną, zostałem przewieziony do jednego z obozów, tzw. gułagu, gdzie przebywałem do późnej jesieni 1941 roku i skąd zostałem zwolniony w wyniku zastosowania amnestii, przyznanej przez rząd ZSSR w umowie z rządem Rzeczypospolitej Polskiej.

Łączę wyrazy poważania

Paweł HERTZ

Düsseldorf, sierpień 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Od lat sześciu jestem stałym czytelnikiem *Kultury* i tyleż samo czasu przebywam na Zachodzie. Nie pisałem nigdy do redakcji *Kultury* na temat takich czy innych moich odczuć po przeczytaniu kolejnego wydania miesięcznika, wiedząc, że i bez tego Redaktor Naczelny ma aż za dużo obowiązków współpracując z fachowcami. Jednakże notatka o konflikcie w redakcji *Kontaktu* zobligowała mnie do zabrania głosu jako czytelnik.

Aby uniknąć zbytniego rozpisywania się, chcę tylko krótko zapytać, czy rzeczywiście był sens wyciągania na światło dzienne tych wszystkich, jakże deprymujących i kompromitujących polską emigrację polityczną, spraw. Jest to przecież woda na koło młyńskie dla reżymowych pismaków.

Umieszczono wyjaśnienie Chojeckiego, oświadczenie Wildsteina, a czytelnik dalej, jak nic nie wie, tak i nie wie, kto ma rację, a kto jej nie ma.

Uważam, że *Kultura* jest pismem zbyt poważnym, aby na jej łamach wodziło się za głowy dwóch zwaśnionych działaczy, chociażby nawet wielce zasłużonych.

Pozostaje z wyrazami szacunku

Lech Jan JAMKA
mgr farmacji

Odnosnie poruszonego tematu:

Wadziły się kiedyś ptaszki dwa,
który z nich ładniej trele gra.
Na ten dyskurs wpada wrona,
na nie była ich obrona.

Lech Jan Jamka

Fraszka ta powstała wprawdzie po Zjeździe w Oliwii, ale okazuje się, że jest jeszcze ciągle aktualna.

L. J. Jamka

Arlington, Texas, USA, 23 lipca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W dniu 30 marca br. zmarł nagle w Austin (Texas) na atak serca w wieku 37 lat Zbigniew Ryszard Iwanow — współtwórca struktur politycznych, współzałożyciel NSZZ „Solidarność” w toruńskim TOWIMOR, delegat na pierwszy zjazd NSZZ „Solidarność”, wiceprzewodniczący Regionu Toruń. Aresztowany 13 grudnia 1981 — internowany w Strzembielinku, zwolniony w grudniu 1982. Wyemigrował z Polski wraz z żoną Tadeą, córką Ewą i synami Adamem i Tomaszem w maju 1983 do Stanów Zjednoczonych. Tu znalazł pracę i osiedlił się w Irving, Texas.

Poznałem Zbyszka w Irving — pracowaliśmy w tej samej firmie, David M. Griffith & Assoc. Firma ta specjalizuje się w wykonywaniu planów kosztów i analiz finansowych dla lokalnych i stanowych władz administracyjnych. Pomimo początkowej słabej znajomości języka Zbyszek szybko dał się poznać jako błyskotliwy i pełen fachowej wiedzy ekonomista, zyskując sobie uznanie i podziw amerykańskich kolegów.

Jak już wspominałem, nie znałem Zbyszka w Polsce, choć słyszałem o Nim dużo i często, ale nie byłem specjalnym entuzjastą reform wewnątrzpartyjnych (jak zapewne większość członków „Solidarności”), a szczególnie nazwisko nie budziło we mnie zaufania. Będąc członkiem władz związkowych regionu Mazowsze i czynnym przewodniczącym NSZZ „Solidarność” w Miejskich Zakładach Komunikacyjnych w Warszawie, kwitowałem lekceważeniem ruch „poziomych”, nie wgłębiając się w jego ideologię i założenia.

Nie czuję się upoważniony do analizy czy oceny wagi i znaczenia Jego koncepcji zmiany funkcjonowania PZPR czy też Jego związkowej działalności — wielu znanych i prominentnych teoretyków związkowych, szcycących się swego czasu przyjaźnią czy znajomością z Nim, zapewne znajdzie kiedyś czas, aby poświęcić temu człowiekowi parę szpalt czy chociażby krótką wzmiankę o Jego dorobku.

Pozostający z szacunkiem

Wojciech Z. KAMIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałam z zainteresowaniem w czerwcowym numerze *Kultury* list Zdzisława Jagodzińskiego dotyczący mojego artykułu o „Polskich muzeach i bibliotekach na Zachodzie”. Dziękuję dyrektorowi Biblioteki Polskiej w Londynie i zachęcam wszystkie, zaledwie wymienione przeze mnie ośrodki naukowo-kulturalne na Zachodzie, a tym bardziej pięć niewymienionych, do przedstawienia na łamach *Kultury* ich działalności. Każdy *pro domo sua* dla wspólnej korzyści. W moim krótkim tekście zacytowałam zaledwie „kilka konkretnych informacji” najnowszych, nieoczekiwanych albo nawet zabawnych o skądinąd dobrze znanych, starych instytucjach.

Przypominam, że artykuł był pisany dla krakowskiego *Tygodnika Powszechnego*. Piszę więc, a *propos* biblioteki, o „dokumentach z okresu formowania w ZSSR armii Andersa”, a nie, jak to proponuje Zdzisław Jagodziński, o „Bibliografii katyńskiej”. Mam jednak nadzieję, że dyrektor Biblioteki Polskiej nie zarzuca mi, że o Polakach deportowanych do Rosji i o Katyniu nie pisałam.

Zachęcam także przedstawicieli Stałej Konferencji, którzy uczestniczyli w rzymskich obradach, do przedstawienia osobiście w *Kulturze* swoich poglądów i polemik w sprawie współpracy z krajem i z PRL. Relacjonowałam bowiem jedynie dwa posiedzenia o charakterze publicznym, nie zaś rozmowy, które toczyły się w ścisłym gronie uczestników sympozjów.

Wreszcie Zdzisława Jagodzińskiego, którego przecież znam osobiście, nazywałam Michałem. Nie widzę innego wytłumaczenia, jak lapsus sentymentalny: Michał jest imieniem mojego męża. Serdecznie dyrektora przepraszam.

Aleksandra KWIATKOWSKA-VIATTEAU

Rzym, 24 czerwca 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdumieniem przeczytałam w liście grupy działaczy społecznych w Polsce (*Kultura* nr 6/477, 1987) oświadczenie Ks. Prymasa Józefa Glempa o zagładzie Żydów polskich.

Piszę te słowa pod wrażeniem przemówień i homilii Papieża Jana Pawła II o okrucieństwach nazistowskich, wygłoszonych w czasie ostatniej podróży do Polski, a specjalnie pełnej zrozumienia wypowiedzi w czasie spotkania z delegacją Żydów w Warszawie.

Pragnę przyłączyć się do listu zatroskanych obywateli i z równym zainteresowaniem oczekiwać będą wyjaśnienia w tej sprawie.

Będę wdzięczny, jeżeli Pan Redaktor zechce mój list opublikować.

Z prawdziwym szacunkiem

Józef LICHTEN

Chicago, 27 lipca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o opublikowanie poniższych uwag:

W czerwcowym wydaniu *Kultury* p. Z. S. Siemaszko poinformował w „Listach do Redakcji”, że londyński *Tydzień Polski* wydrukował 21 lutego br. moje omówienie (według niego „bezkrytyczne”) książki Romana Korab-Zebryka „Operacja Wileńska Armii Krajowej” i że jego uwagi o negatyw-

nych aspektach tej książki nie zostały opublikowane przez ten tygodnik. Stąd prośba do Pana Redaktora o wydrukowanie ich w *Kulturze*.

Rzeczywiście ucieszyłem się z ukazania się 533-stronicowego dzieła, z mapami i fotografiami, opartego na żmudnej analizie źródeł polskich, sowieckich i niemieckich. Był to pierwszy poważny wyłom w „murze milczenia”, narzuconym przez cenzurę PRL. Z książki — szybko rozsprzedanej — dowiedziało się młode pokolenie, że na terenie Wileńszczyzny i Nowogródzkiego działało wspaniałe zorganizowane polskie podziemie, z oddziałami bojowymi Armii Krajowej, które nigdy nie współpracowało z okupantami i stale walczyło o wolność.

Zdawałem sobie sprawę, że wiele rzeczy ująłbym inaczej, niż autor książki. Skoncentrowałbym się więcej na notowaniu faktów, a mniej na ocenianiu ich. Na niektóre takie oceny wskazuje p. Siemaszko w swoim liście, który nie ukazał się w *Tygodniu Polskim*, a który wydrukował Pan Redaktor. Sam zwróciłem uwagę autorowi, w liście prywatnym do niego, na te oceny, które, bez wysłuchania strony drugiej, mogą być bardzo krzywdzące.

Jednak p. Siemaszko, zaczynając omawianie książki od wyliczania negatywnych aspektów (inni wolą zacząć od pozytywnych), zaszedł w swej ocenie intencji autora zbyt daleko. Jak można było napisać, po wyrwaniu kilku zdań z tekstu, że „Korab-Zebryk jest zwolennikiem podporządkowania się Sowietom”, oraz że „nic więc dziwnego, że praca ta została zaaprobowana przez cenzurę PRL”. Przecież to jest straszna krzywdza, szczególnie że pochodzi od człowieka, który spędził całą wojnę za granicą.

O ile wiem, Korab-Zebryk musiał starać się o wydrukowanie swojej pracy doktorskiej „Operacja Wileńska AK” przez wiele lat i w końcu wyszła ona okaleczona właśnie przez cenzurę i pozbawiona ostatniego, ważnego rozdziału o podstępie i rozbijaniu AK-owców.

Odnośmy się do pisarzy w kraju z troską, pomagajmy im, uzupełniając ich dzieła recenzjami i bądźmy sprawiedliwi dla nich.

Łączę wyrazy szacunku

Jan F. MORELEWSKI

Rzym, 10 sierpnia 1987.

Drogi Panie Redaktorze,

Statys Lozoraitis jr, przedstawiciel Litwy przy Stolicy Apostolskiej, w liście do redakcji w nr. 6 *Kultury* przypisuje „politykowaniu w kawiarni” informację, jaką podałem (nr 4 *Kultury* w artykule „Watykan i Moskwa”) o naciskach wywieranych na Watykan w sprawie „likwidacji resztek poselstwa Litwy przy Stolicy Apostolskiej”, reprezentującego ośrodki emigracyjne. Naciski te znane są doskonale w Watykanie, a dziennik *L'Unità*, organ PCI, którego reportaże z ZSSR są uważnie śledzone, przytoczył nawet wypowiedzi na ten temat (tzn. postulujące normalizację sytuacji państwowo-kościelnej) abpa Povilonisa z Kowna, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Litwy i ks. prałata Gutauskasa z Wilna. Zainteresowani ich nie zdemontowali, należy więc przyjąć, że są wiarygodne. Czy w imię zrozumiałych skądinąd sentymentów dla niepodległościowych aspiracji Litwinów należy ukrywać fakty? Nie przyszłoby mi do głowy podważać niewątpliwego faktu poparcia udzielanego istniejącej placówce dyplomatycznej przy Watykanie przez ośrodki emigracji litewskiej. Nie rozumiem więc, dla jakich powodów p. Lozoraitis mnie o to posadza. Figuruje on w *Annuario Pontificio* jako radca, a nie jako akredytowany szef poselstwa Litwy (vacat ten jest oznaczony). W czasie tutejszych, czerwcowych uroczystości 600-lecia chrystianizacji

Litwy wystąpił jednak na konferencji prasowej, zorganizowanej przez litewski komitet emigracyjny (notyfikowanej w Watykanie), nie jako „przedstawiciel Litwy przy Stolicy Apostolskiej”, lecz „z litewskiej służby dyplomatycznej (*del Servizio Diplomatico Lituano*), która — jak wiadomo — obejmuje także przedstawiciela emigracyjnego komitetu w USA. Termin powyższy, oczywiście nieprzypadkowy, brzmi nieobowiązująco, prawdopodobnie po to, by nie drażnić Moskwy, zwłaszcza wobec niespodziewanego przyjazdu do Rzymu delegacji Kościoła na Litwie, co Papież specjalnie podniósł i pochwalił.

Ważniejsza od jałowych polemik pomiędzy Polakami i Litwinami wydaje mi się konieczność wzmożonych starań o przewyższenie antypolskich urąźw wśród emigracji litewskiej, które niestety ponownie dały o sobie znać w czasie ostatnich uroczystości rzymskich. Uderzyło to niemiło polskich biskupów i kapłanów (wiem to od nich samych), bo przecież dokonano sporo, by „wychodzić naprzeciw interesom mniejszości litewskiej na Suwalszczyźnie”.

Dominik MORAWSKI

ERRATA

Pewne skróty i zmiany wprowadzone do mojej korespondencji pt. „Trzećia podróż” (*Kultura* nr 6/1987), uzgodnione w rozmowie telefonicznej, spowodowały kilka nieścisłości. Na str. 51 zdanie rozpoczynające się od: „Dopiero w następnym roku ten wstrząs nastąpił i pozwolił...” — należy wykreślić słowa „dopiero” i „nastąpił”. A w zdaniu, w którym mowa jest o „leczeniu ułomności narodowych i frustracji społecznych”, wypaść dalszy ciąg: „jak i oddziaływanie na zmianę niezdrowych struktur życia społ.-gospodarczego, które prowadzą do etycznych niedomagań”. Zamiast wielkiej szansy „ku pojednaniu ze ZSSR”, powinno być: „z Rosją, Litwą, Białorusią i Ukrainą”. Na str. 52: książka ojca A. Wengera pt. „Rome et Moscou, 1900-1950” mówi nie o „rozmowach genewskich w latach dwudziestych”, lecz o rozmowach emisariusza Lenina, hr. Cziczierina z Substytutem Sekretarza Stanu, późniejszym kardynałem Pizzardo, w porcie Genua w 1922 roku w czasie spotkania na obiedzie na włoskim statku wojennym „Dante Alighieri”.

D. M.

Szanowny Panie Redaktorze,

Hamburg, 29 lipca 1987.

W numerze czerwcowym (nr 6/1987) *Kultury*, zamieszczono w rubryce „Kronika niemiecka”, str. 83, wiadomość:

„Na liście organizacji współpracujących z władzami PRL znajduje się m.in. Polski Związek Inwalidów Wojennych w RFN z siedzibą w Hamburgu”.

W numerze lipcowym (nr 7-8/1987) w tej samej rubryce: „Polska Parafia Prawosławna Obrządku Zachodniego, kierowana przez ks. Klaudiusza Parenydka, utrzymuje stałe kontakty z gromadami Związku Polaków ZGODA z Towarzystwem Polsko-Niemieckim i Związkiem Inwalidów Wojennych. Wszystkie trzy organizacje cieszą się poparciem reżymu PRL”.

Celem informacji dla ofiarodawców z całego świata, którzy od lat składają ofiary na cel pomocy inwalidom wojennym Polskich Sił Zbrojnych, wyjaśniam:

Delegatura Związku Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych w Republice Federalnej Niemiec z adresem w Hamburgu, podlegająca Zarzą-

dowi Głównemu w Londynie, nie jest identyczna ze Związkiem Inwalidów Wojennych w Niemczech i nie ma żadnych kontaktów z organizacjami współpracującymi z reżymem PRL.

Z poważaniem

Maksymilian PELC
Delegat Zarządu Głównego
Z.I.W.P.S.Z. w RFN

KILKA UWAG NA TEMAT LISTU P. T. WYRWY

Paryż, 19 lipca 1987.

Ze smutkiem przeczytałem list p. Tadeusza Wyrwy opublikowany w *Kulturze* nr 7-8/1987. Ze smutkiem, gdyż nie miałem najmniejszej chęci sprawienia mu przykrości czy utrudnienia mu pracy w jego badaniach historycznych, ponieważ osobiście bardzo cenię jego wysiłek naukowy i wkład intelektualny do kultury światowej, a polskiej w szczególności.

Myślę, że p. Wyrwa w swoim liście myli czy sprowadza do jednej paszczyzny kilka zagadnień:

- 1) siebie jako czytelnika,
- 2) jako członka THL,
- 3) i wreszcie siebie jako człowieka.

ad 3) Ja również jestem człowiekiem i mogę czasami wybuchnąć emocjonalnie, uzewnętrznic mój „tupet” z tego powodu, że jakiś urzędnik mnie oszukał, nie przystawił pieczęci w paszporcie czy nie spodobał mi się mój program naukowy. Z tego powodu, nie patrząc np. na stan psychiczny informującego mnie człowieka, mogę napisać list, artykuł czy donos. Mogę również tego nie zrobić, a po prostu porozmawiać z tym urzędnikiem raz jeszcze, niekoniecznie identyfikując go z daną instytucją, w której pracuje. Wydaje mi się, że na tym polega jakiegokolwiek współżycie międzyludzkie, jakiegokolwiek relacja dwóch rozumnych ludzi. 1 czerwca 1987 roku p. Wyrwa nie chciał, a może nie miał czasu nawiązać ze mną takiej relacji. A szkoda, gdyż znam go już od co najmniej trzech lat i nasze kontakty były raczej przyjazne. Z mojej strony pozostają takie nadal.

ad 2) Wydaje się, że p. Wyrwa jako członek THL powinien nieść pomoc Bibliotece; więcej, jako taki, zgodnie z regulaminem tego Towarzystwa, ma obowiązek wykazania się pracą dla THL. Z tego obowiązku wywiązywał się doskonale za czasów p. Wandy Borkowskiej. Również jako członek THL ma prawo wglądu do sprawozdań, które przedstawiam dyrektorowi B.P. z prac działu rękopisów. Znajdzie tam nazwiska osób, nie tylko moje, które dobrowolnie, wręcz z wielką życzliwością, (tak, jak sam p. Wyrwa przed kilkoma laty) pomagały w inwentaryzacji rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu. Wtedy być może nie wyciągnie zbyt śpiesznych wniosków, że przypisuje sobie cudzą pracę, lecz wręcz przeciwnie, że pracę kompetentną innych osób stawiam wyżej, niż moją własną.

ad 3) Jeżeli przychodzi jako czytelnik do jakiegokolwiek biblioteki publicznej, czy to zaprzyjaźnionej, czy zupełnie obcej i chcę konsultować zbiory rękopiśmienne, to proszę dyżurującego bibliotekarza o katalogi lub inwentarze interesujących mnie zbiorów. Jeżeli w proponowanych mi opisach zbiorów nie znajduję szukanych przeze mnie informacji, wnioskuję, że takowe nie istnieją w tej bibliotece i szukam ich gdzie indziej lub przerywam poszukiwania. Przez myśl mi nie przejdzie idea, abym mógł skorzystać z przywileju jakiegoś „kumoterstwa” czy zajmowanego przeze mnie stanowiska.

Taka sytuacja jest dla mnie po prostu nieuczciwością. Polska, a może tylko kulturowa, mania wyjątkowości mojej osoby czy ważności moich badań pochyla mnie do szukania zabiegów, by traktowano *mój problem* jako wyjątkowy, absolutnie najważniejszy, a problemy *innych* jawią się jako nieskończenie minimalne, prawie wrogie w stosunku do mojej osoby.

Wydaje się, że podstawowym problemem poruszonym w liście p. Wyrwy nie jest problem p. Prokopa, który mu *zabronił (sic)* korzystania z rękopisów jeszcze nie zinwentaryzowanych czy miał „tupet” prosić p. Wyrwę o fachową pomoc, lecz ogólny problem udostępniania rękopisów.

Otóż, prawie od roku dyskutowany jest ten problem w Bibliotece Polskiej w atmosferze jej „wyjątkowości”. A przecież ta biblioteka, jak każda inna, jest po prostu biblioteką. W pewnym momencie zaproponowałem powołanie komisji, składającej się z kompetentnych członków THL, która opracowałaby odpowiedni regulamin czy chociaż ogólne zasady. Propozycja ta została bez echa. Myślę, że sprawa udostępniania rękopisów jest do rozwiązania na walnym zebraniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego, a niekoniecznie na łamach prasy, gdyż jest to wewnętrzny problem biblioteki, na temat którego oprócz osób profesjonalnie zajmujących się rękopisami, powinni wypowiedzieć się ci, którzy dbają o dobro i rozwój biblioteki.

Innych zagadnień sygnalizowanych w liście p. T. Wyrwy nie będę podejmował, ponieważ przekraczają moje kompetencje. Sprezyżuję tylko, że nigdy nie reprezentowałem biblioteki na zewnątrz jej murów. Szkoda, że jedynie moje nazwisko daje p. Wyrwie odwagę do krytycznych docinków na temat naszej, w końcu, biblioteki.

Marek P. PROKOP

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytałem z prawdziwą przyjemnością artykuł Zdzisława Broncella „Londyn leży nad Wisłą” w czerwcowym numerze *Kultury*. Muszę jednak sprostować jeden błąd faktyczny. Otóż na stronie 119 pisze p. Broncell: „Stanisława Przybyszewska, nieślubna córka Przybyszewskiego i lwowskiej malarki Anieli Pająk, latami na próżno dobijała się do dyrekcji teatrów. Nie wystawiono żadnej z jej sztuki o rewolucji francuskiej”.

Sztukę o Dantonie napisała Przybyszewska (1901-1935) pod koniec lat 20-tych. W próbach jej wystawienia nawiązała kontakt z Schillerem. Najpierw próbował, pod koniec 1930 roku, wystawić ją teatr w Łodzi — bez rezultatu. W tym samym roku Teatr Narodowy w Warszawie rozpoczął próby tej sztuki, które jednak przerwano.

Premiera sztuki odbyła się w Teatrze Wielkim we Lwowie w marcu 1931 roku. Sztuka trwała 5 godzin i szła tylko 5 dni — widownia nie mogła się z nią uporać. Powtórzono sztukę w 1933 roku w Teatrze Polskim w Warszawie. Zredukowano jej długość z 15 scen do 12, ale sztuka miała tylko 24 przedstawienia z powodu podejrzeń, że zawiera polityczne aluzje. Stanisława nie zgodziła się na poprawki i skróty i odmówiła obejrzenia sztuki, twierdząc, że nie ma z tą wersją nic wspólnego. W dwa lata później umarła (w 1935 roku).

Dopiero w 1975 roku wznowił wystawienie tej sztuki Andrzej Wajda. Wiele światła na te wysiłki Stanisławy wystawienia swej sztuki znajdziemy w jej listach opublikowanych w tym roku w Londynie pt. „Life of Solitude”.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Krzysztof ROWIŃSKI

Londyn, 24 czerwca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zdzisław Broncell w artykule „Londyn leży nad Wisłą” (*Kultura* nr 6/477, 1987) napisał m.in., że ja przełożyłem „wszystkie sztuki Przybyszewskiej, które miały ukazać się w jednym tomie”. Gwoli prawdzie muszę sprostować, że przełożyłem „Sprawę Dantona” i „Thermidor”. Natomiast sztukę „Dziewięćdziesiąty trzeci” przełożył, w skróconej adaptacji scenicznej Jerzego Krasowskiego, Edward Rothert, i w tej wersji ukazała się ona w tomie *Twentieth Century Polish Theatre* (John Calder, 1979). Od tej pory pan Rothert, o ile mi wiadomo, przetłumaczył również opuszczone poprzednio fragmenty i przekład jego istnieje obecnie w wersji integralnej. Wydawca Calder istotnie zamierzał wydać pełną trylogię w jednym tomie, ale — jak się zdaje z braku funduszy — nie wierzę, by projekt ten został zrealizowany. Nie tracę jednak nadziei, że znajdzie się na terenie anglosaskim inny wydawca dramatów Stanisławy Przybyszewskiej, by znane one były w wersjach integralnych, a nie tylko w dowolnych przeróbkach scenicznych, gdzie nieraz nawet jej autorstwo jest niesprawiedliwie pomniejszane, jak to stało się we wspomnianej przez Z. Broncella inscenizacji przez Royal Shakespeare Company w Londynie.

Łączę wyrazy szacunku

Bolesław TABORSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W.G., Chicago, IL (USA). — Artykułu pt. „Okrucieństwo morderstwa polskiego księdza” nie zamieścimy. O zamordowaniu ks. Popiełuszko pisało się i pisze bardzo dużo, a Pana artykuł nie wnosi niczego nowego.

„Doluwoj”, Johannesburg (Rep. południowo-afrykańska). — Nie zamieszczamy listów anonimowych, w szczególności w sprawach, które wymagają większego udokumentowania.

B.Sz., Monachium (RFN). — Pana oświadczenia nie zamieścimy, gdyż podzielamy stanowisko listu wysłanego przez intelektualistów krajowych do Sekretariatu Prymasa Polski z dn. 11 marca br.

T.L., Bielefeld (RFN). — Pana oświadczenia nie zamieścimy, gdyż wyciągnął Pan zbyt przedwczesne wnioski z ostatniej wizyty Papieża w Polsce. Sądząc z oświadczenia TASS, Moskwa nie przewiduje wizyty Jana Pawła II w Związku Sowieckim.

Anonimowy list przyjeźdnego z Kraju, przysłany ze Szwajcarii. — Pana koncepcje, by w przyszłości Królewiec został przyłączony do Polski lub by zrobiono z niego wolne miasto polsko-litewskie, są niepoważne. Tak samo Pana wnioski co do konsekwencji uzyskania niepodległości przez Ukrainę i Białoruś są nieprzemyślane.

R.D., Hamburg (RFN). — Pana polemiki z listem Jerzego Bilasa (*Kultura* z listopada 1986 r.) nie zamieścimy. Tłumaczenie, że represje wobec Ukraińców w latach 1943-1948 nie były robione przez Polaków, a wyłącznie przez oddziały Ludowego Wojska Polskiego, którym Pan odmawia polskości — nie wytrzymuje krytyki. Czy to się nam podoba, czy nie — byli to jednak Polacy.

B.Sz., Bergisch (RFN). — Pana „Dwu spotkań” nie zamieścimy. Są błahe. A.S., Wałbrzych. — Niestety nie dysponujemy informacjami, jak przedstawiała się w okresie międzywojennym liczebność Stronnictwa Pracy i ONR ABC.

J.W., Chicago, IL (USA). — Niestety Pana uzupełnienia do artykułu Andrzeja Korbońskiego „Październik 1956” nie zamieszczę. Jest zbyt obszerne i właściwie nie jest to wyjaśnienie, a artykuł.

B.Szcz., Nowy Jork. — Pana artykułów „Czy zabijać zabójców” i „Podkładnia stołków” nie zamieścimy. Tematy te były już u nas omawiane.

ERRATA

W „Dzienniku pisanym nocą” Herlinga-Grudzińskiego (*Kultura* lipiec-sierpień 1987) jedno zdanie na str. 46 zostało w korekcie przez niedopatrzenie rozbite na dwa, co zniekształca myśl autora. Powinno ono brzmieć: „Akceptując 'mniejsze zło' Jałty, próżno wierzyć na oświeceniu przeciw 'mniejszemu złu' polskich rządów komunistycznych pod kuratelą sowiecką, łącznie z 'mniejszym złem' stanu wojennego etc...”.

WYJAŚNIENIE

W związku z rozpowszechnianymi plotkami, że jakoby *Kultura* współpracuje ze Studium Spraw Polsko-Żydowskich p. Macieja Jachimeczyka i że nie tylko udziela mu poparcia moralnego i finansowego, ale nawet brała udział w jego założeniu stwierdzam, że nie odpowiada to w najmniejszym stopniu prawdzie.

Kultura, niestety, wzbudza ciągle niezdrowe zainteresowania „salonów” w kraju i na emigracji. Przedtem zastanawiano się, kto obejmie redakcję po mojej śmierci. Po moim wyjaśnieniu, że w tym wypadku *Kultura* jako miesięcznik przestanie wychodzić a pozostanie tylko Instytut Literacki, kierowany przez moich najbliższych współpracowników, obecnie wymienia się różne nazwiska osób które są „faktycznymi redaktorami” pisma, a ja jestem jedynie „firmantem”. Ponieważ wśród tych nazwisk wymienia się ludzi, z którymi łączy mnie przyjaźń i współpraca więc nie należy wykluczyć, że poza nagminnym plotkarstwem są to jakieś gry i intrygi personalne, na których analizowanie nie mam najmniejszej ochoty.

Jerzy GIEDROYC

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Cleveland, OH (USA) (nadesłał skarbnik Stanisław Nowak) — \$ 300,00	F.1.845,00
Tomasz Konopka, Liège (Belgia) — zamiast kwiatów na grób Kazimierza Włodarczyka, wiceprezesa Kombatantów w Belgii — na pomoc dla organizacji „Wolność i Pokój” w Polsce	F. 28,57
Marian Orłowski, Ridgewood, N.Y. (USA) — na Ruch Oporu w Polsce — \$ 10,00	F. 61,50
Bonifacy Pulwicz, Calgary, ALTA (Kanada) — \$ can. 100,00	F. 460,00
Marek Rudzki, New York — sumę stanowiącą zapis Jego Ojca, Adama Rudzkiego — na Fundusz Prasowy w Polsce — \$ 1.000,00	F.6.150,00
Roma Starczewska-Murray — zamiast kwiatów na grób Ojca — w piątą rocznicę śmierci — na fundusz prześladowanych w Polsce — \$ 25,00	F. 154,00
B. Z. Wiśniewscy z Hamburga	F. 166,50

W PŁATY NA FUNDUSZ DUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 332,00
Dr Wojciech Szczygielski, Markham, ONT (Kanada) — \$ can. 60,00	F. 264,00

W PŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A., NYC (USA) — \$ 40,00; E.E., NYC — \$ 10,00; Małgorzata i Paweł Nassalscy, N.Y. — \$ 25,00 — razem: na „Solidarność” \$ 75,00	F. 461,00
Bezimiennie z Nowego Jorku — \$ 124,00	F. 762,00
Grupa „Karlsruhe”, Karlsruhe (RFN) — DM 50,00	F. 166,33
Krystyna Radzińska, Kopenhaga — na fundusz grzywnien, wymierzanych działaczom „Solidarności” przez kolegia i sądy	F. 88,11
A. Moskala, Farsta (Szwecja) — dla „Solidarności” na fundusz grzywnien — po raz 2-gi	F.2.000,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, MAN (Kanada) (nadesłała Anna Howiecka) — \$ can. 300,00	F.1.380,00
Maria Winiarska, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób śp. dr. Zygmunta Łakocińskiego — Krs.150,00	F. 142,50

C. Czuchwicz Panorama, (Australia):	
— na FUNDUSZ KULTURY, po raz 17-ty	F. 400,00
— na pomoc dla prześladowanych w Polsce	F. 300,00

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie Koło Nr 13, Winnipeg, MAN (obie sumy nadesłał skarbnik W. Jakiela):	
— na prasę podziemną „Solidarności” — \$ can. 250,00 ..	F.1.150,00
— na pomoc rodzinom uwięzionych przeciwników komunizmu w Polsce — \$ can. 250,00	F.1.150,00

Kazimierz Lenkiewicz, Lidingö (Szwecja) — zamiast kwiatów dla uczczenia pamięci śp. Zofii z Zabów Patrecolo Roggeri, zmarłej w Rzymie na Fundusz Kultury — Krs 500,00 F. 475,00
— na pomoc dla Walczących w Kraju — Krs 150,00 F. 142,50

B. Strumiński, Cambridge, MA (USA) — na pomoc dla Afganistanu — \$ 30,00 F. 184,00

DALSZY CIĄG SPISU RZECZY

KSIĄŻKI

Leszek Szaruga: Szkoła wrażliwości 145
Janina Katz Hewetson: Sztuka i myślenie 149
Florian Śmieja: Człowiek i jego książki: Wojciech Gniatczyński (1924-1985) 154
Nadesłane nowości wydawnicze 157

Wydarzenia miesiąca i kronika kanadyjska 159

L. Ciołkoszowa, J. Grot-Kwaśniewski, P. Hertz, L.J. Jamka, W. Z. Kamiński, A. Kwiatkowska-Viatteau, J. Lichten, J. F. Morelewski, D. Morawski, M. Pelc, M. P. Prokop, K. Rowiński, B. Taborski: Listy do Redakcji 164
— Odpowiedzi Redakcji 173
— Errata 174
Jerzy Giedroyc: Wyjaśnienie 174

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1987.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 8513.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241

Prenumerata

Egz. poj.

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1986

F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ can. 8,50	\$ can. 47,00	\$ can. 92,00
DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki, tasienki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...”.

Str. 288.

Cena F. 110,00.



TOM 429 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

HISTORIA “CUDOWNEJ MELINY”

Dla licznych Czytelników „Cudownej meliny”, jednej z ciekawszych powieści krajowych ostatniego 15-lecia, nowa książka Orłosa stanowi konieczne i pasjonujące uzupełnienie. Orłoś wpadł na oryginalny i doskonały pomysł: opisuje dzieje swej powieści, zablokowanej przez cenzurę w kraju i wydanej z woli autora za granicą w „Bibliotece Kultury”. To jest główny wątek książki, który rzuca dużo nowego światła na sytuację polskich pisarzy nonkonformistycznych; wątek zbliżony do pewnego stopnia do tak poczytnej dziś w kraju książki J. J. Szczepańskiego „Kadencja”. Orłoś przeplata to opisami polskiej rzeczywistości w oczach pisarza skazanego na „nieistnienie”.

Str. 160.

Cena F. 70,00.



TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam ‘zabobonami’ wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte”. Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja), światopogląd (naukowy).

Str. 120.

Cena F. 55,00.